34

№ 145

HUGH CLIFFORD

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO

TŁUMACZYŁ

JERZY BANDROWSKI

WARSZAWA – KSIĘGARNIA E. WENDE I SKA

POZNAŃ: FISZER I MAJEWSKI — ŁÓDŹ I KATOWICE: LUDWIK FISZER

Przez całe zimowe popołudnie wlekliśmy się wdół Tamizy a nasz wielki parowiec przeciskał się przez tłum statków jak omnibus, poruszający się rozważnie w wirze ruchu ulicznego. Nareszcie, gdyśmy się wydostali z rzeki, Kanał wziął nas na kolana i zaczął nas kołysać gwałtownie a gburowaty wiatr siekł deszczem nasze twarze. Kiedyśmy po obiedzie wyszli na pokład, z trudem zmierzając ku tyłowi statku, nogi nasze ślizgały się po mokrych deskach pokładu a okrzyki zmarzniętych Lascarów, rozlegające się wśród gęstej, mokrej mgły, zrobiły na nas wrażenie wycia dusz potępionych w piekle. Obrzydliwy, beznadziejny smutek otoczenia harmonizował najzupełniej z nastrojem większości pasażerów na statku. Udawaliśmy się wszyscy w obce kraje, a ludzie, którzy dla pieniędzy opuszczają Anglję, wyjeżdżają z ciężkiem sercem. A tedy, z kołnierzami podniesionemi wysoko i z rękami po łokcie w kieszeniach, siedzieliśmy w „fumoir'ze" poważni i posępni, gapiąc się na siebie z nietajoną niechęcią prawdziwych Anglików.

W gęstniejącej coraz bardziej mgle dymu tytuniowego twarz pasażera siedzącego naprzeciw mnie była ledwie widzialna. Mimo to dziwnym swym wyglądem zajęła mnie i pobudziła mą ciekawość. Chude

ciało tego człowieka otulone było szerokim „ulstrem“; a z podniesionego wgórę kołnierza sterczała głowa, której nie mogę nazwać inaczej, jak tylko trupią główką. Twarz była zupełnie ogolona a policzki wpadnięte i wklęsłe jak spodeczki. Skronie były jakby zeschłe i wystające. Z dna głęboko zapadniętych oczodołów oczy małe i dzikie patrzyły, jak straszne potworki ze słojów ze spirytusem. Usta były zacięte niby w nieustającej agonji, ze wszystkich sił starające się powstrzymać jęk. Włosy — o ile je widać było z pod czapki i kołnierza — miały nieczysty kolor żółto-biały, mimo iż coś nieokreślonego przemawiało za tem, iż człowiek ten nie jest jeszcze stary. Sprawiał raczej wrażenie kogoś złamanego przedwcześnie, kogoś, kto panuje nad sobą ostatnim wysiłkiem woli, jak gdyby jego siła nerwowa była już u ostatnich granic. Podobny wyraz skoncentrowanej zaciętości zauważyłem na twarzach towarzyszów podróży, pochłoniętych walką z demonem choroby morskiej, ale ten człowiek ssał swą fajkę z widoczną przyjemnością i w sposób świadczący, iż na kołysanie nie jest wrażliwy. A mimo wszystko niespokojne i dzikie były te jego wpadłe oczy — oczy jak gdyby niestannie szukające sposobu ucieczki przed grożącem niebezpieczeństwem — oczy nie biegające, lecz raczej utkwione w jakąś potworną twarz — gdy właściciel ich, nieruchomy jak trup, wyjąwszy właśnie ten blask źrenic, pogrążony był w bezdennem zamyśleniu.

Zauważyłem to wszystko mechanicznie, największe jednak moje zdziwienie wywołała jego twarz. Była

ona dosłownie jakby ospowata, tak gęsto upstrzyły ją małe, purpurowe blizny, drobne, okrągłe centki, gładkie i słabo połyskujące w świetle lampy, które rozlewało się po niej we wszystkich możliwych kierunkach i pod wszystkiemi kątami. Widziałem dużo twarzy niemieckich pojedynkowiczów, pokiereszowanych przedziwnie i straszliwie, ale to były blizny długie i czyste, zupełnie niepodobne do źle wyleczonych centków, jakie szpeciły twarz mego dziwnego „vis-à-vis". Zacząłem zastanawiać się nad tem, co mogłoby spowodować takie mnóstwo ran: nie wybuch prochu, oczywiście, bo na skórze nie było ani śladu niebieskiego tatuowania, nieodłącznego od tych ran. Nie był to też wybuch strzelby, po którym pozostaje zwykle jedna szeroka, cięta głęboko rana a nie takie mrowie małych ranek, jakie ja tu miałem przed sobą. Nie mogłem w żaden sposób znaleźć rozwiązania tej zagadki, a kiedy tak siedziałem, obserwowany przeze mnie człowiek wyjął naraz ręce z kieszeni i nerwowo poruszył niemi przed swą twarzą, jakby zasłaniając się przed ciosami niewidzialnych napastników. Wtedy dopiero spostrzegłem, że jego ręce, dłonie a nawet przeguby, o ile wystawały z rękawów, pokryte były bliznami zupełnie podobnemi do tych, jakie miał na twarzy.

— Jak się macie, narody! — odezwał się w drzwiach czyjś nosowy głos, przerywając szorstko posępną ciszę, w której siedzieliśmy.

Do kabiny wszedł typowy Amerykanin, smukły i żywy. Miał twarz śmiałą, twardą, podobną do topora z profilu, a w jej fałdach połyskiwały krople

deszczu. Potrząsnął głową na powitanie, śmiałym krokiem i falując ramionami przedarł się przez obłok dymu i jednym ruchem usiadł na wypchanej włosiem końskiem kanapce koło pasażera, którego dziwny wygląd wzbudził mą uwagę. Usiadłszy, zaczął się rozglądać dokoła, rzucając szybkie, rozbawione spojrzenia, jak gdyby ta nasza angielska powaga, izolująca każdego z nas od tłumu, wydała mu się komiczną i niemożliwą do utrzymania na czas dłuższy.

— Gady! — wykrzyknął bez ceremonji. — To bajecznie dodaje ducha!

Jego bezwzględny ton na kawały krajał chmurne milczenie.

— Wyglądamy, jakbyśmy zjedli ćwierć korca gwoździ i jakby ten przysmak ciążył nam w żołądku. Chodźcie, zaprzyjaźnimy się. Nie zwykłem podróżować z mrukowatemi niedźwiedziami. Zbudź się, śpiochu!

To mówiąc, wyzywająco i zaczepnie szturchnął pod żebro swego melancholijnego sąsiada.

W całem znaczeniu tego słowa — jak gdyby dotknął sprężyny, która porusza mechanizm zegarowy zabawki. Czapka zleciała pasażerowi z głowy, ukazując czaszkę porosłą rzadkiemi włosami a pokrytą bliznami, jak jego twarz. On sam z krzykiem zerwał się na równe nogi, wyrwany nagle z przepastnych głębin swej zadumy. Oglądając się nerwowo, wsunął się w kąt, łapiąc rękami powietrze, z wytrzeszczonemi oczami, przerażony, ohydny. Cała jego postać wyrażała strach — strach, bezsilnie chcący się obronić przed niezliczonymi wrogami. Zęby miał zaciśnię-

te, nad niemi dziąsła jak dwie białe linje. Z piersi wydarł mu się charczący krzyk — coś pośredniego między szaloną wściekłością, bólem i ostatnim wysiłkiem woli.

Trwało to małą część sekundy — krótko, jak drgnienie przestraszonego człowieka — i dziwny pasażer w mgnieniu oka odzyskał równowagę i panowanie nad sobą. Wówczas rzucił zabójcze spojrzenie na Amerykanina — który stał jak wryty ze zdumienia — bryznął mu w twarz jadowitem przekleństwem i wściekły wypadł z kabiny.

— A bodaj cię jasny piorun! — wymamrotał Amerykanin. — Uf! Napiłbym się czego! Kto pójdzie ze mną?

Nikt nie skorzystał z jego zaproszenia.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie się z Tymoteuszem O'Harą. Kiedy jednak pół świata objechałem w jego towarzystwie, wszedłem z nim w przyjaźń i słyszałem, jak opowiadał o swych przygodach nie raz i nie dwa, znalazłem wytłumaczenie jego dziwnego zachowania się tego wieczoru. Żałuję, że nie mogę powtórzyć jego opowiadania jego własnemi słowy, bo O'Hara opowiadał plastycznie i z siłą. Niestety, oburzenie przeważnie brało nad nim górę, tak iż podczas opowiadania wybuchał klątwami a czasami nie posiadał się z wściekłości. Mimo to wersja, którą podaję czytelnikowi, jest ścisła i dokładna we wszystkich zasadniczych szczegółach, a moja własna, „z pierwszej ręki“ znajomość tej miłej rasy Murutów, w których ręce tak nieszczęśliwie wpadł O'Hara, pozwoliła mi jako tako wypełnić

luki opowiadania w tej formie, w jakiej ono w oryginale do mnie doszło.

Jakie dwadzieścia lat temu żył sobie w północnej części Borneo pewien człowiek — mniejsza o nazwisko — którego wciąż coś gnało z miejsca na miejsce i który szczególny pociąg czuł do stron nikomu nie znanych. Podjął się on zbadania wnętrza ziem nie należących do nikogo a które koncesjonowana Kompanja eufemistycznie nazywała swą „własnością". Wybrał się w głąb lądu z zachodniego wybrzeża i niewiele więcej o nim przez kilka miesięcy słyszano. Nagle pogłoska jakaś, pełna niepokojących szczegółów a tak nieuchwytna, jak zwykły, niosący febrę wiatr, wiecznie wiejący z głębi wyspy, dotarła do małych, brudnych osad i stacyjek na brzegu morskim a wkrótce potem spływające z gór ku morzu wody zniosły zwłoki podróżnika, straszliwie poszarpane i pokaleczone i wyrzuciły je na piasek niedaleko ujścia jednego strumienia na wschodniem wybrzeżu. Tu znalazło je dwóch Europejczyków, którzy z pomocą niechętnych krajowców pochowali ciało uroczyście, jak się to działo zawsze ze wszystkimi podróżnikami, starającymi się wedrzeć do centrum północnej części Borneo.

Za życia podróżnik znany był ze swej brody, wielkiej, żółtej kaskady z włosów, spływających mu na piersi niemal po pas; kiedy zwłoki jego znaleziono, ozdoby tej nie było. Koncesjonowana Kompanja, której jedynem zajęciem jest wypłacać dywidendy w mało sprzyjających okolicznościach, daleką była od uważania się za instytucję filantro-

pijną i nie mogła — jak się to dzieje w innych stronach Azji — wyrzucać swych skąpych dochodów na straszenie ludzi, zbyt swawolnie figlujących z życiem białych. Z tego powodu administracja miejscowa nie przedsięwzięła żadnych kroków w celu ukarania mieszkających w głębi kraju Murutów, którzy zabawiali się męczeniem biednego podróżnika aż do śmierci, ale świadomość, że broda zamordowanego została zgolona przez jakiegoś dzikusa i zdobi rękojeść noża wodza Murutów w głębi wyspy, do najwyższego stopnia jątrzyła umysły białych. Mądrzy i rozsądni członkowie zarządu bardzo dużo o tem mówili, na wszystkie strony głosili, iż to jest hańba i rzecz ohydna, ale roztropnie poprzestawali tylko na słowach. Młodzi i „narwani“ nie mówili tak wiele, ale wieść o brodzie stała się dla wielu z nich podniecającym bodźcem, marzeniem, czemś, co nawet w północnem Borneo robiło życie niemal znośnem, ponieważ wydawało się możliwem do uskutecznienia. Dla kilku z nich marzenie to stało się zwolna ideą „fixe“, celem, bez którego osiągnięcia żyć nie można, i nie jest wykluczonem, iż marzenie to niektórych uratowało od popełnienia jakiegoś jeszcze większego a natychmiastowego szaleństwa. Ryzyko wyprawy było wielkie, jednak przedsięwzięcie to odpowiadało ludziom, doprowadzonym do rozpaczy przez okoliczności, wśród których zmuszeni byli żyć.

Człowiekowi siedzącemu sobie w domu, w Anglji, otoczonemu miłemi rzeczami, mogącemi go każdej chwili rozerwać i nie narażonemu na większe niebezpieczeństwa, jak podróż dorożką, całe to gadanie

o brodzie zamordowanego może się wydawać niedorzecznie sentymentalnem i głupiem. Spróbujcie jednak choć na chwilę wmyśleć się w położenie samotnego „białego“ na jakiejś kresowej stacji w północnem Borneo. Wyobraźcie sobie walący się „bungalow“, kryty liśćmi palmowemi a zbudowany na wzgórzu niedbale wykarczowanem, z czterema kramami chińskiemi, i napół zburzony posterunek policji, kucający nad brzegiem czarnej, leniwo płynącej rzeki. Spróbujcie się przedzierać przez gąszcz błękitno-zielonych lasów, nie mogąc się ruszyć ani naprzód, ani wtył. Zapełnijcie ten las rzadko rozsypanemi chatami, gdzie brudni krajowcy pędzą życie zupełnie zwierzęce — krajowcy, których języka nie znacie, których sposobu myślenia nie rozumiecie, których jedynym znakiem życia jest wycie podczas orgij i pijatyk — krajowcy, których nienawiść można utrzymać w ryzach tylko wiecznem pogotowiem orężnem. Dodajcież do tego niemiłosierne gorąco, duszne powietrze, którem oddychać trudno, od czasu do czasu wybuch czarnej febry i brak pracy, broniącej umysł od przytępienia. Pamiętajcie, że ludzie, skazani na życie w tych stronach, nie używają sportu, nie mają żadnych rozrywek ani towarzystwa, że ich długie, duszne dni ciągną się jeden za drugim bez żadnej nadziei jakiejś odmiany i że ich kontakt ze światem zewnętrznym utrzymują tylko małe parowczyki, które się zawsze spóźniają i raz na miesiąc przybywają do ich stacji albo i nie. Cóż dziwnego, iż ludzie, żyjący w takich warunkach, cierpią na melancholję, że o zjawiskach najzwyklejszych zaczynają myśleć

w sposób niezawsze zdrowy i że świadomość, iż życie ich i bezpieczeństwo zależy tylko od grozy, jaką się otacza biały, działa czasami na ich nerwy i czyni ich szczególnie wrażliwymi na obrazę honoru ich rasy! Jeśli to wszystko weźmiecie pod uwagę, zrozumiecie, dlaczego wieść o brodzie zamordowanego podróżnika wywołała tak wielkie wzburzenie w północnem Borneo.

Tymoteusz O'Hara i Harold Bateman żyli w opisany przeze mnie powyżej sposób dobrych kilkanaście lat. Mieli dużo czasu do zastanawiania się nad brodą podróżnika i bezustannego omawiania tej sprawy, aż wreszcie popadli w coś w rodzaju fanatyzmu — w cichą, do białości rozpaloną wściekłość bez granic. Zdarzyło się tak szczęśliwie, iż obaj rozpoczynali swój urlop w jednym i tym samym dniu. Rozumie się, naradzili się gruntownie i postanowili zorganizować prywatny „raid“ na własną rękę na terytorjum Murutów w celu odebrania im trofeum. Wynikło z tego, iż przygotowania do wyprawy porobili w ścisłej tajemnicy i że najęli też dwunastu złośliwych Dyaków ze Sarawaku, którzy mieli działać jako oddział karny. Ten sposób postępowania był niewłaściwy i najzupełniej nielegalny, można było jednak spodziewać się po nim zajmujących przygód, zaś O'Hara i Bateman byli młodzi i niezbyt mądrzy. Dodać też trzeba dla ich usprawiedliwienia, że mieli za sobą sześć lat miażdżąco monotonnego życia, w trakcie którego przywykli patrzeć na Murutów z głębi lądu jako na swych naturalnych wrogów i że pustka i martwa samotność ich życia uczyniła ich dzikimi

tak, jak najbardziej oswojone zwierzę musi wreszcie zdziczeć, gdy się znajdzie niespodziewanie w bezlitosnych kleszczach potrzasku.

Nie chcę usprawiedliwiać ich postępków. Zadaniem mojem jest opowiedzieć o nich. O'Hara i Bateman pewnego pięknego poranku zniknęli z ostatniej stacji kresowej quasi-cywilizacji, opowiadając, iż udają się na polowanie na grubego zwierza — co było prawdą. Ich mała ekspedycja wszyła się w las i puszcza pochłonęła ją. Z chwilą gdy stanęli na tem nieznanem i niezbadanem terytorjum, nikt już nie mógł ich zawrócić z drogi. Zginęli jak szpilka na dziesięciomorgowej łące. Tu dopiero swobodniej zaczęli oddychać, bo wydostali się z wąskiego pasa ziemi, na którym jeszcze miały znaczenie prawa białego człowieka i w przyszłości nie potrzebowali się już kierować niczem innem, jak tylko własnem prymitywnem poczuciem złego i dobrego.

O ile wiem, drogę mieli bardzo ciężką, bo bieg czarnych i tłustych rzek, płynących z głębi lądu, mieli przeciw sobie a mniejsze strumienie stały się tak rwące, iż trzeba było łodzie porzucić. Szli tedy piechotą, z psią zaciętością wędrując z góry na górę, z trudem wspinając się po stromych stokach, staczając się po drugiej stronie z urwisk, brodząc po bagniskach wśród wzgórz lub przedzierając się przez sięgającą im pasa gęstą trawę „lalang", której zielona powierzchnia, odbijając światło słoneczne, biła ich jak pięścią wprost w twarze, okryte hełmami. Z obolałemi członkami, napół oślepieni potem, który im zalewał oczy, trapieni przez słońce, pokłuci w cier-

nistych krzakach, pożerani przez pijawki drzewne, kłuci przez wszelkie możliwe owady dżungli i przerażeni trudnościami, których pokonania sami się podjęli a przed któremi teraz ich własna duma nie pozwalała się im cofać, parli wciąż naprzód zaciekle, uparcie, z każdym trudnym krokiem stając się coraz dzikszymi i mściwszymi. Cel ich wyprawy, złote runo brody, stał się sztandarem, w którego obronie wytężali wszystkie siły w piekle walki bez końca. Ich postanowienie odebrania tej brody stało się szaleństwem, opętaniem: zupełnie zaprzątnęło ich dusze, podniecało ich do nowych przedsięwzięć, kazało im zapomnieć o zmęczeniu, nie pozwalało im spocząć. Zaś to rozgoryczenie, jakie ich ogarniało wśród trudów podróży, potężnie zapalało ich przeciw Murutom, których brak uszanowania dla człowieka białego zmusił do tak wielkich wysiłków tych dobrowolnych mścicieli swej rasy. Więc gdy siedzieli przy mało ponętnej wieczerzy po ukończonych trudach dnia, toczyli krwawe rozmowy o zemście, jaką wywrą, i o karze, jakiej poddadzą plemię, które okaże się w posiadaniu poszukiwanego przez nich trofeum.

Charakterystycznym rysem ich marszu było, iż rozsądek nigdzie nie pozwalał dłużej się zatrzymywać. Murut w północnem Borneo jest pod względem umysłowym dość tępy i potrzebuje czasu, zanim mu się wreszcie uda powoli coś wymyśleć. Jest on skrytobójcą z zawodu i z zamiłowania i odznacza się szczególną namiętnością do zbierania cudzych czaszek, w czem jest tak bezwzględny i fanatyczny, jak nowoczesny filatelista. Gdzie tylko ujrzy obcego, zaraz

zaczyna marzyć o jego czaszce, ponieważ jednak nie odznacza się odwagą, lubi tę czaszkę zdobyć bez najmniejszego niebezpieczeństwa dla swej skóry. Rozwiązanie bądź co bądź trudnego problemu, jakby to zrobić, i wypracowanie najbardziej odpowiedniego planu wymaga ze strony Muruta wysiłku umysłowego dwóch do trzech dni. Podróżnik, jak o tem O'Hara i Bateman dobrze wiedzieli, zginął głównie dlatego, iż, padając z nóg ze zmęczenia, pozwolił sobie spędzić więcej niż jedną noc pod gościnnym dachem Muruta, któremu w ten sposób dał czas do wypracowania planu. Gdyby, nie zważając na zmęczenie, ruszył w dalszą drogę, być może, wszystko skończyłoby się dobrze, ponieważ w kraju, gdzie wsie żyją w wiecznej ze sobą wojnie, już po krótkim marszu znalazłby się na terytorjum obcem, które znów mógłby opuścić, zanimby dojrzał plan zamachu na jego życie. Dlatego O'Hara i Bateman, bez względu na zmęczenie musieli wciąż iść naprzód i naprzód, zrywając się równo ze świtem.

Nieraz brud i zaduch długich, dusznych chat — a w ciemnem wnętrzu każdej z nich mieściła się ludność całej gminy, wszystkie świnie i wszystek drób pod sienią (chaty malajskie nawet w głębi lądu zbudowane są na palach) na krokwiach zas i belkach widać było tyle poczerniałych czaszek ludzkich, ile ich się mogło zmieścić — nieraz brud i zaduch nieznośny tych chat przyprawiał ich o mdłości, tak, że nocowali w dżungli. Tam były tylko zwierzęta drapieżne — szanujące się i względnie czyste w porównaniu z domowemi zwierzętami krajowców — na

wszelki wypadek jednak należało stawiać czujne straże, a to po męczącym całodziennym marszu było uciążliwe tak dla Dyaków jak i dla „białych“.

Właśnie pewnego wieczoru rozbito obóz w takiem miejscu a ponieważ za mało było mięsa, tuż zaś w wierzchołkach niedalekich drzew słychać było gruchanie gołębi, O'Hara wziął swą dubeltówkę i powlókł się sam do lasu, aby upolować parę ptaków na kolację. Dżungla była w tych stronach bardzo gęsta, ale to tak gęsta, że nie widziało się dalej, jak na dwanaście łokci. Zato gołębi było mnóstwo a kiedy przelatywały z drzewa na drzewo, O'Hara szedł za niemi, nie widząc nawet, w jakim kierunku oddala się od swego punktu wyjścia. Spostrzegł to jednak dopiero o zmierzchu i kiedy się zatrzymał, aby podnieść ostatniego gołębia, którego szukanie w krzakach zajęło mu więcej czasu niż sądził, przyszło mu na myśl, że powinien wracać do obozu, a nie orjentuje się dobrze, w której stronie on leży. Właśnie chciał rozejrzeć się w terenie i poszukać ścieżki, którą był przyszedł, gdy naraz do uszu jego doleciał jakiś lekki szmer w krzowiu. Pomyślał, że może to który z Dyaków wyszedł z obozu, aby go poszukać, chciwie tedy oczekiwał powtórzenia się szelestu, spodziewając się, iż będzie mógł z niego odgadnąć, czy to zbliża się człowiek czy zwierzę. Kiedy tak nadsłuchiwał przez chwilę pochylony, cichy trzask rozległ się znowu, ale już głośniej, wyraźniej i znacznie bliżej — a w tej samej chwili, zanim miał czas obrócić się lub zdać sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, coś ztyłu skoczyło na niego

i szarpnęło nim tak, że padł na twarz aż ziemia jęknęła. Upadek spowodowało coś, co było ruchliwe i ciepłe, osłabiło go jednak posłanie ze zwiędłych liści i krzowie. Dlatego O'Harze nic się nie stało, mimo że w pierwszej chwili stracił oddech, zaś to coś niewidzialne, szamoczące się i rozciągnięte na jego plecach, przyciskało go do ziemi. O'Hara wykręcił głowę, chcąc zobaczyć, co go napadło a równocześnie jakaś szatańska twarz wyjrzała o cal czy dwa cale z poza jego ramion. Widział ją tylko przez mgnienie oka, ale — jak zwykł był mówić — był to widok, którego przez całe życie nie mógł zapomnieć. Ile razy ta twarz po latach mu się przyśniła — a zdarzało mu się to z pewnością — budził się z krzykiem. Była to twarz dzika, bronzowa a przecież blada, zasmarowana błotem i popiołem drzewnym, z niskiem, wtył cofniętem czołem, z bestjalskim, wystającym pyskiem i z małym, drgającym podbródkiem. Małe czarne oczy, okrutne i podniecone, okolone były złemi, czerwonemi ranami, ponieważ rzęsy wyrwano. Brwi również nie było, zato z górnej wargi wisiało kilka nieczystych, krętych kosmyków. Twarz rozcinał napoprzek rząd nierównych zębów, śpiczastych jak zęby żbika i silnie zaciśniętych, podczas gdy nad niemi i pod niemi warczały obnażone dziąsła, co świadczyło o wysiłku fizycznym ich właściciela. Włosy, z szerokim rozdziałem na środku głowy, brudne i źle utrzymane, związane były po obu stronach w precelki, co nadawało tej istocie dziwaczny, bezpłciowy wygląd. O'Hara zauważył to wszystko w jednej sekundzie, a gdy przerażenie, jakie w nim wzbu-

działa ta twarz, wywołało natychmiast z jego strony opór i chęć walki, ostre kolano z taką siłą uderzyło go w kark, iż głowa jego padła na ziemię a on sam prawie stracił przytomność. Leżał przez chwilę nieruchomo, czując równocześnie, jak małe, złodziejskie ręce pomykały to tu to tam, nad jego członkami, pod niemi, dokoła nich, przewijając plecione łyko, które, ściągnięte nagle, aż się mu wżarło w ciało. Do tej chwili wszystko odbywało się w głuchem, nienaturalnem milczeniu, które całej scenie nadawało do pewnego stopnia dziwny, nierealny charakter zmory czy przywidzenia. Teraz jednak, kiedy O'Hara, rozciągnięty jak długi leżał już z twarzą w liściach, wieczorna pieśń owadów leśnych, rozlegająca się w dżungli o zmroku, została nagle przerwana wybuchem dziwnych dźwięków — jakiemś gulgotaniem, żywą rozmową zmieszaną ze zgrzytliwemi piskami, poświstywaniem i drewnianem gdakaniem, które u Murutów zastępuje śmiech. Ale nawet teraz głosy dzikusów były stłumione, jakby w obawie, aby ich nie usłyszano. O'Hara, domyśliwszy się, iż Muruci obawiają się, aby przyjaciele ofiary ich nie zauważyli, krzyknął, mimo iż liście dostały się do jego ust i stłumiły głos.

Natychmiast małe, żywe rączki zaczęły po nim biegać tam i sam, krępując go jeszcze silniej a nieludzkie głosy zaczęły piszczeć, gulgotać i szczebiotać z większem podnieceniem niż przedtem. Podniesiono O'Harę, przewrócono nabok, wreszcie nawznak tak, iż ziemia głucho pod nim jęknęła. Krzyknął jeszcze raz z całej siły, ale najbliższy Murut natych-

miast wcisnął mu w usta swą zrogowaciałą piętę. O'Hara wściekle gryzł tę rzecz, ale zęby jego najmniejszego wrażenia nie robiły na stwardniałym naskórku Muruta i zanim mógł znowu krzyknąć, już go zakneblowano kawałkiem drzewa. Rozpacz go ogarnęła i przez chwilę leżał nieruchomo, upokorzony poczuciem swej zupełnej bezsilności, podczas gdy gwar pisków, poświstywań i gdakania, dotychczas wciąż tłumiony, rozlegał się coraz głośniej i zgrzytliwiej.

Plecione łyko krępowało O'Harę tak silnie, że tylko głową mógł swobodnie poruszać. Teraz, podniósłszy ją trochę, pierwszy raz ujrzał swych prześladowców. Była to brudna gromada małych, napół zagłodzonych, wynędzniałych istot, nie większych jak przeciętne czternastoletnie dzieci w Europie, lecz z niesłychanie brutalnemi twarzami, obciążonemi, zdawało się, całemi wiekami nędzy i zwierzęcego zdziczenia. Wszyscy byli nadzy, wyjąwszy napół zgniłych przepasek dokoła biódr, obrzydliwie brudni a skóra ich przeżarta była jakby trędowatą wysypką. Nie mieli ani rzęs, ani brwi, które powyrywano z korzeniami, zato głowy ich pokrywały gęste czupryny, starannie zaplecione na karku. Każdy miał po kilka dzid a u pasa wiszący długi nóż w drewnianej pochwie, ozdobionej pękami włosów. Jeden z nich — właśnie ten, którego O'Hara ujrzał, oglądając się przez ramię — potrząsał wciąż nożem przed twarzą jeńca z dziwaczną gestykulacją i O'Hara trząsł się z obrzydzenia, ile razy policzków jego dotknęły kłaki, okrywające pochwę. Gasnące światło było już bardzo blade i pozwalało widzieć tylko

kształty rzeczy otaczających; barwa zniknęła w cieniach mrocznego lasu. Szczerzący zęby, pyszniący się Murut, który tańczył dokoła O'Hary i wywijał nożem, z tem obrzydliwem trofeum, drażnił go. Jeśli myślał o morderstwie, czemuż nie wyciągał noża z pochwy? Niekonsekwencja tego tańca wojennego była nową torturą dla pogrążonego na dnie nędzy O'Hary.

Teraz w polu jego widzenia pojawiło się naraz dwóch Murutów z długim, zielonym drągiem. Drąg ten wciśnięto między ciało O'Hary i więzy, które nieco rozluźniono. Kiedy tego dokonano, cała banda dźwignęła jeńca, podsunęła ramiona pod wystające końce drąga i ruszyła drobnym kłusem.

Więzy, zaciśnięte niemiłosiernie wskutek podłożenia pod nie drąga, w straszliwy sposób wżerały mu się w ciało. Pozbawiona wszelkiego oparcia głowa zwisała, kołysząc się gwałtownie, tak iż krew uderzała mu do mózgu, powodując silny zawrót i wysadzając mu oczy z oczodołów. Czuł, jak skrępowane łykiem członki puchną mu, prócz tego dostał straszliwych mdłości. Wszystkiemi jego członkami szarpały bolesne kurcze i gdyby ta podróż trwała długo, Tymoteusz O'Hara nie przybyłby żywy do celu. Jednakże w bardzo krótkim czasie wolniejsze tempo marszu i poświstywanie przez Murutów nosem dało mu do poznania, że droga wiedzie pod górę — jako że ten dziwny naród nigdy się w marszu nie zadyszy, co O'Hara mógł nieraz zauważyć podczas trudniejszych wycieczek z krajowcami. Niebawem ujrzał też ogień błyskający poprzez nogi Murutów, biegnących przed

nim, a to — jak wiedział z doświadczenia — świadczyło, iż wieś jest w pobliżu.

W parę minut później, właśnie kiedy już sądził, że bezwarunkowo straci przytomność Muruci stanęli we wsi. Była to długa, ciasna chata, zbudowana na palach, z wejściem u obu końców. Z progów prowadziły na ziemię strome drabiny. Muruci skierowali się ku najbliższej drabinie ze swym jeńcem, którego zaczęli wciągać na górę tak, że biedak bił głową o każdy szczebel. Wreszcie z radosnem pochrząkiwaniem złożyli swój ciężar na bambusowej podłodze. Przez chwilę panowało milczenie, ponieważ cała gmina zebrała się dokoła „białego“, przyglądając się mu z wielką ciekawością i tajonem okrucieństwem. A naraz, jakby na dany znak, wszystko — mężczyźni, kobiety, dzieci — wybuchło szatańskim chórem ryku i wycia. Była to istna orgja wrzasku. Niektórzy, siedząc na piętach i podpierając się ztyłu wyciągniętemi ramionami, zadzierali brody pod powałę i wyli jak opętani. Inni, stojąc prosto, otwierali usta jak mogli najszerzej i wypuszczali całe serje przeraźliwych, krew mrożących szczeknięć. Jeszcze inni zamykali oczy, podnosili ramiona i zogniskowawszy w wysiłku każdy atom energji, piszczeli, dopóki się im głos nie złamał. Rozdzierający uszy zgiełk brzmiał, jakby wszyscy djabli w piekle się wściekli. Słyszany zdaleka ten dziki triumf, szatańska radość, wyrażona tym wrzaskiem, mogła zmrozić krew w żyłach ludzi najmężniejszych, ale słyszana tuż nad głową przez osamotnionego „białego“, którego niewola wywołała ten ryk ohydny i który

wiedział, że zdany jest na łaskę i niełaskę swych wrogów, mogła spowodować pomieszanie zmysłów. Jak mi to sam O'Hara opowiadał, w tej chwili zapomniał o bólu, jaki wciąż sprawiały mu jego więzy, zapomniał nawet swej myśli o ucieczce, pragnąc jedynie i wyłącznie końca, śmierci, którąby go wyzwoliła z tego piekła. Mówił, że umysł jego pracował w tej chwili nadspodziewanie sprawnie i szybko i „jak gdyby należał do kogoś innego". W całej serji wysiłków umysłowych przypomniał sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o zwyczajach i obyczajach Murutów, o dziwnych celach, do których używają swych jeńców. A działo się to podczas gdy władł nim straszny jakiś niepokój i pragnienie, aby raz przecie zaczęli już coś robić — aby się to jego okropne oczekiwanie skończyło.

A tymczasem Muruci święcili swój triumf całą duszą. Wielkie, gliniane kadzie, tak wielkie, że w każdej wygodnie można było utopić dziecko, stały już gotowe do koła sieni, stanowiącej niby „rynek" gminy a na którą wychodziły „separatki" poszczególnych rodzin. Do tych kadzi Muruci — mężczyźni, kobiety i dzieci — nieustannie zaglądali, szczebiocząc coś przy nich i ssąc przez długie, bambusowe rurki obrzydliwy płyn, który je wypełniał po brzegi. Każdy, kto się wreszcie odczepił od kadzi, zaczynał wyć ze zdwojoną energją a im więcej pito tej „ognistej wody", tem dziksze, wścieklejsze i bardziej bydlęce stawały się krzyki.

Tymczasem jakieś pół tuzina Murutów było najwyraźniej zajętych jakąś robotą na górze, tuż za głową

O'Hary, bo choć i oni często brali udział w ceremonji dokoła kadzi z napojem, jak tylko zaspokoili pragnienie, natychmiast wracali do swego kąta, gdzie ze zdwojoną energją rąbali coś i przybijali. O'Hara był pewny, że ludzie ci pracowali nad jakiemś piekielnem narzędziem tortury i do szaleństwa doprowadzało go, że nie mógł się przekonać, coby to mogło być. Wyobraźnia malowała mu oczywiście wszystkie możliwe okropności, o jakich kiedykolwiek słyszał lub czytał. Przez cały ten czas orgje „na jego cześć" trwały wciąż i stawały się coraz wścieklejsze i głośniejsze.

Nagle ukryta za nim grupa mężczyzn wydała coś w rodzaju przeraźliwego koziego miauczenia, na którego odgłos wszyscy Muruci zerwali się na równe nogi i z ohydnemi okrzykami i opętańczym śmiechem rozpoczęli jakiś okropny taniec. W chwilę później zaskrzypiała lina przerzucona z czemś ciężkiem u końca przez belkę pod dachem, a kiedy koniec jej przywiązano do przeciwległej ściany, O'Hara ujrzał wielki przedmiot, wiszący w powietrzu i kołyszący się w środku werandy bezpośrednio nad nim. Kiedy naprężył kark, z wysiłkiem starając się dokładniej w niepewnem świetle łuczyw zobaczyć, coby to było takiego, zobaczył wielki kojec nierównego kształtu i wymiarów, z prętami rozsadzonemi w odległości sześciu cali od siebie a posiadający z jednej strony szeroki otwór. Zaledwie miał czas zdać sobie sprawę z tego, co widzi, gdy naraz tłum Murutów, kobiet i mężczyzn, rzucił się na niego, porozcinał jego więzy, i, tyrpiąc i bijąc go nielitościwie, dźwignął i do-

słownie wrzucił przez otwór do kojca. Kojec zatrzeszczał głośno. Muruci zawyli z radości a dwaj z nich natychmiast zaczęli zabijać pośpiesznie otwór poprzecznemi prętami. Potem cały tłum odstąpił trochę, choć zgiełk nie ustawał ani na chwilę, zaś O'Hara zacisnął zęby, aby stłumić jęki bólu, jakiego doznawał po usunięciu więzów. A ból to był tak przejmujący, że w pierwszym momencie kazał zapomnieć nawet o strachu i innych wzruszeniach, jako że z chwilą, gdy krew znowu zaczęła krążyć swobodnie, O'Hara doznawał uczucia, jakby w każdy cal jego ciała wbił się szarpiący ząb. Kończyny jego były bezsilne, bezwładne, zdrętwiałe i zimne jak lód, ale O'Hara miał silną naturę a w tym właśnie czasie znajdował się w kwiecie wieku i sił. Dlatego w niewiarygodnie krótkim czasie ból minął i on odzyskał zupełną władzę w członkach.

Zrozumiał to, gdy spostrzegł, z jaką szybkością rzucił się nagle ku środkowi kojca, zmuszony do tego bolesnem ukłuciem w plecy. Chciał wstać, lecz w tej chwili uderzył głową o dach; wówczas, napół leżąc, obrócił się w kierunku, skąd go dosięgnął cios. To, co zobaczył, napełniło go zgrozą. Naczelnik Murutów, ten właśnie, który go wziął do niewoli, z nabiegłemi krwią od picia oczami, stał przed nim i, przybierając groteskowe pozy, wywijał rękami, w których trzymał swój nóż i pochwę. Łatwo można się było domyślić, że tym właśnie nożem tak boleśnie ukłuł O'Harę w plecy, ale w tym strasznym momencie nie nóż przykuł do siebie uwagę białego, lecz pochwa, z której zwisał długi, kudłaty pęk miękkich, żółtych

włosów — złote runo, którego właśnie O'Hara i Bateman poszukiwali. Dziki w mgnieniu oka domyślił się, iż ofiara jego poznała trofeum, na które od dłuższego już czasu starał się zwrócić jej uwagę, zaś zgromadzeni Muruci wyraźnie okazywali, iż pojmują cały „komizm“ położenia. Zaczęli wrzeszczeć, wyć i szczekać z jeszcze większym entuzjazmem, niż dotychczas. Niektórzy tarzali się po podłodze, z członkami i twarzami wykrzywionemi paroksyzmami dzikiej wesołości, drudzy tańczyli lub klepali swych towarzyszów po nagich łopatkach, piszcząc lub chrzęszcząc jak zdemoralizowany mechanizm zegarowy. Nowe ukłucie ostrą bronią sprawiło, iż O'Hara wierzgnął w swej klatce jak koń ugryziony przez muchę, lecz zanim odzyskał równowagę, ze dwadzieścia delikatnie wymierzonych ostrzy pokryło lekkiemi ranami całą jego twarz i ręce. Kiedy noże dotykały go, właściciele ich zadzierali głowy do góry i z przenikliwą, dziwaczną intonacją powtarzali jakieś zaklęcie, z którego O'Hara nie rozumiał ani jednego słowa, wyjąwszy Kina-Bolu, nazwy wielkiej góry, panującej nad Borneo Północnem a uważanem przez krajowców za wieczystą siedzibę duchów ludzi umarłych.

Dopiero wtedy O'Hara zrozumiał, co się z nim dzieje. Nieraz słyszał o obrzędzie Murutów, zwanym „*bangun*“, a który miał na celu uzyskanie kontaktu i umożliwienie żywym porozumienia się z umarłymi. Widział nawet, jak oswojeni już trochę Muruci powiesili, tak samo jak teraz jego, świnię, którą zakłuwali starannie i długo, obarczając ją równocześnie zleceniami dla dusz umarłych krewnych i przypomi-

nał sobie zarazem, jak aż mdło zrobiło mu się na widok tego obrzydliwego okrucieństwa i jak miał szczerą ochotę rozprawić się radykalnie z temi religijnemi obrzędami krajowców, wbrew poleceniom rozsądnego rządu, któremu służył. Teraz jego oczekiwała taka śmierć cal po calu nakształt owej świni i wiedział już, że nie kłamali ludzie, którzy mu opowiadali, iż to nieszczęsne zwierzę zastępowało tylko szlachetniejszą ofiarę ze względu na „przesądy" Europejczyków a ku wielkiemu niezadowoleniu oswojonych Murutów.

Myśli te przeleciały mu przez głowę z błyskawiczną szybkością, bo zresztą zdawało mu się, iż najdrobniejsza cząstka jego sił umysłowych skupiała się w jedynem usiłowaniu — obrony przeciw tłumowi prześladowców. Wpełznąwszy do środka kojca, mrucząc jak kot, z oczami wysadzonemi z oczodołów, z ciałem naprężonem do skoku, z rękami wyciągniętemi przed siebie i odtrącającemi groty włóczni i noże, przewracał się z boku na bok, oddychając z trudnością i w dłuższych tylko odstępach czasu. Co sekundę jedno lub dwa ostrza zmuszały go do obrócenia się z okrzykiem wściekłości na drugi bok na to tylko, aby Murutom stojącym po drugiej stronie dać sposobność do nowych ukłuć. Naraz usłyszał własny swój głos podniesiony a wymawiający z wściekłością najstraszniejsze przekleństwa i bluźnierstwa i te znane dźwięki mowy ojczystej uspokoiły go trochę i dodały mu odwagi. Prawie zupełnie nie czuł bólu jako bólu, odczuwał tylko konieczność odbijania za wszelką cenę wszystkich ciosów, wymierzanych mu przez nieprzyjaciół a każde niepowodzenie doprowadzało go do wście-

kłości. Rzucał się w swej klatce ze zręcznością i żywością, która go zdumiewała a kołysanie się kojca zdawało się mu odpowiadać głuchym uderzeniom jego serca. Nieraz opadał. Wówczas kłuto go w twarz i głowę strasznie, póki się znowu nie zerwał; ciosy odbijał przeważnie gołemi rękami. Mimo to nie zważał na rany, zaś umysł jego znajdował się w podnieceniu graniczącem z szałem i miotała nim wprost furja wściekłości z tego powodu, że jego, białego człowieka, w ten niecny sposób traktuje banda nikczemnych Murutów. Istotnie, nie był ani razu cięższej raniony, albowiem Muruci, którzy mieli wiele zleceń dla swych umarłych krewnych, starali się zachować go przy życiu jak najdłużej, i mimo, iż dużo pili, kłuli go z rafinowaną ostrożnością. Jak to długo trwało. O'Hara dobrze nie wiedział, ale wreszcie wyczerpany upływym krwi, utratą oddechu i gwałtownem biciem serca padł bez czucia na dno swej klatki.

Wówczas Muruci, zauważywszy, że jeniec nie reaguje już na ukłucia, porzucili go i obsiedli swe cebrzyki z napitkiem. Zabić go postanowili o świcie, wczesnym rankiem, jak tylko się po nocnym bankiecie pobudzą, i wówczas biały zostanie rozsiekany na kawałki po długim, rozkosznym „bangunie". Zależało tedy na tem, aby miał jeszcze dość sił, a tymczasem wstrętne domowej roboty trunki miały dać tę ilość szczęścia, jaka dla Muruta leży w zapomnieniu choć na chwilę nędzy własnego życia. Zatem z hałaśliwą gościnnością Muruci zachęcali się wzajemnie do picia, znajdując zresztą łatwy posłuch. Z głośnemi okrzykami i wybuchami śmiechu odejmowano matkom od

piersi niemowlęta i dawano im ssać rurki bambusowe a ich wzrastające objawy upicia się wywoływały wesołość zarówno u mężczyzn jak i u kobiet. Wrzaski ucztujących stawały się coraz dziksze i bardziej zwierzęce. Grupy, zgromadzone dokoła cebrzyków, rozchodziły się a członkowie ich, odpełznąwszy od nich na czworakach, padali i leżeli na ziemi bezwładni lub też dźwigali się czasem tylko poto, aby oddać co wypili i pić dalej.

Już dawno, zanim rzeczy doszły do tego punktu, O'Hara odzyskał zmysły, ale rozsądek kazał mu leżeć cicho jak mysz. Parę razy to ten to ów pijany Murut dźwigał się na nogi, podchodził ku niemu i kłuł go, lecz O'Hara, starając się całą siłą zapanować nad sobą, nie dawał znaku życia. Wreszcie wszyscy Muruci zapadli w ciężki, pijacki sen, wyjąwszy naczelnika, u którego noża powiewała broda zamordowanego podróżnika. Jego małe, czerwone oczy z pijanym uporem zwracały się wciąż ku O'Harze, który ze zgrozą przyglądał mu się z pod przymkniętych powiek. Murut co chwila podpełzał ku najbliższemu cebrzykowi i pił z obrzydliwem gulgotaniem w gardle. Czasami dźwigał się z trudnością, chcąc powstać, a wówczas mruczał coś i nieudolnie wywijał bronią, ale za każdym razem spadał ciężko na podłogę. Widać było, że sen bierze nad nim górę, wreszcie bezrzęse powieki przykryły jego gasnące oczy.

W tej samej chwili ustał naraz delikatny, cichy szmer piłowania, szmer, od kilku już minut zwracający na siebie uwagę O'Hary, który mimo to ani palcem nie śmiał poruszyć, aby się przekonać, co to ta-

kiego. Wówczas zdołu, z pod jego kojca, doleciało go coś jakby cień szeptu, a obróciwszy się z niesłychaną ostrożnością i spojrzawszy wdół, ujrzał w niepewnem świetle, iż w podłodze odpiłowano dwie deski. Z czarnej dziury też pod nim wyglądały twarze dwóch jego Dyaków, a kiedy się im przyglądał, jeden z nich wślizn ł się do chaty i zaczął usuwać pręty z jego kojca, pracując bez najmniejszego szelestu, jak duch. Wszystko to stało się tak cicho a O'Hara był tak umęczony ostatniemi przejściami, iż miał wrażenie, że to tylko przywidzenia gorączkowe, zesłane mu dla powiększenia jego męki. Czuł, że gdyby choć na chwilę uwierzył w możliwość ratunku a potem doznałby zawodu, oszalałby niezawodnie. Przygnębienie fizyczne i umysłowe wyczerpało go już. Resztką przytomności starał się powstrzymać od jakiejś ekstrawagancji a naraz opanowała go niedorzeczna chęć krzyknięcia głośno. Walczył z samym sobą — ze „sobą“ nieznanym, choć identyczność „jego“ nie ulegała żadnej wątpliwości — pasował się ze sobą jak z kimś obcym. Wmawiał w siebie, że to wszystko to tylko igraszka chorych zmysłów, że nie może doprowadzić go do tego, aby dał się zwodzić przywidzeniom. A gdy tak sam siebie przekonywał, zaczynała się w sercu jego rodzić nadzieja, szalona, dzika, histeryczna nadzieja, od której drżał jak osika, zalewał się łzami, która cichemi łkaniami wstrząsała mu pierś.

Kiedy tak leżał bezwładny, rozbity, niezdolny już do męskiego zniesienia tej nowej męczarni, cień drugiego Dyaka zręcznie wynurzył się z ciemności

pod podłogą chaty i przyłączył się do swego towarzysza, który tymczasem zrobił już przestronny otwór w kojcu. Wówczas obaj chwycili O'Harę, tak samo niedosłyszalnie cicho wyjęli go z kojca i spuścili przez dziurę w podłodze na ziemię. Samo dotknięcie ich rąk srogi ból sprawiało jego poszarpanemu ciału, ale ten ból był rozkoszny, bo czyż nie świadczył najniezbiciej, że to, co się dzieje, nie jest snem? O'Hara nigdy nie mógł nam powiedzieć, jakich uczuć wdzięczności i ulgi wtedy doznał, bo wszystko, co sobie mógł przypomnieć, to było to, że osłabłszy naraz i skarżąc się jak dziecko, chwycił się obu Dyaków, łkając i płacząc na ich plecach, nie oglądając się już na swą godność ani na przyzwoitość, nie panując już nad sobą i rozstrojony do ostateczności. Przypominał sobie też niejasno, że gdzieś, jakby w parę wieków później, znalazł się w obozie Batemana, otoczony swoimi ludźmi, i że nagle zauważył, że jest zupełnie nagi. Twierdzi, że zupełnie nie wie, co się potem działo.

Zakończenie tej historji znam od Batemana, który mi ją opowiedział, kiedy się z nim raz przypadkowo spotkałem na jednej z bardzo oddalonych placówek na Borneo. Rozmawialiśmy wówczas do późna w nocy i Bateman rozgadał się trochę, może podniecony ciszą i milczeniem późnej godziny a może dlatego, że nie mieliśmy świadków.

— Straszna to była noc — mówił — kiedy biedny O'Hara nagle mi znikł. Dyakowie rozbiegli się po całej okolicy po dwóch, aby szukać jego śladów, zaś ja pozostałem w obozie, ponieważ księżyc świecił słabo i noc była zbyt ciemna dla oczu białego czło-

wieka. Może sobie pan wyobrazić, ile mnie kosztowała ta bezczynność i niepokój o O'Harę. Zwłaszcza, gdy Dyakowie para po parze zaczęli wracać, wszyscy z pustemi rękami, opadło mnie takie przygnębienie, że myślałem już, iż zwarjuję. Gdzieś około trzeciej nad ranem wróciła ostatnia dwójka i aż zdębiałem, kiedym zobaczył z nimi biednego O'Harę. Puścił ich i wlazł w sam środek obozu, zupełnie goły, poszarpany na kawałki nożami tych przeklętych Murutów; ale rany nie były głębokie a krew na nich przeważnie już przyschła. Wyglądał strasznie i natychmiast poskoczyłem do niego, aby mu założyć opatrunki, lecz on odtrącił mnie brutalnie i z oczu wyczytałem mu, że oszalał. Stał tak wśród nas, potrząsając rękami nad głową, klnąc po angielsku i w dialekcie krajowców i gestykulując dziko. Dyakowie odskoczyli od niego i widziałem, że jego widok napawa ich śmiertelnym strachem. Kilka razy próbowałem przemówić do niego i uspokoić go, ale nie chciał mnie nawet słuchać i przez jakich pięć minut stał tak, wściekając się i wymyślając, rzucając się czasem po warjacku to w tę to w tamtą stronę i mieszając wyzwiska z niezrozumiałemi rozkazami. Jeden z Dyaków przyniósł mu spodnie. Przyjrzawszy się im, jakby nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział, wdział je jednak i przez mgnienie oka stał, dziko rozglądając się dokoła. A potem chwycił karabin, nabił go, przerzucił przez gołą pierś pas z nabojami i wyszedł z obozu z całą gromadą Dyaków u pięt, zanim miałem czas go zatrzymać.

Nie było wyboru, musiałem iść za nim. Ani mi

się śniło zostawać samemu w tym dzikim kraju a już zwłaszcza wtedy. Jeden Dyak powiedział mi, że on ich prowadzi na wieś Murutów. Widzi pan, ja mówię tylko po malajsku a O'Hara zna narzecze Dyaków, więc oni jego, nie mnie, słuchali i ja nic nie mógłbym poradzić. Cokolwiekby już było, dla mnie było proste jak drut, że się wściekł, poprostu zwarjował. Starałem się mu to wytłumaczyć, musiałem jednak dać spokój, bo mnie chciał zastrzelić, a Dyakom ani w głowie nie było słuchać. Byli przekonani, że jest opętany przez djabła i na jedno jego skinienie poszliby za nim do piekła, tak się go bali.

Ale w tym swoim szale był chytry, bo podkradł się pod norę Murutów nadzwyczaj zręcznie i równo ze świtem znaleźliśmy się w gąszczach, oddalonych o parę łokci zaledwie od dwóch bram, jedynych wejść i wyjść dla tych biedaków, śpiących spokojnie w chacie.

Wówczas O'Hara wyskoczył ze swego ukrycia i zaczął wyć, jak szaleniec, którym też istotnie był. Natychmiast szopa zaczęła huczeć i brzęczeć, jak zaniepokojony ul. Trzy czy cztery brudne figury pokazały się u wyjścia, przy którem czyhał O'Hara, a on powitał ich połową zawartości magazynu swego karabinu i wył ze śmiechu, kiedy to towarzystwo waliło się z wysokiego progu na ziemię, tarzając się w agonji. Mieszkańcy chaty podnieśli taki wrzask i pisk, żeś pan nigdy czegoś podobnego w swojem życiu nie słyszał — to była Rozpacz zwokalizowana — coś w rodzaju wrzawy, jaka może być w ogarniętej pożarem wielkiej menażerji, kiedy dzikie zwie-

rzęta widzą, że ogień sięga ich klatek. Ale nad to wszystko wybijał się demoniczny śmiech O'Hary, kwiczącego wprost z dzikiej radości, i wojenne okrzyki tych małych djabłów, Dyaków, w których krew już kipiała. Zaskoczone biedactwa w szopie popędziły ku drugim drzwiom. Słuchać było, jak się szamocą i biją ze sobą o najbliższe miejsce. Myśleli, że w tamtej stronie czeka ich ratunek, gdy tymczasem tam czekali już gotowi na ich przyjęcie Dyakowie, a kule z ich Winchesterów bez trudu przechodziły przez trzy lub cztery nawet zbite w gromadę ciała, tak że w jednej chwili próg tych drzwi i ziemia dokoła drabiny podobna była do jatek.

Po tej klęsce Muruci uciekli i przez jakiś czas w chacie panowała tragiczna cisza, podczas gdy O'Hara i Dyakowie aż skakali z radości i wyli. Ale te ich ryki i wycia stłumiła naraz inna wrzawa: rozdzierający serce pisk i lament. I natychmiast rozpoczęła się druga wycieczka z obu bram chaty. Światło wczesnego poranku stało się już jaśniejsze i przypominam sobie, jak spokojna, uśmiechnięta i pogodna była dokoła nas przyroda. Dach chaty u jednego końca zapalił się od czegoś i nad drzwiami wisiał nisko obłoczek dymu. Przez ten dym ujrzałem gromadę Murutów tłoczącą się ku drzwiom i krew ścięła mi się w żyłach, kiedy zrozumiałem, co robią. Kobiety i mężczyźni trzymali mocno w ramionach swe dzieci — nieśli je przed sobą, jak puklerze — i to te właśnie szczenięta wydawały tak żałosny pisk. Skoczyłem przed Dyaków i po malajsku zawołałem na nich, aby nie strzelali, ale O'Hara odepchnął

mnie i zaczął kopać Dyaków, każąc im strzelać a sam strzelając bezustannie, śmiał się i klał naprzemiany. Dyakowie nic sobie ze mnie nie robili a salwa, jak mur ołowiany, runęła na Murutów.

Odepchnięty przez O'Harę, pośliznąłem się i upadłem, a kiedym się zerwał, spostrzegłem, iż tłum dzikich załamuje się i skręca, jak się skręca papier nagle zapalony. Większość zwaliła się wstecz, w ciemne wnętrze chaty, drgając w konwulsjach na łożu śmierci, ale paru runęło na łeb na ziemię i widziałem, jak mały, bronzowy pędrak, któremu przypadkiem nic się nie stało, pełzał między trupami, piszcząc jak zraniony królik. Skoczyłem, aby szkraba ocalić, ale Dyak uprzedził mnie i zanim mogłem dobiec, poskoczył do dziecka i.... Uf!

Teraz Muruci zaczęli się przebijać przez podłogę, tamtędy, popod chatą, między palami starając się przemknąć w zarośla. Zdaje mi się, że paru się to udało, ale to doprowadziło O'Harę do takiej wściekłości, iż myślałem, że Dyaków pozabija. Chodził wciąż dokoła chaty i na własne oczy widziałem, jak rozbił czaszkę jednemu Murutowi, który próbował uciec. Tymczasem ogień objął już na dobre dom z jednej strony, wobec czego z drugiej strony weszło kilku Dyaków do wnętrza, i ci wyganiali z kryjówek czających się jeszcze nieszczęśników, pędząc ich wprost w ogień i ku O'Harze, czyhającemu z resztą Dyaków. Było to zupełnie jak polowanie z naganką. Strzelano, nie oszczędzając nikogo, bez względu na wiek i płeć, mimo że latałem od jednego do drugiego jak szaleniec, błagając i zaklinając na

wszystko święte. To było okropne... okropne! a ja już od zmysłów odchodziłem ze zgrozy i z poczucia swej bezsilności. Byłem wprost złamany. Pamiętam, że wkońcu usiadłem na jakimś pniu i rozpłakałem się jak dziecko.

Zdawało się, że to koniec. Dyakowie przestali płoszyć Murutów i zwolna zaczęli oddalać się od chaty w miarę, jak pożar się rozszerzał i robiło się za gorąco. Aż naraz ze samego środka płomieni odezwał się okropny wrzask i z dymu wyskoczył jeden jedyny Murut. Był kompletnie goły, bo przepaska na biodrach spaliła mu się; już był czarny od dymu a długa jego rozwiana grzywa stała w ogniu. Otwarłszy szeroko gębę, wrzasnął, a krzyk jego aż mi zaczął w głowie świdrować, wznosząc się wciąż chromatyczną gamą ku takiej wysokości, że głowa od tego pisku pękała. Owiany zewsząd płomieniami, podobny był do djabła w samem sercu piekieł. W jednej osmalonej już ręce trzymał wysoko podniesiony nóż, którego klinga czerwona była od blasku ognia, w drugiej widać było pochwę, płonącą u jednego końca, z kurzącym się gęsto wielkim pękiem żółtych kłaków.

O'Hara, jak tylko go ujrzał, krzyknął przeraźliwie i skoczył ku niemu. Zderzyli się i runęli na ziemię, przyczem nóż i pochwa wypadły Murutowi z garści i poleciały w ogień. Walka trwała blisko minutę a obaj przeciwnicy tarzali się po ziemi, dysząc ciężko, lecz zresztą nie wydając ani głosu. Wtem naraz coś się stało — nie wiem dobrze, co — ale głowa Muruta opadła a O'Hara dźwignął się

z jego martwego ciała i wstał, poruszając się bardzo sztywno. Stał tak jakiś czas, rozglądając się dokoła zdziwionym wzrokiem, aż dopóki jego oczy nie spotkały się z memi. Wtedy pokulał ku mnie, zataczając się jak pijany.

— Matko Boska! — rzekł szybko. — Co ja zrobiłem! Co ja zrobiłem?

Spojrzał na rozrzucone dokoła niego małe, bronzowe ciała, powyginane w kontorsjach i wzrok jego przesłoniła mgła.

— Boże, przebacz mi, Boże, przebacz mi! — mruknął.

Podniosł ręce do góry, palcami jakby drapiąc powietrze, piana wystąpiła mu na usta i zanim mogłem go złapać, wykręcił się na pięcie i runął ciężko na ziemię.

Nie ma pan wyobrażenia, ile miałem do zwalczenia trudności, zanim udało mi się sprowadzić O'Harę do domu. Przez trzy tygodnie nie wiedział, co się z nim działo. Ale Dyakowie pracowali jak katorżnicy — choć, prawdę mówiąc, patrzeć już na nich nie mogłem — a kiedyśmy doszli w te strony, gdzie rzeki są już spławne, woda sama zniosła nas nadół. Wiem, że O'Hara był tego strasznego ranka obłąkany — żaden biały człowiek nie postąpiłby tak jak on, gdyby był zdrów — a on sam przysięga na wszystko święte, że nie pamięta nic od chwili, gdy go Dyakowie uratowali. Chcę wierzyć. Bądź co bądź od tego czasu zmienił się zupełnie, stał się strasznie nerwowy i porywczy, jak to pan zresztą sam mógł za-

uważyć i nie wątpię, że dotychczas nie wyszła mu z pamięci ta nasza wycieczka.

— O, tak! — zapewniłem go. — Przy każdej sposobności opowiada pierwszą część swej historji wszystkim, których uważa za godnych...

— Właśnie! — odpowiedział Bateman. — I to nasuwa mi czasem podejrzenie co do prawdziwości jego twierdzenia, iż reszty nie pamięta. A jak pan sądzi?

Cholera na dżonce chińskiej

Chińczycy, naród nietylko niezmiernie praktyczny, ale, co więcej, bardzo mądry, mają zasadę, której słuszność i wartość oceniamy tem lepiej, im dalej posuwamy się w lata, i im bardziej odpowiedzialność nasza dotrzymuje kroku naszemu wzrastającemu wiekowi. Zasada ta polega na tem, że rodzice nie mają absolutnie najmniejszego moralnego obowiązku utrzymywania dzieci, ale przeciwnie, obowiązkiem dzieci jest ponieść każdą ofiarę, którąby rodzicom dała możność chodzić w cienkiej bieliźnie i codziennie wystawnie ucztować. Jest to zasada, o której, jak to chętnie każdy ojciec czy matka przyzna, dużo możnaby powiedzieć.

Melancholijny współczesny pogląd europejski na tę sprawę skłania się ku twierdzeniu, iż wobec tego, że dzieci przychodzą na świat niepytane o wolę, ci, którzy są za ich urodzenie się odpowiedzialni, winni co najmniej dać im wszelkie zadośćuczynienie za wyrządzoną im niepowetowaną krzywdę; skutkiem tego rodzice dzisiejsi przybierają wobec swego potomstwa pozę jak gdyby przepraszającą, z rozpaczliwą energją harują na malców a później małodusznie poddają się terrorowi swych „buntujących

się“ córek czy synów, którzy z wysokości swego młodocianego doświadczenia, z brutalnem okrucieństwem wykazują im niedorzeczność ich przestarzałego sposobu myślenia.

Inaczej postępuje praktyczny i utylitarny Chińczyk. Kiedy nowonarodzone dziecię jest jeszcze zupełnie bezbronne, rodzice w całej pełni korzystają z sytuacji i starają się raz na zawsze zapewnić sobie wobec dziecka tę pozycję, jaką chcieliby zachować wobec niego w przyszłości. Chińczyk nie traci czasu na rozważanie, czy dziecko chciałoby się urodzić, czy też może wolałoby nie przyjść wcale na świat. On przyjmuje do wiadomości tylko niezaprzeczony fakt, iż dziecko się narodziło i czem prędzej stara się wbić mu w głowę, iż może sobie tego tylko pogratulować a przedewszystkiem dziękować za to rodzicom. Oprócz tego, jak tylko się mały Chińczyk urodził, rodzice uważają go za swą ruchomość, poprostu za mebel, który mogą zatrzymać, utopić, kupić, sprzedać czy w danym razie darować — jak tego okoliczności wymagają. Dalej, prawa krajowe, oczywiście, nie przez niemowlęta ustanowione, dają Chińczykowi prawo życia i śmierci nad dzieckiem; a kiedy tatuś może wam nietylko zerżnąć skórę, ale zakatrupić was bez względu na wasz wiek, synusiu, i stanowisko społeczne, podczas gdy oddanie uderzenia karane jest publiczną i niesłychanie szpetną śmiercą, zdumiewające jest poprostu, jak łatwo tym „ojcom rodzin“ utrzymać tyrańską władzę nad swemi rodzinami i jak podziwu godną jest dyscyplina, która w nich panuje. W rezultacie każdy Chińczyk od

najwcześniejszej młodości żyje w głębokiem przekonaniu, iż ma jedną jedyną tylko rację bytu, mianowicie — służyć, niańczyć i utrzymywać swych rodziców, starać się o ich dostatek i wygodę i zniszczyć się, nawet w najbardziej niesłychany sposób — o ile to prowadzi do osięgnięcia pożądanego celu.

Zaznaczyć także należy, iż Chińczyk jest zapamiętałym konserwatystą a głowa jego przypomina niektóre pułapki na ryby, do których niejedno wchodzi, ale nie wychodzi nic. Jak tylko raz w młodym wieku przyjdzie do przekonania, że istnieje tylko dla większej wygody swych rodziców, żadna siła w późniejszym wieku z głowy mu tego wybić nie zdoła. Z tego wszystkiego widać jasno, jak pyszną rzeczą jest w Chinach być ojcem, zwłaszcza już licznej a zdrowej rodziny.

Z drugiej strony, z punktu widzenia białego człowieka, można by znaleźć mnóstwo „przydziałów" milszych od losu syna czy córki Chińczyka, który prawa swe zna i obstaje przy nich, przyczem musimy z przyjemnością zaznaczyć, iż bardzo rzadko trafiają się wśród Chińczyków rodzice, którzyby grzeszne swe niedbalstwo posuwali do wyrzeczenia się choćby „joty" z przywilejów, jakie im sięgający niepamiętnych lat zwyczaj przyznaje. Dlatego w tym kraju, w którym właściwie wszystko jest do góry nogami, posępna, lecz pilna młodzież z poważną i niestrudzoną energją pracuje, aby płocha starość mogła się należycie bawić.

*

Su Kim i Ah Kui byli młodzianami, przynależnymi do prowincji Kantonu, którzy, jak wogóle młodzież większej części Imperjum Chińskiego, nigdy nie wiedzieli, co to młodość. Ich obowiązki i troski synowskie bardzo ciężyły na tem, co w psychologji chińskiej nazywa się duszą ludzką; albowiem rodziny ich słynęły z długowieczności, skutkiem czego nieszczęsna młodzież musiała utrzymywać nietylko swych rodziców, lecz dziadków i pradziadków. Ubogi Europejczyk, dręczony przez zbyt liczną, wiecznie głodną rodzinę, jest ostatecznie sam sobie winien. Inaczej młody Chińczyk; ten musi żywić i odziewać całe liczne generacje ludzi, którym nie zawdzięcza nic, prócz faktu, iż został urodzony, aby pracował, a których liczba w żaden sposób od niego nie zależy. Oto, dlaczego żółte twarze młodych Chińczyków są zwykle tak smętne i przygnębione.

Pewnego wieczoru Su Kim i Ah Kui spotkali się w małym kramiku wiejskiego handlarza opjum, przyszedłszy bynajmniej nie na fajeczkę, lecz po najlepszy gatunek narkotyku, niezbędnego dla ułagodzenia usposobień swych rodzin — usposobień, które skutkiem wieku i długotrwałego przyzwyczajenia tyranizowania swego otoczenia, stały się kłótliwe i nieznośne.

Młodzi ludzie wielce troskliwie i uprzejmie wypytywali się wzajem o zdrowie swych rodzin — przyczem prawdopodobnie żadnemu z nich ani nawet na myśl nie przyszło — a cóż dopiero, żeby powiedział coś podobnego! — iż gdyby kilka tych starowin zaczęło wreszcie kwękać, byłoby to raczej

błogosławieństwem niż nieszczęściem. Podziwu godna jest łatwość, z jaką ludzie, zmuszeni do życia przez dłuższy czas w nieznośnych warunkach, dostosowują się do nich.

Po tych wstępnych ceremonjach zaczęli rozmawiać o różnych rzeczach i sprawach, zgadzając się najzupełniej co do tego, iż czasy są bardzo ciężkie. Zastanawiając się nad położeniem, obaj młodzi ludzie potrząsali z troską głowami, pytając, czem się to skończy. Nawet w kraju, w którym z trzech funtów szterlingów i dwunastu szylingów rocznie można żyć — jak na miejscowe stosunki — bardzo wygodnie, obowiązek utrzymania całej kolekcji żywych przodków nie jest dla tych, którzy na chleb pracują, bynajmniej łatwym do rozwiązania problemem.

Wielki, otyły Chińczyk, który leżąc na okrytej matą ławie, ostrożnie osmażał wrzącą kulkę opjum, trzymaną w końcach szczypczyków, przeniósł ją nagle do małej fajeczki, zaciągnął się kilka razy z rozkoszą, wypuścił ustami i nosem kilka gęstych obłoków dymu i oparł się na łokciu.

— Przyjaciele! — odezwał się do Su Kima i Ah Kui, którzy go zupełnie nie znali. — Prawdę mówicie, twierdząc, że czasy są złe. Pełny żołądek czyni duszę zadowoloną, ale z czegóż ona ma być zadowolona, gdy brzuch jest pusty?

— Bardzo słusznie! — mruknął Su Kim i Ah Kui.

A zwracając się do siebie, dodali niby szeptem:

— Ten czcigodny pan jest najwyraźniej filozofem wielkiej wiedzy i rozumu. Jego słowa są słowami mądrości.

— Człowiek wzniosłego umysłu może cierpieć nędzę, pozostanie jednak zawsze człowiekiem wzniosłego umysłu. Mały człowiek w tych samych okolicznościach traci panowanie nad sobą! — odezwał się nieznajomy, cytując zdanie wielkiego Konfucjusza.

— Zaiste, przedziwny filozof! — wykrzyknęli młodzi ludzie.

— Ale człowiek wzniosłego umysłu nie poddaje się pokornie nędzy! — ciągnął dalej nieznajomy. — I jeśli czci swych rodziców i zdaje sobie sprawę ze swego obowiązku utrzymywania ich, uczyni kroki, zapobiegające nędzy tych, których żywić jest jego powinnością.

— Prawda! — westchnął Ah Kui. — Ale jakże dokazać tego cudu?

— Zastanawiam się nad tem, czy godni jesteście, aby wam tę tajemnicę wyjawić! — odpowiedział nieznajomy, powracając do delikatnej czynności rozgrzewania gałki opjum.

— Prawda, jesteśmy tylko nędznemi psami, wielce szlachetny panie! — odpowiedział Su Kim z należną uniżonością — i, szczerze mówiąc, nie jesteśmy godni zaszczytu rozmawiania z człowiekiem tak wielkiej mądrości i prawości, jak wy. Jednakże nikczemne nasze osoby pragnęłyby uprosić sobie trochę światła waszego olśniewającego rozumu.

Wielki otyły mężczyzna znowu zaciągnął się, wypuścił dym i przez pewien czas zdawał się nie widzieć dwóch młodych wieśniaków.

— W jaki sposób — zwrócił się Su Kim do Ah Kui — w jaki sposób można zrobić, aby dziesięć groszy wystarczyło za pięćdziesiąt?

— Oto zagadka — zgodził się z nim Ah Kui — przechodząca pomysłowość tej osobistości i mogąca z łatwością unicestwić mądrość większej części najgłębszych filozofów.

Wielki tłusty człowiek wydał coś, co było po części chrząknięciem, częściowo parsknięciem, ale co wyrażało zupełną pogardę i lekceważenie.

— Nie wierzę, aby słoń mógł widzieć, co się dzieje nad źdźbłami trawy! — mówiła mrówka — rzekł, wydając znowu szyderskie chrząknięcie.

Ah Kui zawstydził się głęboko, zaś Su Kim aż osłupiał z podziwu dla mądrości i uczoności nieznajomego.

— Ten czcigodny pan — rzekł do swego rówieśnika — jest królem poetów, który w swej dostojnej osobie łączy całą wiedzę i mądrość starożytnych.

Wielki człowiek, po kilku niezdarnych wysiłkach i dłuższem szamotaniu się zdołał wreszcie dźwignąć się i usiąść na ławie. Uśmiechnął się do Su Kima z łaskawem uznaniem.

— Młody człowieku! — rzekł. — Widać po tobie, iż posiadasz pewne zadatki inteligencji.

Su Kim zarumienił się z wdzięczności. Przywykł w kole rodzinnem do kłótliwych skarg i narzekań, ale nie był przyzwyczajony ani do tego, aby mu przyznawano słuszność, ani do komplimentów, zwłaszcza tak pochlebnych, jak ten.

— A ponieważ ja inteligencję lubię, nawet w tworze najniższym, otworzę ci śpichrze swej mądrości i nauczę tak ciebie jak i tego twego tu przyjaciela, w jaki sposób zebrać bogactwa i zabezpieczyć godnie przyszłość szanownych rodziców.

Kiwnął palcem na obu młodych ludzi i przyzwawszy ich w ten sposób bliżej, z miną niesłychanie tajemniczą, jak gdyby z nadzwyczajnej łaski powierzał im jakiś przekosztowny sekret, zaczął wykładać im swój sposób.

Otóż, co to było.

Gdzieś daleko, za morzami, znajduje się wyspa o niemożliwej do wymówienia nazwie, podległa rasie czerwono-głowych djabłów, zwanych Ba-lan-da (Holendrzy); te djabły uprawiają tam na wielką skalę tytuń, najmując za bajeczną płacę zdolnych do tego młodych ludzi, których szczęśliwy los wybierze do pracy w tych plantacjach. Opowiadanie o tym raju, w którym tak łatwo było o srebro i złoto, płynne a upiększone, gładko spływało z jego ust, niesione falami wytrawnego krasomówstwa — bowiem ten wzniosły filozof był zawodowym „łapaczem ludzi“ czyli agentem rekrutacyjnym i znał swe rzemiosło od *a* do *z*.

Słuchacze jego nieraz spotykali ludzi, którzy pracowali w kopalniach Półwyspu Malajskiego jako robotnicy zakontraktowani. Znali kilka rodzin, żyjących wygodnie z tego, co im synowie z za morza wiernie przysyłali. Nieraz w chwilach rozpaczy im samym — jako jedyny i ostatni sposób zdobycia środ-

ków utrzymania głodnych rodziców — przychodziło na myśl, czyby nie poszukać szczęścia w dalekich krajach, ale wymowa i siła przekonywająca ich nowego nauczyciela była taka, iż mieli wrażenie, że myśli, które im podsuwał, są najzupełniej nowe. Nie spodziewali się też, że ścieżka wiodąca do ich uskutecznienia znajduje się tuż przed nimi, czekając tylko, kiedy nią podrepcą ich niecierpliwe stopy. Skądże mogli wiedzieć, jaka jest różnica między prawnie zakontraktowanymi robotnikami a bandami nieszczęsnych niewolników, wysyłanych od czasu do czasu do kolonij holenderskich przez spekulujących na własną rękę przedsiębiorczych kapitalistów chińskich?

Mimo wszystko wrodzona ostrożność powstrzymała ich od natychmiastowego zawarcia umowy z agentem. Właściwy każdemu Chińczykowi zmysł kupiecki kazał im trzymać się jeden, drugi, trzeci wieczór i domagać się wciąż większej sumy. Ale, jak to agent doskonale wiedział, przynęta, raz muśnięta, musiała być prędzej czy później połknięta. Nacóżby się inaczej mogła przydać przekonywająca wymowa, pańskie manjery, doskonała znajomość zawodu i imponująca powierzchowność? Innemi słowy — cóżby inaczej wart był ten wielki, gruby człowiek jako kupiec?

Ostateczny wynik nie ulegał najmniejszej wątpliwości, to też wkońcu Su Kim i Ah Kui zaprzedali się z ciałem i duszą plantacjom tytuniowym na Sumatrze za trzydzieści pięć na głowę naprzód płatnych srebrnych dolarów — sumę zupełnie wystarczającą na dobre utrzymanie różnych staruszków w domu

przez długie miesiące — i za bajeczną perspektywę przyszłego bogactwa.

Pieszo powędrował Su Kim z Ah Kui do Kantonu — tego najohydniejszego miasta ze wszystkich miast Dalekiego Wschodu — gdzie ich popędzono, jak błędne owce, od których się też niewiele różnili, na pokład wielkiej dżonki *). Była to duża, brzuchata, płaskonosa bestja, z chytrze patrzącemi rybiemi oczami na przodzie, nie różniąca się niczem od statków, które tam i zpowrotem pełzły przez morza południowo-wschodniej Azji przez ostatnich pięć tysięcy lat. Urządzenie statku i wygody, jakie zapewniał, były również wynalazkiem dawno minionej przeszłości, wynalazkiem, którego tępy konserwatyzm chiński nie pozwalał pod żadnym względem ulepszyć! Na dziobie i na rufie statku znajdawały się wielkie, zardzewiałe kotły z wodą, w środku statku gliniane palenisko, worki z ryżem umieszczone tak, aby ich woda nie dosięgła, magazyn pełen niedbale solonych ryb, śmierdzący jak zaniedbana trupiarnia i stu czterdziestu siedmiu nowo-rekrutowanych Chińczyków, naładowanych na obu pokładach, jak śledzie w beczce. Było tak ciasno i niewygodnie, że najbardziej nieczuły Europejczyk mógłby dostać pomieszania zmysłów — ale Su Kim i Ah Kui należali do rasy, która ustawione pionowo blaszane pudełko z pół funtem tytuniu uważa za luksusową i arcywygodną poduszkę, zaś amputacji własnej nogi przygląda się z ciekawością i wielkiem zajęciem. Na niższym pokładzie prawie że się dusili,

*) **Dżonka jest to żaglowy statek chiński.**

że jednak wszyscy lubią ciepło, ci, których ulokowano w czystszem powietrzu, zazdrościli im zaduchu. Kładli się w tłoku i spali, opierając się o siebie, kiwając się, pokurczeni okropnie, wsadzając brudne nogi w twarze sąsiadów — to ich jednak nie krępowało, jak przeciętnego Europejczyka nie krępują przepisy na statku. Dwoma wielkiemi cnotami Chińczyka są: jego obojętność na wygodę i jego nadzwyczajna wytrwałość!

Załoga — pięciu Chińczyków, prawie na czarno przysmażonych skutkiem bezustannego przebywania na słońcu — z wielkim a niepotrzebnym krzykiem rozwinęła żagle — i wielka dżonka, natchnięta naraz niezaradnem życiem, powędrowała na łono Chińskiego Morza.

A wówczas na górnym i dolnym pokładzie zaczęły się dziać różne rzeczy.

Każdego, kto obserwował mękę swych bliźnich podczas przejazdu przez kanał La Manche, musiało uderzyć spostrzeżenie, w jak wysokim stopniu choroba morska pozbawia mężczyzn i kobiety naturalnego panowania nad sobą, wrodzonego im zmysłu przyzwoitości i poczucia godności własnej. Stosuje się to do ludzi, którzy normalnie wszystkie te cnoty w niemałej mierze posiadają. Ale jeśli choroba morska ogarnie stu czterdziestu siedmiu chłopów chińskich — którzy nawet w najbardziej sprzyjających warunkach tych cnót nie posiadają — a zwłaszcza, kiedy ci biedni ludzie stłoczeni są, jak śledzie w beczce, skutek musi być tego rodzaju, że opisanie go nie może nikomu sprawić najmniejszej przyjemności.

Plaga ta trwała całe trzy dni i noce, podczas których Su Kim, Ah Kui i ich stu czterdziestu pięciu towarzyszów leżeli jak trupy na pobojowisku, bez odrobiny siły do dalszej walki. Jeśli się wschodni człowiek poddaje, to się już poddaje najzupełniej. Pod koniec czwartego dnia nastąpiło częściowe zmartwychwstanie i żółci ludzie upiornej bladości — z szyjami zniekształconemi przez okropne purpurowe plamy, pochodząc z uszczypnięć, zadanych własną ręką dla spowodowania żywszego obiegu krwi, zaczęli podnosić głowy z pobojowiska. Po pewnym czasie zmartwychwstanie stało się powszechnem, zaczem zaczęto się obficie karmić ryżem i rybami, ale dwóch pasażerów wciąż jeszcze uparcie leżało nawznak. Kapitan i czin-czu, gospodarz statku, obejrzeli ich obojętnie: bez najmniejszego wzruszenia stwierdzono, że są to konający. Wiadomo powszechnie, iż konający na statku jest tak samo złym znakiem, jak trup pod dachem. Zwyczajem dżonk, wałęsających się po Morzu Chińskiem, jest zawijać tu i owdzie do pewnych opuszczonych miejscowości, aby uzupełnić zapas paliwa — jako że gdzie indziej musiałoby się za to zapłacić, a tu można mieć zadarmo. Stosownie do tego zwyczaju zatrzymano się przy pierwszem takiem osamotnionem wybrzeżu, wyniesiono na nie chorych i pozostawiono ich.

Biedacy byli w pierwszej chwili tak uszczęśliwieni, że ich wyniesiono na ląd stały, iż nie zdawali sobie nawet sprawy ze swego położenia. Dopiero kiedy zrozumieli, że się ich w całej ich bezsilności pozostawia na łaskę losu, wznieśli słabe

okrzyki protestu i błagania. Tu jednak objawił się „hart“ tyle razy wspomnianego charakteru chińskiego. Umierających wyrzucono poprostu na piasek. Nie dano im ani kołdry, ani niczego, czem mogliby się zasłonić przed słońcem. Nie było nawet pewnem, czy miejsce, na którem leżeli, znajdowało się ponad poziomem przypływu. Było jasnem, że o ile ich nie zabije choroba, zginą z pewnością z głodu, pragnienia i od zabójczych promieni słońca. Byli członkami kompanji, która liczyła stu czterdziestu siedmiu ludzi, a każdy jej członek wiedział dobrze iż w razie choroby spotka go to samo co ich. Ale nie tylko, że ani jeden z towarzyszów nie ruszył palcem w ich obronie, lecz przeciwnie, wszyscy pomagali do wyniesienia ich na brzeg i pozostawienia własnemu losowi. Wszyscy pasażerowie na pokładzie statku byli zainteresowani w tem przedsięwzięciu wyłącznie spekulatywno-finansowego charakteru i żaden z nich nie miał zamiaru pozwolić sobie zmniejszyć swe szanse przez jakieś niepowodzenie w czasie podróży. Ostatecznie Chińczycy nie są bynajmniej jedynymi finansistami, dla których ofiara jednego czy dwóch istnień ludzkich jest niczem w porównaniu z zyskiem; różnica polega tylko na tem, że Chińczyk, obdarzony szczególnie cyniczną szczerością, nie posiada tej sztuki maskowania swego okrucieństwa, jaka w innych krajach uchodzi za przyzwoitość.

Dżonka płynęła wciąż naprzód z niezmienną szybkością, którą zawdzięczała pędzącemu ją przed sobą monsunowi. Wkrótce jednak południowo-zachodni prąd zmienił i statek musiał przebijać się przez gęstwę

wysp, strzegących południowych kończyn cieśniny malajskiej. Tu spotkała się z przeciwnymi wiatrami, przyczem gorąco na obu pokładach było straszne, a kiedy jeszcze w dodatku jedna kadź z wodą się rozlutowała, zwaliły się na statek wszystkie nieszczęścia. Jednego i tego samego wieczoru trzech pasażerów rozchorowało się i umarło z tak zdumiewającą szybkością, że nie można było postąpić z nimi, jak i z ich dwoma poprzednikami. Był to zaiste bardzo przykry zbieg okoliczności, ale to było jeszcze niczem w porównaniu ze zgrozą, z jaką spojrzeli po sobie pasażerowie, kiedy o niemiłosiernym, szarym brzasku rzucono ciała na pożarcie rekinom. Zwłoki miały nieprzyjemny widok. Ich żółte twarze przybrały niezdrową gliniastą barwę; policzki i jamy oczne były zapadłe, kości na czole wystające, brzuchy wpadnięte, końce palców dziwnie pomarszczone. A wszystko to było dziełem trzygodzinnej choroby w nocy. Chłopom chińskim na pokładzie nie trzeba było nawet mówić, co to za nieprzejednany wróg; wiedzieli wszyscy, że to „Zimna Śmierć“, czyli — cholera.

W Azji, gdzie większość ludzi żyje w niemożliwych do opisania warunkach sanitarnych, nic nie wywołuje tak powszechnego popłochu, jak pojawienie się „Zimnej Śmierci“. Kiedy ona zaczyna srożyć się na lądzie, ludzie uciekają przed siebie na łeb na szyję, szerząc zagładę swemi rozpaczliwemi usiłowaniami wymknięcia się śmierci. Ale gdy rozdziela swe ciosy w okolicznościach wykluczających wszelką możliwość ucieczki, przeraża ludzi do tego stopnia,

że ich niemal paraliżuje. Su Kim, Ah Kui i ich towarzysze byli prawie sparaliżowani. Siedzieli z nosami między kolanami, ukradkiem i z trwogą spoglądając po sobie, w pełnem grozy oczekiwaniu zadając sobie wciąż to samo straszne pytanie: — Na kogo teraz przyjdzie kolej?

Nie potrzebowali długo czekać. W południe tego dnia było sześć nowych wypadków zasłabnięć, która to liczba z zapadnięciem nocy zbliżyła się do czterdziestu; pokłady wyglądały jak jatki. Trwoga — ślepa, niepohamowana trwoga — zapanowała nad tą bandą ludzką. Nad niemi rozciągało się jasne, blade niebo malajskie, z którego słońce paliło, jak gdyby sypało ciosy młotem do białości rozżarzonym; dokoła widać było szklistą powierzchnię morza, z wodą przedziwnie bezbarwną, o powierzchni, niby olej, pozbawioną najmniejszej zmarszczki; patrząc ku zachodowi widziało się na horyzoncie wiszące jakby w chmurach, przeświecające przez gorący opar nadbrzeżne wzgórza Sumatry o zarysach odrobinę bledszego błękitu od błękitu nieba i morza. Wielkie żagle trzepotały leniwo lub wisiały nieruchomo jak całun. Wszystko było zmartwiałe, pełne spokoju, pozbawione wszelkiego ruchu, wyjąwszy sępy na wysokościach i mięsożerne ptactwo, krążące wciąż z ohydną suggestywnością w swej upartej baczności. Żar spieki miał zaczepną siłę, tak, iż zdawał się płomienistemi mieczami ciąć ciała, mózgi, nawet dusze swych ofiar. — I przez cały dzień wielka, niezgrabna dżonka, bezradna jak jakieś ranne bydlę, leżała przeważnie bez ruchu na rozpalonej posadzce morza, pod

palącą strzechą nieba, mając dokoła siebie głęboką, spokojną, obojętną ciszę a wewnątrz wszystkie okropności piekła.

Słońce udało się na spoczynek w glorji z purpury i złota. Zapadł krótki, smutny zmierzch podzwrotnikowy, po którym nastąpił wilgotny, słony chłód nocy — lecz liczba dotkniętych zarazą wciąż wzrastała. Tuż przed świtem zerwała się morka, która wreszcie wydęła żagle. O świcie dżonka leciała chyżo naprzód, tak, że gołem okiem wyraźnie już widziało się brzeg Sumatry. Z pięciu majtków trzech umarło już lub konało — na stu czterdziestu pięciu pasażerów połowa była w podobnem położeniu. Jedynem dążeniem tych, którzy ich przeżyli, było — dostać się na ląd. Mieli jakieś opętańcze przeświadczenie, że jeśli im się to uda, wymkną się pożerającemu ich demonowi. Żadnych logicznych wniosków z doświadczeń minionego dnia i nocy nie wyciągnęli. Nawet w takich warunkach tępa imaginacja Chińczyka nie była zdolna do żadnego ożywienia. Przez jakieś trzydzieści godzin biedacy ci siedzieli bezradnie i beznadziejnie wśród zmarłych i konających. Wśród ludzi w pierwszem wstrętnem i ostatniem stadjum choroby; wśród konających, pogrążonych w ohydnej śpiączce konania; wśród nowo zarazą dotkniętych, których oczy, opętane strachem, błagały i rozpaczały równocześnie; wreszcie wśród okropnych, cichych kształtów tych, których cierpienia skończyły się już — albowiem ci, co pozostali przy życiu, nie mieli dość odwagi, aby zmarłych zrzucić z pokładu. A przez cały czas każdy czło-

nek tej upiornej kompanji z trwogą i niepokojem czekał, kiedy się w nim pokażą pierwsze oznaki choroby — oznaki, które niestety tak dobrze już nauczył się rozpoznawać. Na ciężko doświadczanej dżonce panowała już nie tylko cholera ale i obłęd, bo ten i ów, którego nerwy już nie wytrzymywały, zaczynał się popisywać haniebną rozwiązłością w mowie albo też jęczał i poruszał się nakształt bladego cienia potępionej duszy, gdy inni jednoczyli swe głosy w źle brzmiących i niedorzecznych śpiewach. Przeważnie jednak ci, którzy jeszcze pozostali przy życiu, siedzieli cicho i obezwładnieni strachem, przyglądali się przerażonemi oczami rozgrywającym się dokoła nich scenom — nie niosąc żadnej pomocy otaczającym ich cierpiącym, pozbawieni wszelkiej nadziei, wszelkiej inicjatywy, ale wszyscy naraz obdarzeni straszliwą wrażliwością i podejrzliwą wyobraźnią.

Widok wybrzeża — rysującego się z każdą chwilą coraz wyraźniej, tak że z pokładu dżonki można było już zupełnie dokładnie rozróżnić kontury skał i zboczów, rozżarzył w niejednej piersi malutką iskierkę nadziei, jednakże część pasażerów była jeszcze zbyt słaba, aby się oddać innym wrażeniom, wyjąwszy uczucie własnej nędzy. Kapitan dżonki poznał punkt, do którego się przybliżał i oświadczył czin-czu, że w tem miejscu lądowanie jest niemożliwe. Zaczął okrążać wybrzeże, trzymając się go równolegle i około dziesiątej przed południem pojajawił się przed małą przystanią holenderską, wyłaniającą się z portowego łuku. Tu wreszczie było

zbawienie i silna, pełna wiary nadzieja rozżarzyła w niejednej piersi gorętszy płomień życia. Dał się słyszeć cichy szmer rozmów ludzkich i wielu tych potomków rasy, której nic wzruszyć nie może, uroniło kilka ciężkich, gorących, bolesnych łez.

Śmierć, która przetrzebiła załogę, oraz stan połowicznego ogłupienia, w którem pogrążeni byli ci, co narazie śmierci uszli, spowodowały, iż dżonka zbliżała się do brzegu w sposób tak niezdarny, iż zwróciła na siebie uwagę władz portowych. Skutkiem tego zanim mogła wejść do portu, malutki uzbrojony parowczyk z dwoma okazałymi Holendrami na pokładzie wyjechał naprzeciw dżonki aby ją obejrzeć. Tłumacz chiński przywołał dżonkę i zapytał, co się na niej dzieje, pytanie jednak nie potrzebowało odpowiedzi. Pokład zasłany był trupami i konającymi; skandal wrzeszczał ze statku na cały świat.

— Na miłość boską! — wykrzyknął starszy urzędnik holenderski do swego towarzysza. — Widziałeś pan kiedy coś podobnego? Wszak to cholera — czarna cholera — i dość jej na tej dżonce, aby zdecymować całą ludność Sumatry. Wyłaź, wieprzu! Kieruj się pod wiatr, słyszysz, świnio? *Dżuru-bhaza!* (Tłumaczu!) Powiedz im, że im do tego portu zawinąć nie wolno! Powiedz im, że im wogóle na Sumatrze lądawać zabraniam. Powiedz im, że ich raczej zatopię, zanim im pozwolę unieszczęśliwić naszą wyspę tą przeklętą plagą!

Wychyliwszy się poza poręcz czółna *Dżuru-bhaza* wielkim głosem przesłał dżonce te rozkazy. Pasa-

żerowie jej w jednej chwili otrząśli się ze swego bezwładu i potrącając się wzajemnie, biegli po śliskich deskach ku parapetowi statku. Dopieroż zaczęły się pertraktacje, błagania, gorzkie żale i prośby o miłosierdzie z umęczonemi, cierpiącemi twarzami, z niepohamowanemi gestami i rozpaczliwem wołaniem o ratunek.

Niesłychanie przykry był widok tego niepohamowanego zbiorowego wyrazu wzruszenia ludzkiego; tego tłumu ludzi, tak żałosnych w swej rozpaczy i bezsilności, błagających o życie i w pełnem trwogi podnieceniu depczących po trupach i konających, spiętrzonych u ich stóp. Urzędnicy holenderscy odwrócili się ze zgrozą i jakby zawstydzeniem. Straszna była świadomość, że skazują tych biedaków na okropną śmierć bez nadziei ratunku.

— Nie moglibyśmy pozwolić im wylądować? — zapytał młodszy urzędnik z akcentem prośby w głosie.

— Niby jak! — wrzasnął drugi, wpadłszy naraz w pasję. — Czy możemy ich tu gdzie izolować? Lepiej żeby oni poumierali, niż żeby zawleczona zaraza miała pustoszyć Sumatrę. Nie mogę wziąć tego na swoją odpowiedzialność. Nie, nie można im pozwolić wylądować. Jest to straszne, ale cóż zrobić? Musimy myśleć o drugich. Tym tu niczem nie możemy pomóc.

Niemało czasu upłynęło, zanim ludzie zebrani na pokładzie dżonki zrozumieli, iż wydany na nich wyrok potępienia jest nieodwołalny, a zanim to się stało, obaj Holendrzy ze zdenerwowania omal już

ze skóry nie wyskakiwali. Można dobrze rozumieć swe obowiązki, ale przecie wydać taki rozkaz a potem jeszcze musieć osobiście dopilnować jego wykonania — to chyba do przyjemności nie należy. W Chińczykach stopniowo dopiero utwierdzało się przekonanie, iż dostęp do wyspy jest im istotnie wzbroniony, i że niepodobieństwem będzie zmylić czujność krążącego dokoła nich uzbrojonego czółna. Powoli milkł zgiełk błagalny, aż wreszcie zapadła straszna cisza, cisza rozpaczy, czasem tylko przerywana przez piskliwe okrzyki. Kapitan naradzał się z czin-czu, co zrobić Sumatra była dla nich zamkniętą. Należało przepływać cieśninę i spróbować wylądować gdzieś na brzegach Półwyspu Malajskiego. Nie udało się wywieść w pole Holendrów, może uda się oszukać Anglików.

W tym punkcie, w którym się dżonka w tej chwili znajdowała, cieśnina Malakka ma jakie sto dwadzieścia mil szerokości, a choć wiatru nie było, od strony lądu dolatywał lekki świeży podmuch. Szeptem kapitan i czin-czu zwierzyli się załodze ze swych zamiarów. Ten plan dawał jedyną możliwość ratunku — być może bardzo małą, ale konający ludzie chwycili się jej z rozpaczliwą energją. Tu była przecie nadzieja, która dodawała im bodźca do zdobycia się na ostatni wysiłek. Chłopi i żeglarze bez różnicy rzucili się do lin, jakby z jakąś zapamiętałością i popędzani dzikim instynktem samozachowawczym pracowali trawionemi gorączką, obolałemi członkami. Nie zwracając już uwagi na umarłych i konających, niedawni ich towarzysze ciągnąc liny, deptali po nich;

kapitan u steru wydawał rozkazy, czin-czu uwijał się wśród ludzi, dając rady i wskazówki i powoli, niechętnie, niezgrabnie, wielka dżonka zawróciła i zaczęła posuwać się ku wschodowi. Urzędnicy holenderscy odetchnęli z ulgą, ale nie odstępowali od dżonki, dopóki w środku cieśniny zapadająca noc nie skryła jej przed nimi.

Dla torturowanych strachem istot na pokładzie dżonki nastała nowa, okropna noc. Aby zrobić miejsca żywym i konającym, przerzucono przez niski parapet kilkanaście trupów, mimo to było ich wciąż jeszcze za dużo. Noc była czarna a w ciemnościach płonęły tylko trzy światła, jedno na szczycie masztu, dwa drugie na przodzie i na tyle statku. Między pokładami kopciły smrodliwie dwie nędzne lampy naftowe, przekornie oświetlając kształty, postacie, twarze i inne rzeczy, które lepiej należałoby właściwie ukryć przed wzrokiem ludzkim. I znowu trwoga i okropne oczekiwanie na kogo teraz kolej przyjdzie, spadła zimna, ubezwładniająca, ciężka jak ołów na serca tej potwornej załogi. Godziny wlokły się z niewypowiedzianą powolnością, jak gdyby każda zwlekająca chwila ociągała się dłużej niż zwykle. Ciszę przerywały od czasu do czasu nietylko jęki cierpiących, odgłos ich wymiotowania lub przeciągłe charczenie, z którem człowiek w męce walcząc zawzięcie ze śmiercią oddawał jej swe zbyt uparte życie, ale także przeraźliwe krzyki tych, których nerwy i mózgi wypowiadały już posłuszeństwo.

Do tych ostatnich należał Ah Kui. Su Kim, który siedział w kuczki koło niego, milczał od kilku go-

dzin jak głaz; ale przedtem mówił do przyjaciela, mimo że ten mu nawet nie odpowiadał. Około północy Su Kim zbudził się z męczącego, przerywanego snu — podczas którego ani na chwilę nie opuszczała go świadomość strasznego położenia, w jakiem się wraz z towarzyszami znalazł — i nagle zauważył, że Ah Kui z nieopisaną energją mówi ze sobą. Głos dolatywał słuchacza jakby przez mgłę — znany a przecie nieznany — głos Ah Kui a jednak dziwnie niepodobny do siebie. Słowa leciały z niesłychaną szybkością, tłumiąc się, trącając, nadeptując sobie na pięty, a Su Kim słyszał, jak znane imiona mężczyzn i kobiet, nazwy miejsc i rzeczy, należących do dawno minionego życia, które z nim razem w Chinach spędził, wynurzały się, aby wzdychać i płakać w ciemnej nocy. Te męczące wspomnienia sprawiały mu teraz ból niewypowiedziany. Szarpało to jego zdartemi nerwami i nowe, nieuchwytne widma stawiało mu przed oczami. Próbował zatykać uszy, ale ten głos, z taką przekorną szybkością mówiący wciąż o domu, nie milkł ani na chwilę i chciał być słyszany. Mózg Su Kima został roztrzęsiony, zanim pojawił się mu świt, szary i w bólu poczęty, aby wpuścić nowy dzień.

Jakoś w godzinę po świcie Ah Kui przestał bredzić, za to jednak pokazały się u niego pierwsze symptomy cholery. Su Kim odsunął się od niego. Świadomość, że to przecie jego przyjaciel, zniknęła, pochłonięta przez fakt, że i on przeznaczony został na ofiarę demonowi, który opanował dżonkę. Przestał być Ah Kui; stał się tylko człowiekiem umiera-

jącym na cholerę — rozsadnikiem zarazków — wrogiem, dyszącym śmiercią.

Długi, gorący poranek wlókł się ku południowi, a Ah Kui z większą niż zwykle powolnością i opornością przechodził przez wszystkie symptomy choroby. Su Kim, wcisnąwszy się w swój kąt, obserwował go ze zgrozą i przerażeniem, ale szczupły zapas współczucia, w jaki Chińczyk jest zaopatrzony, był już dawno wyczerpany. Su Kim, nie różniąc się w tem od nikogo, kto jeszcze pozostał przy życiu na pokładzie, dbał teraz tylko o jedno i o jednem tylko myślał — jak się samemu ocalić, choćby wszystkich innych djabli przy tem wzięli.

Czin-czu, który w nocy zachorował, umarł krótko przed południem, ale kapitan był wciąż jeszcze nietknięty. Koło drugiej popołudniu zwołał wszystkich żyjących na pokład; na jego wezwanie stawiło się około pięćdziesięciu ludzi.

— Tam — wskazał kapitan — znajduje się port Klang. Rządzą w nim również czerwono-głowe djabły, podobnie jak w tym porcie, do którego wczoraj próbowaliśmy zawinąć. Może się zdarzyć, że znowu zechcą nas zawrócić, żebyśmy wyzdychali na tym piekielnym statku na otwartem morzu. Dlatego chytrze, nikomu nic nie mówiąc, musimy tu wszystko doprowadzić do porządku tak, aby nikomu nawet na myśl nie mogło przyjść, że coś się tu na pokładzie działo. Rozumiecie mnie, łaskawi panowie?

Gromada wychudłych, strwożonych chłopów o oczach wpadniętych w oczodoły, zaczęła kiwać potakująco głowami, poczem metodycznie zabrała się

do pracy. Przedewszystkiem wyrzucono za pokład trupy. Zajęło to niemało czasu, kosztowało dużo trudów. Kiedy się z tem załatwili, spojrzeli na chorych i umierających a potem na kapitana.

— Musimy usunąć wszystkie ślady! — rzekł szorstko.

Znowu pokiwali głowami na znak zgody.

Pracując małemi grupkami po sześciu ludzi, chwytali po kolei chorych, nieśli ich, biernych lub stawiających zacięty opór, ku parapetom i rzucali w morze. Niektórzy krzyczeli, z trwogą błagając o ostatnią szansę życia; drudzy bronili się zębami i pazurami z głuchą wściekłością dzikiego kota; inni znów, zupełnie złamani na duchu i na ciele, leżeli jak kłody w rękach ludzi, którzy ich dźwigali. Wiele czasu zajęła ta posępna praca, ale ci którzy się jej podjęli, wykonywali ją z ponurą a metodyczną zaciętością. Najbystrzejszy obserwator nie mógłby z ich twarzy, pozbawionych wszelkiego wyrazu, odgadnąć, czy doznają przy tem jakiegoś szczególniejszego wzruszenia czy uczucia. Tylko kiedy Ah Kui, ostatni ze wszystkich, plusnął w morzu, po imieniu wołając swego przyjaciela z gorącą prośbą, Su Kim zaskomlał, jak gdyby go uderzono.

Była to jednakże dopiero tylko połowa zadania. Należało zmyć z pokładu wszystkie ślady tragedyj, których był świadkiem, a to znów zajęło przeszło godzinę. Każdy był tak zajęty swoją robotą, że nikt nie zauważył, jak się pogoda zmieniła. Pomyślny wiatr ustał naraz, wielkie czerwone żagle zwisły. Dżonka posuwała się wciąż naprzód w tym samym

pożądanym kierunku, jednakże nie dzięki wiatrowi, lecz niesiona przez prąd, któremu nie mogła się oprzeć. A nie płynęła sama, bo dokoła niej — niektórzy wynurzając się wysoko z wody inni z rozrzuconemi bezładnie członkami i błagalnemi twarzami, jeszcze inni przewracający się w wodzie z żałosnym bezwładem, ci z ramionami, które zdawały się kogoś niezdarnie przyzywać, tamci z groteskowemi minami złośliwej przekory, ci znów z nieruchomemi oczami i straszliwem oskarżeniem w zesztywniałych rysach — cała okropna eskorta płynęła wraz z dżonką.

Ludzie na pokładzie dżonki zlecieli się, jak przerażone stado, w trwodze swej szukając pociechy i ucieczki w fizycznym dotyku drugich istot ludzkich, żywych, oddychających, ciepłych — ale wszystkie oczy ze zgrozą wpatrywały się w ten okropny, popychający się na wodzie tłum. Prąd niósł topielców ku brzegowi z tą samą szybkością co i dżonkę, tak, że nie było najmniejszej wątpliwości, aby móc przed nimi uciec. Trupy, trop w trop, płynęły za żywymi, a ci, którzy pozostali przy życiu, opanowani przez myśl, że to ściga ich jakaś dziwna, okropna zemsta, zbili się w kupę, prawie pozbawieni zmysłów i zupełnie niezdolni do jakichkolwiek dalszych wysiłków w celu uratowania własnego życia. Oczu nie mogli oderwać od tej huśtającej się na falach i nurkującej okropności. Przed tem nie można już było w żaden sposób uciec i właśnie kiedy Su Kim ze zgrozą wpatrywał się w płynące zwłoki Ah Kui, te naraz zerwały się niezrozumiale kilka razy, machnęły szeroko rozłożonemi ramionami i zno-

wu dały nurka. Przenikliwy pisk wyrwał się z gardła Su Kima, aby zginąć w przestworzu niebios, a wargi chłopca pokryła rzadka piana. Zwłoki Ah Kui znowu się częściowo pojawiły a kilka jego sąsiadów wykonywało tak samo ożywione ruchy, jak i on. Widok kilku wielkich czarnych pletw, uwijających się wśród eskorty trupów, dostatecznie wyjaśniał to zjawisko, jednakże Su Kim był niepocieszony. Na własne oczy widział, jak przyjaciel, który w chwili śmierci wzywał jego imienia, po śmierci powstał przeciw niemu z okropnem oskarżeniem.

Rekiny pracowały dzielnie, mimo wszystko jednak zastawiona im uczta była zbyt obfita. Nie mogli jej podołać a wysiłki ich w nieznacznym tylko stopniu zredukowały potworną eskortę. Kiedy popołudnie zaczęło więdnąć, prąd przygnał Su Kima i jego towarzyszów do portu Klang, a za nimi, kołysząc się i skacząc z fali na falę, gnała gromada ich oskarżycieli.

— Władze holenderskie dały oczywiście znać do Singapore — kończył swe opowiadanie doktor — stamtąd zaś przez Malakkę pchnięto słówko do nas. Oczywiście wzmocniliśmy obserwację a kiedy wreszcie przyłapaliśmy dżonkę dowodów nie brakło. Biedaki! Wymyli ją nadzwyczajnie i na pokładzie było wszystko w porządku — ale dokoła dżonki zbiegły się znowu te nędze, zrzucone do morza. Ludzie na pokładzie ostatnią parę puszczali. Byli napół żywi ze strachu.

— Cośmy zrobili? Rozumie się naprzód wyłowiliśmy trupy. Taka mała zabawa w rybołóstwo.

Potem zaholowaliśmy dżonkę na wyspę przeznaczoną na kwarantannę i pochowaliśmy trupy w głębokim grobie, przysypawszy je dobrze wapnem. Wreszcie ulokowaliśmy tych którzy pozostali przy życiu. Tylko trzech z nich umarło a reszta pracuje w kopalniach i, jak myślę, zbiera pieniądze. Wszyscy przeważnie tak robią.

— Dochodzenia? Po jakiego djabła? Cóżbyś pan im udowodził? Jedną kwestję stanowiło tu prawo jurysdykcji; ostatecznie nikt nie mógł przysiąc, że chorych za życia do morza wrzucano. Prawda, fakt iż na statku nie znaleziono ani jednego chorego, był podejrzany — ale nawet i wówczas czy można było potępić tych biedaków? Niech pan pamięta. Holendrzy nie pozwolili im wylądować — a w takich wypadkach Chińczyk nie ceni życia — zwłaszcza cudzego życia — tak wysoko, jak my. A prócz tego, Bóg wie, jakby postąpili najlepsi z pośród nas, gdyby się znaleźli tak, jak oni, między djabłem a morzem.

I na tem się skończyło.

Czaszki w puszczy

Było to w początkach dziewięćdziesiątych lat zeszłego stulecia, kiedy Martin Halliday umarł na Półwyspie Malajskim na „zanadto podzwrotnikową Azję“.

Rozumie się, że nie tak brzmiała nazwa, którą ochrzcili chorobę lekarze. Oni nazwali ją „złośliwym trzecim paroksyzmem“, o którym wiedzieli mnóstwo przenajrozmaitszych szczegółów, wyjąwszy jeden jedyny, a mianowicie — jak go wyleczyć. Lekarze wraz ze swą diagnozą irytowali tylko konającego do tego stopnia, że jedynie dzięki swej chorobie mógł zapanować nad swem rozdrażnieniem. Później jego sposób wyrażania stał się w samej rzeczy tak nieodpowiednim do okoliczności, że musiało się odsunąć od niego pielęgniarki zawodowe i powierzyć opiekę nad nim rękom świeckim. Obowiązki te pełnili przy nim — przyznają, nieumiejętnie, ale z wielką troskliwością i współczuciem — Jack Norris i Tommy Burton. Ten ostatni, biedaczysko, zginął zastrzelony w jakiejś pogranicznej potyczce. Pozostał Norris jako jedyny świadek dziwnego wypadku Martin'a Halliday'a.

Martin Halliday był urzędnikiem okręgowym, któ-

remu powierzono pieczę nad jakimś Bogu nawet nieznanym skrawkiem ziemi, znajdującym się na brzegach Cieśniny Malajskiej. Te przybrzeżne ziemie były tu przeważnie błotami, wśród których ochlastane, karłowate drzewa, ze zwisającemi, fantastycznie powyginanemi konarami stały po kostki w grząskiem, lepkiem bagnie i cuchnącej, letniej wodzie. Przez ten pas błota wlewało się kilka złowonnych rzek do morza, plugawiąc cieśninę swemi czarnemi jak atrament wodami; tu i owdzie tylko ohydną tę monotonję przerywały małe smugi żółtych, nadbrzeżnych piasków, okolone frendzlami kazuaryny. Krajowcy zamieszkujący te strony byli stworzeniami ziemnowodnymi, zaś wioski ich składały się po większej części z marnych chałup, panoszących się głupkowato na palach, zdala od czarnych wód, w samym środku ujść rzek. W niedołężny sposób udawali że zabawiają się handlem ryb, skutkiem czego chaty ich cuchnęły rozkładającemi się morskiemi łupami. Nad tym ludem i jego osadami unosiły się wiecznie wilgotne opary, każące myśleć o zielonej darni. Dopóki para i biali ludzie nie przewrócili tego świata do góry nogami, przodkowie ich byli co do jednego rozbójnikami morskimi i kosztem swych sąsiadów zdobyli niemało bogactw i wzruszeń. Dziś jednak poezja niebezpieczeństwa, przygód i podniecenia dawno z ich życia zniknęła, skutkiem czego rybacki lud z czasów Martin'a Halliday'a przepędzał swe dni w otoczeniu, którego przyrodzoną posępność pogłębiała jeszcze sucha monotonja, narzucona przez obcych władców w imię prawa i porządku. Ani jeden sta-

tek nie przybijał nigdy do tego opuszczonego wybrzeża. Rzadka poczta Halliday'a przefiltrowywała się do niego z dalekiego „Hinterlandu“, gdzie przez wielkie osady górnicze biegła linja kolejowa; czasami tylko parowiec, porzący sobie drogę w dół czy w górę Malajskiej Cieśniny, płynął tak blisko, że można było dostrzec jego maszty lub też światła, migające w ciemności nocy.

Halliday — w obrębie siedmiu dni drogi jedyny biały człowiek — mieszkał w tym okręgu o dobrych kilkanaście miesięcy za długo. Przywykł wałęsać się po nim, brodząc po błotach lub też jeżdżąc od wsi do wsi w śmiesznej, łatwo wywrotnej łódce — wymierzając sprawiedliwość i po ojcowsku rządząc swym małym światem — sam do tego stopnia odcięty od swego społeczeństwa, jak gdyby dom jego zbudowany był na wyspie, do której droga stała się zapomnianą tajemnicą. Przed nim, kiedy stał na skrawkach piasczystego wybrzeża, ciągnął się szeroki morski gościniec, którym przepływała więcej niż połowa wszystkich towarów Azji wschodniej; za nim, po drugiej stronie gęstego żywopłotu roślinności — pełnych sześćdziesiąt mil (ang.) zarośli, — istniała już pewnego rodzaju cywilizacja — gościńce, koleje, kopalnie, kantory, siedziby władz, kluby, sale balowe i place krokietowe — ale jego okręg, wciśnięty między te dwa strumienie niestrudzonego życia, wciąż daleki był od nowoczesnego świata, wiecznie pomijany i zapomniany przez wieki.

Martin Halliday przed rozstaniem się z tym niepozornym krajem poznał go jak własną kieszeń —

i do pewnego stopnia pokochał go. Nie zniechęcała go beznadziejność zrobienia z niego czegoś podobnego do ludzi. Jego lud trzymał się swych bagnisk i wybrzeży z psią, wszelkiej ambicji pozbawioną cierpliwością. Byli tak nieruchomi, jak niektóre skorupiaki, przyrosłe do swej rodzimej skały. Z początku energja białego człowieka — właściwość niewypowiedzianie wstrętna rybackiemu ludowi — pieniła się na widok niedołęstwa krajowców, z czasem jednak Martin sam dostosował się do swego otoczenia. Czas stracił dla niego swą wartość. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nieznacznie, powoli, zciszył niepokój swej duszy stosownie do rytmu wolno pełznących rzek i głębokiej drzemki gąszczów w mulistem bagnisku. Był rad, że może żyć w rowie, w którym go los usadowił — zaś z chwilą kiedy zaczął rządzić, nie psując starych porządków, lud jego pokochał go, zaś panowie, stojący u steru rządów, a których on przestał niepokoić, zostawili go tam, gdzie był, i najprawdopodobniej zapomnieli nawet o jego marnem istnieniu.

Jedyną jego przyjemnością było rybołóstwo, którem się żywił jego rybacki lud. Spędzenie długiej nocy w łodzi na płytkich wodach stanowiło dla niego rozkosz o nigdy nie blednącym uroku. Kochał roziskrzoną świetność i bezmiar nieba nad głową; olbrzymie przestrzenie lekko falującego morza, na którego łonie mała łódka kołysała się leniwo; kochał uczucie wolności i przestrzeni, jakie spływało na niego z tego pustkowia niebiosów i wód. Kochał bliskość niepokalanej natury, której czystość w tą-

kich chwilach pojmował, a nadewszystko miłym mu był związek, jakim, wiodąc życie pierwotne od długich wieków nie zmieniające się, połączył się z niepamiętną przeszłością.

I właśnie taka jedna noc, spędzona na rybnych mieliznach rzeki Banat, zakłóciła jego własny spokój i spokój jego okręgu.

Łódź ciężko obładowana zdobyczą, wpełzała powoli w koryto rzeki; znużona załoga ostatków sił dobywała na zakrętach. Przed nimi budził się smutny brzask nad odcinającą się od szarego nieba ciemniejszą smugą; były to dalekie łańcuchy gór na wyspie. Łódź przybywała z niezmierzonych ciemności nocnych, a regularne skrzypienie i plusk opuszczanych w wodę wioseł podobny był w ciszy do ciężkiego oddechu człowieka utrudzonego pracą. Jak cień wynurzała się ze świata cieniów, z trudem dążąc ku widmowemu lądowi. Przed łodzą było niebo szare jak ołów, za nią czarne jak atrament. Bezmiar oddalającego się i znikającego w zmierzchu morza dawał się raczej wyczuć niż widzieć. Wody, spływające ku morzu z ukrytego za lasami wnętrza wyspy, ciemne, zrządka tylko stalowo tu i owdzie połyskiwały; piasczyste wzgórki po obu brzegach były koloru sepji, a puszcza, tajemnicza poza welonem zrywającej się mgły, wyglądała niby potworna bryła o nieokreślonych kształtach, ogromna, nieodgadniona, groźna.

Martin Halliday, znużony całonocnem czuwaniem, zziębnąwszy do szpiku kości na rannym wietrze, siedział w kuczki na bambusowym pokładzie, przyglą-

dając się temu światowi neutralnych barw poprzez majaczące niewyraźnie postacie rybaków, kiwających się sennie nad swemi wiosłami. Ogarniało go zimne, bezlitosne przygnębienie zmęczenia, nędzy rzeczy bezdusznych i wczesnej, porannej godziny. Wyobraźnię jego przygniatało coś obcego, niepojętego, coś nieopisanie strasznego w tym krajobrazie i budzącego grozę. Przeznaczone mu było niejednokrotnie od tego czasu widzieć Kuala Banat i w rozmaitem oświetleniu, ostatecznie jednak przyszedł do przekonania, że miejscowość ta najprawdziwiej przedstawiła mu się za pierwszym razem, kiedy ją ujrzał w mgłach, melancholji i widmowem świetle brzasku.

Rozwidniło się już zupełnie kiedy łódź zatrzymała się u stóp piasczystego wzgórka. Zbudowano kilka szałasów, ugotowano i zjedzono niewybredny posiłek, poczem zmęczeni ludzie, nie zważając na wzrastającą siłę słońca, pokładli się spać.

Słońce chyliło się już zwolna ku zachodowi gdy wreszcie Halliday się zbudził. Towarzysze jego gotowali wieczerzę — znak, że wkrótce wyruszą wzdłuż brzegu morza w podróż powrotną do wsi, odległej o dwanaście mil. Halliday, wykąpawszy się w rzece, pozostawił ich przy tem zajęciu, a sam wziął strzelbę i poszedł do lasu.

Zarośla pełne były hałaśliwego zgiełku jakim ptaki i owady zwykły pozdrawiać zbliżanie się wieczoru, ale białemu człowiekowi, znużonemu trochę trudami minionej nocy i ociężałemu jeszcze po mocnym śnie, z którego się tak niedawno obudził, zdawało się jak gdyby w tem pustkowiu panował wielki,

niczem niezmącony spokój. W całej dżungli nie było tu ani śladu człowieka — tego arcy-warchoła, wszędzie wiecznie wszczynającego hałasy. Był to matecznik, cytadela, której od początku świata broniły przeciw rodzajowi ludzkiemu zarośla i mieszkańcy puszczy — tak się przynajmniej Martin'owi Halliday'owi zdawało.

Wszedł na małą polankę, na której skraju w zwartych szeregach stały drzewa jak wieże, poobwieszane niezliczonemi festonami i draperjami ljanów i różnych roślin pasorzytujących. Stado małych papużek wyprawiło sobie właśnie wesołą ucztę z roju niewidzialnych muszek. Halliday stanął i przyglądał się im przez chwilę niby od niechcenia, ale z żywą ciekawością. Małe ptaszki — każdy niby różnobarwna, jaskrawo świecąca plama, gdy delikatny promień słońca musnął jego piórka — krążyły i latały tam i nazad niby w jakimś chaotycznym tańcu, układając w powietrzu przedziwne wzory, na ciemnem tle puszczy tworząc co chwila nową, niespodziewaną kombinację delikatnych kolorów. Żywym kalejdoskopem były te pomykające chyżo atomy zieleni, czerwieni, złota, purpury, z podziwu godną lekkością fruwające na wszystkie strony w płochliwym, pełnym wdzięku pośpiechu — to z niesłychaną szybkością padając nadół, to nagle wzbijając się pionowo w powietrze, aby uniknąć uderzenia o pnie drzew poto tylko, żeby w następnej chwili znów runąć na upatrzoną zdobycz.

Martin miał wrażenie, że stoi tu — jak chyba stać tu musiał pierwszy zrodzony przez puszczę czło-

wiek, w samym sercu nowego świata — w nietkniętym, dziewiczym mateczniku — z Przyrodą, jako jedynym towarzyszem; że tu nie może do uszu jego dolecieć najsłabsze nawet echo kłótliwych wrzasków, jakie jedynie ludzie śmieją podnosić nawet w tajnych sanktuarjach tej ziemi, które od pierwszego dnia swego stworzenia pełne były wyłącznie dobroci. I to właśnie oddalenie miejsca od ludzi i spraw ludzkich stanowiło dla Martina największą siłę przyciągającą. Miał wrażenie, że spokoju tego, uświęconego przez Boga, miejsca nie zakłócili nawet rybacy. Ziemia na której stał nie była nigdy zbezczeszczona; nie miała ani przeszłości, ani historji; była taką jaką wyszła z rąk Stwórcy, niepokalaną, nietkniętą, chowającą w sobie jako taka, bezpośrednie objawienie dla każdego, któryby się do niej zbliżył z należnym szacunkiem.

A naraz, gdy te myśli krążyły mu po głowie, uwagę jego zwróciło na siebie coś zupełnie niespodziewanego, ukrytego w zaroślach, okalających polanę, której się przyglądał. Kiedy podszedł bliżej, aby zbadać co to takiego, stado papużek zerwało się i wzbiwszy się w powietrze różnobarwną kolumną, zniknęło wśród wierzchołków drzew.

Zarośla były gęste, mimo wszystko jednak Halliday zdołał odkryć nasypy ziemne takie, jakie mogły powstać tylko dzięki trudowi mrówek ludzkich. Były tak stare, że zupełnie już zatraciły wygląd ziemi „obrobionej“, ale pomimo to zostało w nich niejedno, co tłumaczyło do czego służyły. Miały pewną matematyczną dokładność, pewność linji, śmiałość w wy-

kreśleniu kątów prostych, metodę i celowość, która, zaiste, nigdy nie była charakterystyczną cechą robotników malajskich.

Martin Halliday usiadł na brzegu leżącym po stronie morza i przypatrywał się temu co odkrył. Wiedział teraz że się omylił; marzyło mu się tylko, że to dziewicza, nikomu nie znana puszcza. I naraz znowu spadło na niego jak objawienie z druzgocącą siłą — iż ten jego tak dobrze znany mu okręg ma swą własną historję — nie zapisaną nigdzie przeszłość, o której on dotychczas nie ma najmniejszego wyobrażenia. Co się tu mogło dziać? Było pewnem że tu znajdował się fort — fort obsadzony przez białych. Ponad wszelką wątpliwość świadczył o tem styl obwarowania. Lecz któż je tu wzniósł, jaka była historja jego opuszczenia? Sypiące się wały, milczący świadkowie wszystkiego co tu się działo, drażniły jego ciekawość, rozpalając równocześnie wyobraźnię. Ten dawno zapomniany, w puszczę wtłoczony zakątek, osłonięty zielonym całunem roślinności, zaciekawiał go w nadzwyczajny sposób — a nie było to bynajmniej zaciekawienie historyka czy archeologa, przeciwnie, Halliday'a opętała myśl, że w tym okręgu, który dotychczas uważał za swą wyłączną własność, miał jako poprzedników ludzi białych, jak i on sam. Poczuł się do takiego pokrewieństwa z nimi, że naraz stali się dla niego o wiele więcej realni, niż ci bronzowi ludzie, z którymi się codzień spotykał.

Zdumiała go łatwość z jaką go ta idea opanowała. Było to, jakgdyby w jakiś niezrozumiały spo-

sób dusze dawno zmarłych awanturników bezpośrednio porozumiewały się z jego własną duszą. Niejasne, nieuchwytne wrażenie napełniło go czemś w rodzaju nieopisanego lęku, rzekłbyś, powstrzymującego go od zawarcia braterstwa z mieszkańcami nieznanego świata duchów, którego bramy przez chwilę stały przed nim otworem. Poświst zrywającego się w puszczy wiatru wieczornego był w jego uszach niby szelestem polatujących cicho niewidzialnych duchów, a cienie, pełznące ciasnemi przejściami między pniami drzew, wyglądały jak gromadzące się armje umarłych. Z niemałym wysiłkiem otrząsnął się z napół hipnotycznego odrętwienia, w jakie popadł, zerwał się i odwrócił się plecami do zapadniętego fortu. Kiedy, wyszedłszy w kilka minut później z puszczy, połączył się na skraju piasczystego wzgórza ze swemi towarzyszami, miał wrażenie, że jednym susem przedostał się naraz ze świata dziwów do prozaicznego świata życia codziennego. Powrócił do rzeczywistości z oszołomieniem, które go samego zdziwiło.

Jadąc wzdłuż wybrzeża do najbliższej wsi, Martin Halliday wypytywał rybaków o odkryte przez siebie przypadkiem ruiny; ze zdumieniem zauważył, że nie chcieli ani mówić z nim o tem, ani zaspokoić jego ciekawości. Wciąż omijali temat, coraz widoczniej zamykając się w małem, niedostępnem kole rzekomego braku pojętności i zrozumienia, stanowiącem zawsze ostatnią ucieczkę człowieka Wschodu, popychanego w kierunku, w którym nie życzy sobie iść. Martin spostrzegł że go oszukują i pierwszy raz od wielu miesięcy dusza białego wzburzyła się

w nim, w samym fakcie oporu dostrzegając dla siebie podnietę i zachętę do dalszych badań. Prócz tego dziwny urok, jaki wywarły na nim ruiny w puszczy, wciąż jeszcze trzymał go w swej mocy. Martin nie mógł zapomnieć o tej polance, jej tajemnicy i jej zniewalającym czarze.

Z tą chwilą zniknął niczem dotychczas niezamącony spokój sennego okręgu Halliday'a. Nie wiadomo dlaczego myśl o forcie i jego dawno zmarłych mieszkańcach nie opuszczała go. Jeździł tam wciąż, nie zważając na niechęć jaką okazywali krajowcy, gdy musieli mu towarzyszyć. Mówił o tym forcie w dzień, śnił o nim w nocy. Próbował namówić swych ludzi, aby tam założyli osadę — bo z pewnością tam, u ujścia rzeki Banat kiedyś wieś znajdować się musiała. Rzeka była bardzo rybna a najbliższa wieś oddalona o dobrych dwanaście mil. Samo Kuala Banat położone było ładnie; wzgórki piasczyste, puszcza, rzeka czysta, nigdzie w pobliżu zatrųwającego życie bagna. Tysiące niezbitych argumentów przemawiały za założeniem nowej osady — a jednak, niewiadomo czemu, krajowcy, zwykle tak posłuszni i łatwo dający się przekonać, ani nawet słyszeć nie chcieli o tym planie Halliday'a. Na najsłodsze słówka byli głusi. Nie chcieli podawać żadnych przyczyn, poprostu — uparli się. Wtedy dopiero Halliday odkrył, że nie jest bynajmniej taką rurą do barszczu, ani tak zupełnie już zorjentalizowanym człowiekiem, jak sobie to chętnie wyobrażał. Zaczął przejawiać właściwości, przyrodzone niezaprzeczenie człowiekowi z Zachodu: zniecierpliwic-

nie białego człowieka, stanowczość białego człowieka, energję białego człowieka, a prócz tego też trochę porywczości białego człowieka; i od tej chwili Rząd, który prawie już o nim zapomniał, znowu ku niemałej swej przykrości dowiedział się o jego istnieniu.

Przez długie miesiące dokuczał swym rozczarowanym Malajom, bombardując równocześnie „sfery miarodajne“ obfitą korespondencją w sprawie Kuala Banatu i nowej osady, jaką zawziął się założyć w tem ulubionem i upatrzonem przez siebie miejscu. Złożyło się tak, że Rząd właśnie gonił wówczas za zającem, zwanym „Imigracja“, dzięki czemu projekt Halliday'a szczęśliwym zbiegiem okoliczności był na rękę zamiarom rządu, który też po odpowiedniej ilości miesięcy, pracowicie zmarnowanej na korespondencję, sprawił, iż trzydzieści rodzin rybackich z Trengganu, zabrano ze wschodniego wybrzeża Półwyspu i wyładowano je na brzegach Halliday'a w celu skolonizowania Kuala Banatu. Martin sam, osobiście, powiódł nowoprzybyłych ku wybranemu przez siebie miejscu, a wiadomości, jakie następnie z okręgu przyszły, powiadomiły rząd, iż cała ta gromada emigrantów została zdmuchnięta — przez zarazę, jak przypuszczano — zaś samego Halliday przewieziono dokoła morzem do najbliższego portu — bliskiego śmierci i, według wszelkich oznak, z pomieszaniem zmysłów. Tam też umarł, jakeśmy to już powiedzieli na „złośliwy trzeci paroksyzm febry“ — albo też raczej, jak ja myślę, na zbyt tropikalną Azję.

Suchy zarys tych faktów możecie znaleźć, o ile

byście wiedzieli gdzie go szukać, jak należy, złożony do aktów departamentu; ale o reszcie, apokryficznej, być może, za to jednak niezaprzeczenie o wiele więcej zajmującej części historji, raport urzędowy nie wspomina ani słówkiem. Pierwsze słuchy doszły o niej do uszu Jacka Norrisa i Tommy Burtona od samego Martina Halliday'a tuż przed jego śmiercią. Opowiadanie ze wszystkiemi szczegółami jest kompilacją dziennika zmarłego, uzupełnionego do pewnego stopnia komentarzami dostarczonemi przez Pawang Mat Dżezina, znachora Kuala Pulai. Głównie jednak opiera się historja na gołosłownem oświadczeniu biednego Halliday'a, a febra i gorączka — o ile istotnie zabiła go febra, czemu on aż do zgonu uparcie przeczył — potrafi wydać człowieka na pastwę w całem znaczeniu słowa dziwacznych przywidzeń.

Pokój w bungalowie, gdzie leżał śmiertelnie chory Martin Halliday, był bardzo biednie i niedostatecznie urządzony. Żaden dywan nie przykrywał podłogi ze zwykłych desek a całe umeblowanie stanowiło szerokie żelazne łóżko z nieporządnie podpiętą brudną siatką chroniącą od moskitów i parę wyplatanych krzeseł, w których, czuwając przy chorym, siedzieli Burton i Norris przy małej szafce nocnej. Szafka zastawiona była flaszkami z lekarstwami; obok znajdował się talerz z jakąś niezbyt apetyczną potrawą, której biedny Martin nie mógł tknąć inaczej, jak chyba tylko wzrokiem. Powietrze nocy podzwrotnikowej, samo przez się duszne i parne, tu nieznośnie ciężkiem czynił odór środków dezynfekcyjnych.

Halliday, wychudły jak szczapa, leżał w łóżku,

kocem do pasa przykryty, i od kilku godzin rzucał się niesamowicie w niespokojnym śnie, podczas gdy Norris i Burton siedzieli cicho, jak myszy, bojąc się zbudzić go najmniejszym ruchem. Wiedzieli że przyjaciel ich niewiele już ma życia przed sobą, i to czuwanie tutaj całemi godzinami w oczekiwaniu końca — obserwowanie Śmierci, która cal po calu już po nim lazła, rozstrajała ich i przygnębiała w niesłychany sposób. Ponura cisza, przerywana tylko ciężkim oddechem Halliday'a i ćwierkaniem dalekich owadów, jakby liczących bez strudzenia przemijające sekundy, denerwowała czuwających do najwyższego stopnia. Z trudnością już nad sobą panowali. Byle brutalny dźwięk czy odgłos — choćby krzyk bólu — przyniósłby istotną ulgę; znacznie przykrzejsze było to natężenie ciszy i nieuniknione oczekiwanie nieuniknionego.

Musiało to być na parę godzin przed świtem, gdy Halliday, który od kilku minut jęczał w niewypowiedzianie bolesny i żałosny sposób, nagle utkwił w twarzy Norrisa oczy, prawda, świecące gorączką, ale zupełnie przytomne. Jack i Tommy zerwali się na równe nogi, starając się nakłonić chorego do spożycia posiłku, jaki dla niego mieli, on jednak poprzestał tylko na zwilżeniu swych spierzchniętych warg, poczem, mocując się wszelkiemi siłami ze śmiercią, zaczął mówić szybko, z jakąś szaloną, niespokojną energją, rzucając bryzgi słów, jak tryska krew z przeciętej arterji. Widocznem było, iż boi się, aby go nie opuściły siły, zanim powie to, co chce powiedzieć. Przyjaciele próbowali go z początku uspo-

koić i zmitygować, on jednak był tak podniecony, podrażniony, że nie było sposobu, jak tylko pozwolić mu robić, co chce.

— Muszę mówić! — dyszał. — Muszę powiedzieć to, co chcę, inaczej nie będę miał w grobie spokoju. Mam na sumieniu — Boże, zlituj się nademną! — życie trzydziestu rodzin — o ile nie zdołam wam wytłumaczyć — zmusić was do uwierzenia mi — przedstawić wam całej prawdy — drugi jakiś warjat zrobi to, co ja zrobiłem, a ja, ja — będę za to odpowiedzialny. Krajowcy ani słówkiem o tem wszystkiem nie pisną — nie zechcą — przynajmniej większość; i gdyby nawet chcieli mówić, biali nie dadzą im wiary — tak samo jak i ja nie wierzyłem. I nie chciałem słuchać, nie chciałem słuchać!

Tu krzyk przeszedł w skomlenie.

— Przyrzeknijcie mi! — mówił łkając. — Przyrzeknijcie — proszę — przyrzeknijcie, że nikomu nie pozwolicie próbować zakładać osady w Kuala Banat! Przyrzeknijcie mi to! Dajcie mi na to słowo honoru, przysięgnijcie na zbawienie duszy! Powiedzcie „Tak mi Panie Boże dopomóż!“ Powtórzcie to za mną! Zaraz! Już!

Aby go uspokoić, Norris i Burton złożyli uroczystą przysięgę, aczkolwiek byli przekonani, że on jest w delirjum. Halliday osłabiony leżał cicho na poduszkach, jak gdyby energja jego wyczerpała się i jak gdyby w poczuciu, że teraz, kiedy już zadanie, jakie sobie sam wyznaczył, zostało wypełnione, ma prawo wypocząć sobie.

Ale po chwili znów zaczął mówić, a słowa jego, mimo iż wymawiane bez poprzedniego podniecenia, skutkiem jakiejś zduszonej, gardłowej intonacji, brzmiały wprost niesamowicie.

— Powinienbym powiedzieć wam, dlaczego — dlaczego kazałem wam przysiądz — tylko że nie mogę — jestem za słaby. Chciałbym bardzo, abyście nie mieli mnie za warjata. Zaświadczcie! Jestem na umyśle tak samo zdrów, jak i wy. Wierzcie mi — wierzcie! Nie zważajcie na brednie doktorów, gadających wciąż o febrze — i delirjum. Ja wiem co mówię — co napisałem. Każde słowo jest prawdziwe. — Bóg mi świadkiem! Dziennik swój — znajdziecie go tu — prowadziłem z dnia na dzień. Powtarzam wam, Bóg świadkiem, że pisałem tylko prawdę! Musicie mi uwierzyć!

Tu naraz rozległ się wielki krzyk, straszny krzyk rozpaczy — krzyk, który czasami wciąż jeszcze brzmi w uszach Norrisa. Kiedy mu się zdaje, że go słyszy, przychodzi mu znowu na myśl ogromna siła przekonania, z którą konający mówił — a potem wszystko na jakiś czas blednie i zaciera się.

Krzyk ten był ostatnim, jaki Halliday wydał, bo zaraz potem popadł w omdlenie, z którego się już nie obudził.

Zbadanie pozostałych po nim papierów przypadło w udziale przyjaciołom, którzy się nim opiekowali podczas choroby. Musieli też napisać, jak zwykle, melancholijne w takich wypadkach, listy do krewnych zmarłego w Ojczyźnie, łagodząc poniekąd, jak wypadało, przykre okoliczności, wśród jakich on umarł,

bo pocóż było zbytecznie rozwodzić się nad pustym i nędznie urządzonym bungalowem, brudną siatką ochraniająca od moskitów, o kłótniach z lekarzami i innych nieprzyjemnych rzeczach. Gdy się ma pisać do Ojczyzny o jakimś nadzwyczajnym wypadku śmierci, redaguje się list z niesłychaną ostrożnością, przyczem oczywiście, ze względu na kochające serca w oddali, musi się sumienie pogodzić z nieuniknioną nieszczerością i uciec się do kłamstwa. W wypadku Martina Halliday'a jego dwaj mniej lub więcej dobrowolni egzekutorzy brali na siebie nadzwyczaj ciężką odpowiedzialność. Po przeczytaniu dziennika, o którym Martin mówił na śmiertelnem łożu, przyszli do przekonania, że — przynajmniej na jakiś czas — trzeba go będzie schować, nic o nim nie wspominając. Pamięć zmarłego była im droga, a wiedzieli, iż po zbadaniu tych papierów pozbawiony wszelkiej wyobraźni Rząd, wspomagany przez swych doradców, niezwłocznie z zimną krwią ogłosi, iż Halliday umarł na ostrą demencję. Z drugiej strony krewni w Anglji zrozumieliby jeszcze mniej. Tym, którzy Martina Halliday'a kochali, lektura jego dziennika mogła tylko sprawić ból i przykrość, ci, którzy go nie znali, wyśmialiby go. Zatem, ze względu na pamięć zmarłego, musiało się te papiery z pozostałych po nim rzeczy, usunąć — i tak też zrobiono.

Prócz tego Jack Norris, w sposób możliwie dyskretny i skuteczny, postarał się, aby życzenie Halliday'a zostało spełnione, i aby nigdy już w Kuala Banat nie zakładano osady. W jaki sposób udało mu się to zrobić, stanowi tajemnicę handlową, o któ-

rej najlepiej będzie mi zamilczeć; udało mu się uzyskać sanitarne potępienie tej miejscowości, co znaczy, że ona „urzędowo“ została na zawsze uznana za nienadającą się ze względów sanitarnych do zamieszkania. Z pewnością nie robiłby tego wszystkiego, gdyby choć odrobinę nie wierzył w prawdziwość słów Halliday'a. Nigdy jednak nie chce o tem mówić i jedyne, co zdołałem z niego wyciągnąć, to nadzieja, iż umarły będzie mógł teraz „spokojnie spać w swym grobie“.

Podczas długich miesięcy marudzenia, zanim wreszcie Halliday'a projekt założenia osady w Kuala Banat został, jak to w dzienniku swym określa, „przepchany“, ruiny odkrytego przezeń fortu prawie że go opętały. Odwiedzał je wciąż — i nieraz zbaczał z drogi, aby — bez żadnego bliżej określonego celu — znaleźć się w ich pobliżu. Co go tak przyciągało do tego miejsca — niewiadomo, bo jego krajowcy absolutnie odsuwali od siebie wszelką myśl założenia tam jakiejkolwiek osady, a przez jakiś czas projekt sprowadzenia tam nowych osadników nie miał widoków powodzenia. Wogóle — nie było tu co robić. Zwierzyna nie warta była strzału, łapać ryby można było tylko w nocy; Halliday nie miał nawet żadnych zapędów archeologicznych, nie miał nigdy zamiaru kopać w tem miejscu, aby szukać zabytków przeszłości. Mimo wszystko stary fort miał dla niego dziwną siłę przyciągającą. Nie widząc go dłuższy czas, był zdenerwowany i niespokojny, a jednak, kiedy znowu powracał do tej Mekki swych licznych pielgrzymek, nie czuł się uspokojony. Godziny

całe spędzał, siedząc bezczynnie na osuwających się wałach, marząc i wsłuchując się w szept minionych wieków — a gdy o zachodzie słońca jego krajowcy zaczynali głośno domagać się hasła do powrotu, odrywał się od tego miejsca z wysiłkiem i niedorzecznem ale niepowstrzymanem pragnieniem jak najszybszego powrotu. Malajowie jego okręgu, przeważnie bez szemrania spełniający jego wolę, bezwarunkowo odmawiali zatrzymania się na noc w Kuala Banat, zaś Martin Halliday zanotował w swym dzienniku, iż „dręczyło go niewysłowione pragnienie“ ujrzenia starego fortu przy świetle księżyca.

Umiłowaniu tego miejsca daje często wyraz w swym pamiętniku; rozpływa się nad jego pięknością. „Kuala Banat — pisze — jest najpiękniejszą miejscowością w całym moim okręgu — rzeka z czystą, z przezroczystą wodą, żółte jak masło, piasczyste wzgórki, a wreszcie las — ogromne, wysokie ściany lasu, piętrzące się po obu brzegach, kolosalnej wysokości — lasu niesłychanie starego, patrzącego na was z góry z lekceważeniem wspaniałości i wyższości swej tajemnicy. Równa się gwiazdom, „z całą ich siłą wypalenia na człowieku piętna jego nicości“. To miejsce zachwyca mnie — pochłania całą mą wyobraźnię — nie mogę ani na chwilę zapomnieć o niem. Ileż razy stałem, patrząc na te ogromne, milczące drzewa, myśląc z utęsknieniem, coby to było, gdyby one mogły przemówić i opowiedzieć mi, co widziały — opisać tragedję tego opuszczonego fortu, tego bezludnego kraju z bajki. Albowiem tu musiała się rozegrać jakaś tragedja — o tem wiedziałem, czu-

łem to. Lubego tego ustronia ludzie nie opuściliby z pewnością, dopókiby ich stąd coś nie wypędziło, nie wypędziło, n i e w y p ę d z i ł o! Ale coby to mogło być? — myślałem — zaraza, głód, wojna? Chwilami zdaje mi się, że tuż tuż odgadnę tę tajemnicę, aczkolwiek sam nie wiem, jak i w jaki sposób. Przynaglić niczego nie mogę — mogę tylko siedzieć i czekać — na co? Kiedy tak czasami słucham, natężając cały mój słuch, mam wrażenie, że gdyby zmysły me były bardziej bystre, zrozumiałbym wszystko, nie ruszywszy nawet małym palcem. Napisawszy to czarno na białem, rozumiem doskonale, iż to jest nonsens, sam jednak wiedziałem, iż wszystko, co mogłem zrobić, było — siedzieć i czekać.

— Za każdym razem — pisze przy innej sposobności — wzrastał dziwny wpływ tego zakątka, wpływ jakby hipnotyczny. Wrażenie, jakie z pierwszej bytności wyniosłem, było tak dziwne, że trudno mi je opisać. Przedewszystkiem jakiś głos we mnie wołał głośno, abym się wrócił, abym się zdala trzymał od Kuala Banat — podczas gdy jakaś inna siła — zupełnie ode mnie niezależna — wciąż mnie tam pchała. Prawda, że bardzo sobie ten zakątek upodobałem, ale z początku nie szło mi to bynajmniej tak łatwo. Wisiała nad nim groza — coś w rodzaju przeczucia, jakie się ma, gdy człowiekowi zagraża niebezpieczeństwo — i choć właściwie czuje się, wbrew własnej woli nawet, coś w rodzaju nienawiści, niepodobna wyzwolić się, oprzeć się temu wrażeniu — albowiem ono, przerażając, równocześnie podnieca i fascynuje. Przypuszczam, że

każdy z nas doświadczał w życiu czegoś podobnego w mniejszym lub większym stopniu; ale u mnie jest to niedorzeczne, bezsensowne a jednak tak nieprzezwyciężone, że mi poprostu nie daje spokoju. Jak tylko się od tego zakątka oddalę, robię się nieswój — jestem wciąż podenerwowany. Mam wrażenie, że mi wciąż czegoś brakuje: ale kiedy wracam do tych ruin, staję się jeszcze bardziej niespokojny i podrażniony i z męczącem natężeniem wsłuchuję się wciąż w ciszę, jakby czekając na jakiś dźwięk, którego nie mogę uchwycić, na jakieś objawienie czy słowo, którego nie mogę ani usłyszeć, ani zrozumieć.“

Warto porównać te ustępy z nudną urzędową prozą raportów Halliday'a, pisanych w tym samym czasie dla Rządu w celu nakłonienia go do uskutecznienia jego planu i założenia kolonji rybackiej w Kuala Banat; możnaby pomyśleć, że to nie ten sam człowiek pisał. W raportach urzędowych argumenty przemawiające za założeniem osady uporządkowane są starannie i niema w nich nic prócz hamowanego zapału zwykłego naczelnika okręgu, uzasadniającego swój ulubiony projekt. W dzienniku mamy do czynienia z zupełnie odmienną istotą. Tu nie mówi już automat-cywil, lecz człowiek dziwnie wnikliwych, nawet do pewnego stopnia chorobliwych skłonności — łup nieuchwytnych urojeń i sprzecznych uprzedzeń. Właściwie to dziennik ten w większej swej części zapełniony jest nudną gadaniną o obowiązkach a tu i owdzie tylko przerywają ją „purpurowe“ plamy prawie histerycznej prozy, zawsze

związanej z myślą o Kuala Banat, lub też napół mistycznem analizowaniem wrażeń, wyniesionych z tego zakątka. Urywków takich przytoczyłem tu już dość, a dalszy ciąg historji muszę opowiedzieć, jak potrafię najlepiej, okazjonalnie tylko powołując się na źródła, z których ją czerpię.

Wreszcie pewnego dnia doczekał się Martin Halliday urzeczywistnienia swych marzeń. W Kuala Pulai, odległego o dwanaście mil od Kuala Banatu, statek rządowy wysadził na ląd trzydzieści rodzin z Trengganu; pozbywszy się pasażerów mały stateczek natychmiast ruszył w powrotną drogę. Halliday czem prędzej zaczął zbierać żaglowe łodzie dla przewiezienia nowo przybyłych i ich ruchomości na miejsce przeznaczenia i jak tylko je zebrał, gorączkowo naglił do odjazdu. Wiedząc, że krajowcy jego okręgu zabobonnie boją się Kuala Banat, obawiał się, żeby nie powiedzieli czego ludziom z Trengganu i nie odstręczyli mu ich. W rzeczywistości mógł być co do tego spokojny. Malaje z Kuala Pulai prawdopodobnie zgoła nie powątpiewali o pewnych znanych sobie faktach i nie łudzili się ani na chwilę co do losu, oczekującego w Kuala Banat ludzi z Trengganu, ale ich to zupełnie nie wzruszało. Nowoprzybyli nie należali do tego okręgu a choć mówili tym samym językiem, wyznawali tę samą religję i byli tak samo bronzowi jak mieszkańcy Kuala Pulai, uważano ich za obcych, których z krajowcami miejscowymi nie łączy ani żaden związek krwi, ani interes. Dlatego los ich, zły czy dobry, nikogo nic nie obchodził. Ludzie z Pulai spokojnie

pozwolili im odejść — ani słóweczkiem ich nie ostrzegli, nie zatrzymywali, palcem nie ruszyli. I nie możnaby nawet tak bardzo brać im tego za złe. Martin Halliday znany był jako człowiek stanowczy; uparł się przy swoim projekcie założenia nowej osady. Gdyby mu kolonistów zaczęto straszyć bajkami starych bab, winowajcy mieliby się z pewnością zpyszna. Co najdziwniejsza jednak, to — mojem zdaniem — fakt, iż ten wzgląd bynajmniej nie wpłynął na postępowanie miejscowych Malajów. Oni poprostu o ludzi z Trengganu nie dbali — nie myśleli, aby się warto było o nich troszczyć. I tu macie człowieka Wschodu — jego niesłychaną obojętność i zupełny brak współczucia dla tych, z którymi go nic bliżej nie wiąże. Gdyby coś podobnego stało się w Europie — co zresztą jest nie do pomyślenia — każdy mieszkaniec przestrzegłby krajowców z Trengganu i projekt Halliday'a umarłby w zarodku. Tu wszystko poszło zupełnie gładko.

Wyżej od osadników stał w szacunku krajowców okręgu Martin. Był mile widzianym gościem w każdej wsi, w każdym domu. Jego ludzie przyzwyczaili się do niego, wiedzieli, jak z nim postępować, znali doskonale jego złe i dobre strony, wierzyli w jego spryt i zdolność zrozumienia ich i ich potrzeb. Gdyby jemu wydarzyło się jakie nieszczęście, przysłanoby na jego miejsce nowego białego, a bogom tylko wiadomo, coby to znów był za człowiek! To też okręg, ustami swemi w postaci znachora, starego Pawang Mat Dżezin mówił do

Martina Halliday'a, zaś Martin próbował w osobie znachora wytłumaczyć okręgowi, iż dostaje bzika.

Stary przyszedł do Martina w przeddzień jego wyruszenia do Kuala Banat i z całą powagą nakłaniał go do porzucenia projektu. Zrazu mówił dość trzeźwo, choć co się tyczy powodu do obaw daleki był od jasności, zauważywszy jednak, że nie robią wrażenia, wpadł w coś w rodzaju dzikiego podniecenia, rzucił się do stóp białego człowieka i zaczął go błagać, jak gdy o własne życie prosił, płacząc i grożąc przez łzy. Halliday nie mógł nic poradzić. Próbował wytłumaczyć staremu że projektu, zatwierdzonego przez Rząd, nie można porzucać nagle i bez dostatecznych powodów; ale Pawang był niedostępny dla żadnych argumentów. Klęska — jak się wyraził — jeszcze nie spadła, zatem można jej było uniknąć. Rządem, żywym jego przedstawicielem, był dla niego Halliday. Nie umiał albo nie chciał zdać sobie sprawy z nieosobowej organizacji znajdującej się za naczelnikiem okręgu. Według jego przekonania decyzja znajdowała się w rękach białego: o ile on sam nie pozwoli, rzeczy za daleko nie zajdą. Biały z pewnością ma jakiś sposób, żeby się cofnąć. Błagał, płakał, rzucał się jak szalony a wreszcie wyrzucił z siebie cały tom niejasnych, mglistych gróźb.

Podniecenie starego wprawiło Halliday'a w zdumienie. Gdyby nie znał dobrze zwyczajów tego mahometańskiego chłopa, przypuszczałby może, że on jest pijany. Wiedząc jednak, że Pawang w życiu swem nigdy ani nawet nie skosztował wódki, nie

mógł w żaden sposób przypuścić czegoś podobnego a jego znajomość charakteru malajskiego podsunęła mu tu myśl, która go zaniepokoiła. Obawiał się, że stary bliski jest może jednego z tych nerwowych wybuchów, które u jego rodaków kończą się zwykle biegiem *amok*,*) i pewny był, że katastrofy tej można będzie uniknąć tylko, jeśli z Pawanga nie spuści oka, jeśli ujmie jego duszę w szrubsztak silniejszej natury i utrzyma ją tak, dopóki paroksyzm nie minie.

Wobec tego Halliday zaproponował znachorowi aby mu towarzyszył do Kuala Banat, a Pawang, choć w pierwszej chwili na samą myśl o tem struchlał, wreszcie zgodził się, pod warunkiem, że każdej chwili będzie mógł wrócić.

Halliday zgodził się na ten warunek, skutkiem czego, kiedy jego mała flotylla rozpięła żagle, aby wyruszyć z Kuala Pulai, Pawang Mat Dżezin, jedyny z miejscowych krajowców, wszedł na pokład łodzi białego człowieka. Siedząc wciśniony w tył łodzi, mamrotał modlitwy i egzorcyzmy, drżąc i dzwoniąc zębami z zabobonnego strachu, a chwilami otrząsając się, jak zmoczony jamnik. Nie był to zbyt zachęcający widok, ale Halliday był nie-

---

*) Malaje nadzwyczajnie nad sobą panują. Są zawsze grzeczni, uśmiechnięci, uprzejmi, jednakże, wyprowadzeni z równowagi, dostają szału, który kończy się najczęściej tem, że Malaj chwyta nóż, wypada i morduje każdego, kto mu w ręce wpadnie. To nazywa się *amok*. Jest to straszna rzecz, bo taki szaleniec może zabić kilkanaście osób — bez względu na wiek czy płeć — zanim zostanie ubezwładniony, co zresztą rzadko się zdarza. Goniący *amok* Malaj zwykle ginie z rąk ludności jak wściekły pies.

słychanie zadowolony, że ma starego pod ręką, jako że dla każdego urzędnika spokój w jego okręgu jest rzeczą bardzo cenną, a Martin miał wrażenie, że Pawang, pozostawiony sam sobie w tym stanie podniecenia, mógłby go zakłócić.

Kiedy flotylla Martin'a Halliday'a wpływała powoli do ujścia rzeki w łagodnem świetle popołudniowego słońca, zachwyconym oczom Martin'a Halliday'a wydało się Kuala Banat piękniejszem, niż kiedykolwiek. Nisko, już u skłonu przecudownie kolorowej kopuły układało się słońce na łożu chmur z płynnej purpury; w niebiosach żywa, eteryczna zieleń przechodziła niedostrzegalnie w czysty błękit nad różowemi smugami, wygasającemi na zachodzie; zorza wieczorna — miękka, niepokalana glorja słoneczna — sprawiała, iż łańcuch górski zdawał się wznosić niewiarogodnie blisko, podobny do falistego, kobaltowego grzebienia. Poniżej linji gór, bezpośrednio na pierwszym planie, dźwigała się nagle puszcza, której każdy odcień zieleni wzmacniało i ożywiało światło zachodzącego słońca; a znów poniżej linji lasu, po obu stronach, żółte, piasczyste brzegi tworzyły wrota, przez które rzeka, rzucając czerwone odblaski, toczyła swe ciche wody.

Z wielkim krzykiem, trzeszczeniem lin, sporządzonych z trzciny wodnej i zgrzytem kotwic, umocowano czółna u brzegu. Świetność zniknęła z niebios; noc spadła na ziemię tak szybko, jak zasłona w teatrze; ciemności tu i owdzie tylko rozpraszały ogniska, przy których gotowano wieczerzę. A po-

tem wzeszedł księżyc i na scenę padło światło, jak gdyby z jakiegoś bajecznego świata.

Krajowcy, znużeni całodzienną pracą i upałem, zjedli zwykłą swą wieczerzę, składającą się z ryżu i ryb i powlekli się do łodzi, gdzie się pokładli na spoczynek; ale Martin Halliday siedział do późnej nocy i marzył. Wyśnił sobie marzenie, które się wreszcie spełniło. Przeznaczeniem jego było zaludnić to miłe pustkowie tak, jak kiedyś było zaludnione — kiedy, mógł się tylko domyślać. Przyglądał się brzegom i rzece z pełnem dumy i zadowolenia uczuciem właściciela. Ten zakątek stanowił jego, j e g o własność, jak żaden inny na tym cudnym bożym świecie, i on mógł zrobić z niego wszystko, co mu się podobało. Marzył na jawie i tak powoli usnął.

Wczesnym rankiem zabrano się poważnie do budowania wsi, i pod tym względem ludzie z Trengganu — bardzo zręczni w posługiwaniu się różnemi narzędziami — dowiedli, iż ich wyobrażenie o architekturze i wygodzie stoi znacznie wyżej, niż u krajowców okręgu Halliday'a. Wykończone domy przewyższałyby stanowczo chaty dotychczas tu budowane, zaś ludzie, którzy je budowali, sypiali na razie bez szemrania na pokładach swych łodzi. Obfitość ryb w rzece była nawet większa, niż Halliday przypuszczał, tak, że wszystko szło tak dobrze, iż Martin zaczął podrwiwać sobie z Pawanga, który wciąż był pełen strachu, posępny i nieufny.

— Nie wylądowaliśmy jeszcze, *Tuan**) — mó-

*) *Tuan* — po malajsku „pan".

wił stary. — Mieszkamy wciąż w czółnach. Nie głośmy światu swego triumfu, póki się atak nie rozpoczął.

— Cały dzień jesteśmy na brzegu !— wtrącił Halliday.

— I owszem! — zaskrzeczał Pawang. — Ale całą noc na wodzie! Zaczekaj, *Tuan*, zaczekaj! Och, wynieś się z tego przeklętego miejsca, choćby dziś i w tej chwili!

— A właśnie! — mruknął Martin do siebie i zaczął znowu drwić z Pawanga.

Stary nie odpowiadał, ale widać było, że go to wcale nie bawi.

Trzeciego dnia, kiedy Martin wyszedł z częścią osadników do lasu, gdzie miano rąbać drzewo potrzebne do budowy chat, przypadek skierował go ku staremu fortowi. Odwiedzał go nieraz od czasu swego pierwszego pobytu — i spędził w nim więcej poświęconych marzeniu i samotnym rozmyślaniom godzin, niżby się do tego przyznał, ale ludzie jego nigdy nie korzystali ze sposobności wycinania palów w tym dziwnym zakątku. Dziś, kiedy nowo przybyli osadnicy karczowali zarośla dokoła korzeni wielkiego drzewa, które przeznaczali na ścięcie, odkryli przypadkiem coś ciekawego. Były to trzy czaszki ludzkie, w równym szeregu leżące na ziemi. Malaje, brzydzący się takiemi rzeczami, nie chcieli ich nawet dotknąć, ale Martin, którego czaszki zaciekawiły, zaczął je badać uważnie. Z dziwnem uczuciem gniewu w sercu odkrył, iż czaszki te kiedyś musiały spoczywać na barkach ludzi białych, jak i on

— kształt czaszek wykluczał co do tego wszelką wątpliwość. Prócz tego łatwo można było odgadnąć, iż jedna czaszka należała do dziecka, druga do kobiety, a trzecia, największa, do mężczyzny. Ta ostatnia zmiażdżona była z tyłu ciosem, który zgruchotał kość; dwie inne czaszki były nietknięte.

Odkrycie to wstrząsnęło nim. Te trzy sczerniałe czaszki, wpatrujące się weń pustemi oczodołami z uporem, który sprawiał na nim wrażenie nieubłaganej nienawiści, mówiły do niego z nadzwyczajną siłą. Wiedział, że to szczątki takich samych Europejczyków, jak on, i że jeden z nich, najsilniejszy, zginął śmiercią gwałtowną. Zdawało mu się, jakby to byli bliscy jego krewni. Odezwał się w nim głos krwi, potwierdzający wspólnotę ze społeczeństwem zupełnie różnem od otaczającej go brunatnej społeczności krajowców, wspólnotę wiary, tradycji i historji. Mimo, że tych tu umarłych oddzielały od niego długie wieki; mimo, że nie wiedział, jak się za życia nazywali, mało tego, nie wiedział nawet, jakiej byli narodowości; mimo że pod każdym względem nieskończenie więcej byli od niego oddaleni — — niż żywi ludzie, mężczyźni i kobiety — Malaje — między którymi tak długo przebywał — ci tu zdawali się mieć prawo do niego, jak do swego człowieka, zdawali się przyzywać go do siebie, jak przyjaciela, sojusznika. Dziwnie wzruszała go myśl, że ich tu wymordowano samotnych w puszczy, otoczonych bezlitosnymi wrogami. Czy to ścięła się w nim nagle krew białego człowieka — ten przesąd zabarwienia skóry, silniejszy od wolnomyślnych

argumentów i lat, spędzonych w najbliższych stosunkach z ludźmi niższej rasy? Możeby tego tak nie określił — ale uczucie to, silne i gniewne zbudziło się w nim — gniew na myśl o tem, że tych nieznajomych tu wymordowano, nienawiść do ich morderców, piekące pragnienie zemsty. Tłumaczył sobie, że myśl ta jest niedorzeczna, nielogiczna, ale uczucia pozbyć się nie mógł — z taką siłą go opanowało.

Dodać do tego należy jeszcze drugie wrażenie — dziwaczne, nieokreślone, podświadome. Halliday'owi zdawało się, jak gdyby ci umarli czekali na niego, a on na nich; jak gdyby od samego początku wszelkiemi siłami starali się przyciągnąć go do tego zakątka, — i oto czem sobie tłumaczył teraz niezrozumiały pociąg do bezustannego odwiedzania go. Znalezienie niepogrzebanych czaszek chrześcijańskich zdawało mu się wreszcie wyjaśniać „czego od niego żądano“, a z czego przed tem nie mógł sobie zdać sprawy. W zdumienie wprawiła go myśl, co do której jednak nie miał najmniejszej wątpliwości — iż ci zmarli pragnęli chrześcijańskiego pogrzebu i w jakiś tajemniczy sposób zdołali objawić mu swą wolę. W tym prozaicznym wieku, z końcem dziewiętnastego stulecia myśl taka mogła się wydać fantastyczną, niedorzeczną; tu jednak samo pustkowie robiło ją w pewnej mierze prawdopodobną.

Z całą powagą zakopał czaszki, odmawiając nad niemi urywki modlitw, jakie jeszcze pamiętał, poczem usiadł przy grobie, który sam wykopał i za-

sypał, myśląc ze wzrastającem zajęciem o nieznanym losie tego mężczyzny, kobiety i dziecka. Przypadek, który odkrył mu czaszki, zdawał się jeszcze bardziej zbliżać go do zapomnianej tragedji w opuszczonym forcie. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek pragnął poznać szczegóły jego upadku, opuszczenia, życia i śmierci ludzi, którzy go zamieszkiwali. Ale mimo, iż oddał zmarłym ostatnią posługę, dziwne uczucie, jak gdyby jeszcze czegoś więcej od niego wymagano, nie tylko po dawnemu nie opuszczało go, ale, przeciwnie, było trzykroć silniejsze.

Tej nocy zbudził się Martin Halliday na długo przed świtem z tą jasną bystrością umysłu, która zwykle wskazuje, iż sen już tak prędko nie wróci. Usiadłszy pod daszkiem z palmowych liści, pod którym na tyle łodzi rozesłano mu matę, wpatrywał się w pogodną ciszę nocy. Księżyc prószył swem łagodnem, zwodniczem światłem na las i rzekę, nadając krajobrazowi charakter miłej nierzeczywistości i teatralności. Nie słychać było najmniejszego podmuchu wiatru; ani ptak ani owad żaden nie odzywał się na lądzie; cisza, jaka panowała, zdawała się być świętą, aby cokolwiek śmiało ją zmącić; jej ogromny majestat miał w sobie poprostu nadziemski czar.

Naraz przypomniało się Martin'owi, że tyle razy pragnął ujrzeć fort w świetle księżyca i to „chorobliwe pragnienie“, z którem pisał w swym dzienniku, dziwiąc się nawet jego niespodziewanej sile, zaczęło natychmiast domagać się zaspokojenia. Obuł się pocichu, wydostał się przez burtę na przymocowaną

do boku łodzi zdradliwą drabinkę bambusową i tak dostał się na brzeg.

Głębokie, czarne cienie leżały pod sklepieniem konarów drzew, na pierwszy rzut oka grube jak pnie i łudzące wzrok tysiącznemi pozorami różnych przeszkód i zawad. Ale Halliday, skutkiem częstego odwiedzania fortu, tak dobrze już znał prowadzącą do niego ścieżkę, że drogę bez najmniejszej trudności odnalazł. Właśnie znalazł się na małej polance, na której kiedyś widział papużki, uganiające za muszkami; a tu jego mały foksterrier, który szedł za nim — tuż za nogą, zawył naraz i wziąwszy pod siebie ogon, pomknął, jak strzała, ku łodziom. Martin obrócił się, sądząc że może wąż jaki ugryzł psa, ale w zaroślach nic się nie ruszało. Zaczął wołać psa i gwizdać na niego, co miało jednak tylko ten skutek, że foksik zmykał jeszcze prędzej. W ciszy nocnej słychać było chyży tupot jego małych łapek. Martin znowu zawołał na psa a potem naraz umilkł. Zdawało mu się, że te jego krzyki są profanacją ciszy lasu i nocy.

Halliday rzucił jeszcze raz okiem na fort, powoli wyszedł na polanę, poruszając się ostrożnie, ponieważ, sądząc z ucieczki psa, obawiał się, że gdzieś w pobliżu może się znajdować jakieś drapieżne zwierzę. Zaczął węszyć, spodziewając się znanego sobie dobrze silnego odoru — odoru, jaki mogłoby wydać całe stada lisów — a który jest niewątpliwą oznaką obecności tygrysa — lecz powietrze było nieskalane, brzemienne tylko ciężkim aromatem puszczy. Uspokojony co do tego, zrobił kilka kroków na-

przód, a potem nagle stanął. Przed nim, niedaleko samego środka fortu, w tem samem miejscu, gdzie wczoraj pochował szczątki umarłych, leżały na ziemi trzy białe przedmioty. Były to czaszki, leżące w tym samym porządku, jak kiedy je pierwszy raz zobaczył. Widok ich przeraził go. — Któż je odgrzebał? — było pierwszą jego myślą. W tej chwili przypomniał sobie, że żaden Malaj nie tknąłby ich niepogrzebanych, a cóż dopiero, aby się ośmielił wykopać je, uczciwie pogrzebane! Zatem — może leśny zwierz? Nie bardzo chciało mu się w to wierzyć. Zwierzęta leśne nie zbyt się rwą do kości, leżących przez długie lata a może nawet wieki. Niemniej, mimo, iż był głęboko przekonany, że to do niczego nie prowadzi, starannie zbadał ziemię, szukając śladów. Pokazało się, że wogóle żadnych śladów nie było. Zdawało się, jak gdyby czaszki same wyskoczyły z grobu, w którym ziemia się zapadła. A teraz leżały na górze, patrząc przez swe puste oczodoły, z nierównemi zębami sterczącemi tam, gdzie dawniej wisiały nieobecne już szczęki dolne. A gdy tak Martin przyglądał się im, jakby w paroksyźmie grozy, czaszki wciąż zdawały się c z e k a ć na coś, cierpliwie i nieubłaganie — na co, nie wiedział — ale czuł, że on to musi zrobić.

Zimny dreszcz wstrząsnął nim naraz na widok tego posępnego, ponurego zakątka. Chciał odwrócić się i uciec, jak jego pies zemknął z tego miejsca, nie miał jednak sił, aby się ruszyć z miejsca. Zdawało mu się, że nogi wrastają mu w ziemię; a kiedy tak stał tu, jak przykuty, wzrok jego ani na chwilę

nie odrywał się od trzech czaszek, bielejących w słońcu. Doznał dziwnego wrażenia, znanego dobrze ludziom, którzy przez dłuższy czas nieruchomo wpatrują się w jakiś błyszczący punkt, póki wreszcie nie zacznie im się zdawać, jak gdyby ciało opuszczało ich, zaś dusza, z której czynnej wartości nie zdawali sobie nawet sprawy, wydzierała się ze swej skorupy. Czaszki hipnotyzowały go.

Nie wiedział, jak długo tu stał i zupełnie nie pamiętał, co się z nim później działo i w jaki sposób wrócił ostatecznie na swą łódź i legł znowu na macie pod daszkiem z palmowych liści. Kiedy się zbudził, miał wrażenie, że ta jego nocna wędrówka była czemś nierzeczywistem — należącem do dramatycznych, zawikłanych i niespokojnych snów, jakie go w ostatnich czasach prześladowały. Nie chciało mu się wierzyć, że opuścił swe posłanie, póki się o tem nie przekonał, ujrzawszy, iż spał obuty. Nie wierzył też, aby czaszki — rzekomo same — wydostały się na powierzchnię ziemi — póki się znowu przed niemi na małej polance nie znalazł. Ale wówczas, mimo, iż cała puszcza dokoła niego tonęła w jasnem, błogiem świetle dziennem, serce jego zmroziła zabobonna trwoga i zimny pot okrył mu czoło.

Przygnębiony wrócił na łódź, próbując po drodze zdać sobie sprawę ze swych wrażeń, odgadnąć rzeczywistość snów. Aż do czasu, kiedy odkrył te czaszki, najwyraźniej wyrzucone przez ziemię, w której je pogrzebał, był zupełnie przytomny, to nie ulegało żadnej wątpliwości, ale po tem . . . Było tu jakieś zaćmienie umysłu, wypełnione tylko dziwne-

mi wizjami. Zdawał sobie sprawę z tego, że stał na brzegu morza — ale czy to był on? — zwrócony twarzą ku zachodzącemu słońcu, z niespokojnym i strwożonym wzrokiem, zwróconym ku Malakce. Pamiętał, że, kiedy tu tak stał, kilkakrotnie się przeżegnał, jak gdyby widział ludzi, idących do dawno niewidzianych kościołów europejskich i nawet zaczął odmawiać łacińskie modlitwy. Przypominał sobie, że aż sam się wówczas dziwił, jak gdyby we śnie, gdzie i kiedy nauczył się tych „Pater Noster“ i „Ave“, które tak łatwo spływały teraz z jego warg. Pamiętał też, że serce jego opanowała rozpacz i że cały pusty horyzont ku południowi przedstawiał mu się jakby skuty ze śpiżowych obłoków; zaś ludzie napróżno błagalnie wyciągali bezsilne ramiona, wołając do uszu, które wysłuchać nie chciały.

Przypominał sobie, że obrócił się i klnąc, jęcząc, modląc się i bluźniąc jednocześnie, powrócił ku fortowi. Kiedy go znowu ujrzał, fort wydał mu się obcy i znany zarazem — obcy jemu, Martin'owi Halliday'owi, ale znany temu „komuś“, co w niewytłumaczony sposób wszedł w posiadanie jego ciała. Fort różnił się znacznie od fortu, widzianego przed kilku godzinami, bo teraz panował w nim ruch i życie. Nowa, wysoka palisada wieńczyła jego wały; czerwone boki wałów, zrównane łopatą, pokrywała świeża darń; z komina chaty, znajdującej się w obrębie obwarowania, wzbijał się słup dymu. Znany dobrze Martin'owi Halliday'owi zakątek zmienił się nagle tak, iż był prawie nie do

poznania. Przyglądając się mu teraz Halliday z trudem musiał sobie tłumaczyć, iż jeszcze nigdy takim go nie widział — do tego stopnia wspomnienie było żywe, realne, w najdrobniejszym szczególe prawdziwe. Równocześnie jednak temu drugiemu „ja“ w Martin'ie Halliday'u ten tak dobrze znany widok wydał się szczególnie niepokojący. Halliday spostrzegł naraz, jak staje nieruchomo, zauważył, jak jego ręka podniosła się do serca, jak gdyby chcąc uspokoić jego gwałtowne bicie; a naraz doznał wrażenia, że to serce podnosi się mu do gardła, dławi, pozbawia tchu. Chwilę później jak szalony poskoczył ku furcie, wiodącej do fortu. Nie było nikogo. Zaczął wołać w jakimś obcym, nieznanym sobie a jednak zupełnie zrozumiałym języku i po pewnym czasie wreszcie słaby jęk odpowiedział na jego pełne trwogi wołanie. Ślepy z przerażenia i wściekłości rzucił się ku chacie, ale wywalone drzwi, zwisające z zawiasów, utrudniały mu ruchy. Tymczasem ściemniło się tak, że z początku nic w chacie nie widział, czuł jednak, że na ziemi coś od czasu drga, a gdy zrobiwszy krok naprzód, pochylił się, dotknął ręką czegoś, co jęknęło i poruszyło się, czegoś, co było okryte ciepłą, lepką cieczą.

Przypomniał sobie, jak zaczął szukać hubki i krzesiwa, dziwiąc się wielce samemu sobie, czemu nie sięga po zapałki — pamiętał, jak z podziwem przyglądał się temu swemu sobowtórowi, mimo nagłego drżenia rąk zręcznie używającemu niezgrabnego narzędzia. Wkrótce buchnął płomień pochodni, a blask jej oświecił Europejkę z dzieckiem — w

dziwnej sukni, szytej krojem z dawno już minionych lat — oboje na podłodze w kałuży krwi. Martin Halliday znowu przypomniał sobie najdrobniejsze nawet, okropne szczegóły tej sceny — na zawsze ogniem wypaliły mu się w duszy — i znowu porwała go ta sama furja i wściekłość. Naprzód — pamiętał to — runął na ziemię i obejmując zwłoki zamordowanej żony i dziecka, płacząc histerycznie, pieszczotliwemi słowy przyzywał kobietę do życia, napróżno usiłując się zatamować krew dziecku. Pamiętał, jak się modlił i jak bluznił, jak błagał i groził jednocześnie — wciąż w tym nieznanym języku, który mu w tej chwili był tak zrozumiały — jak leżał na ziemi bez ruchu, wyczerpany, bezsilny, niby w odrętwieniu — i jak się wreszcie zerwał z dziką żądzą zemsty.

Wybiegł z chaty i stanąwszy w świetle księżyca na podwórzu, stał przez chwilę jak nieprzytomny, nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje. A nagle podniósł obie ręce w górę z zakrzywionemi, dziko jak szpony, palcami, rzucił straszliwe przekleństwo na ten zdradliwy zakątek i ludzi, którzy się tej nikczemnej zbrodni dopuścili. Halliday'owi zdawało się, że w tym potężnym akcie woli jego sobowtóra, była straszna siła, namiętność i natężenie, wulkaniczna, niezniszczalna żywiołowość i żywotność. I stał tak ten drugi on, wstrząsając powietrzem zapomocą swych okropnych bluźnierstw, przeklinając i wzywając na to miejsce i jego mieszkańców zniszczenia i zagłady z rąk swych bliźnich i z rąk złych Potęg. A Halliday'owi zdawało się,

jak gdyby cała siła duszy tego człowieka zmieniła się w tej chwili w nową, złą, złowrogą s i ł ę, wieczną, jak każda siła, ale w tym wypadku niewyczerpaną i niezmienną. Wtem, właśnie gdy siła i natężenie klątwy doszło do szczytu, Halliday usłyszał za sobą w trawie jakiś szelest, którego jednak to drugie jego „ja" nie zauważyło. Sekunda — i coś z wielką siłą uderzyło go w głowę — ogłuszający cios, który w mgnieniu oka pozbawił go przytomności.

Tu Halliday zbudził się — i spostrzegł, że leży na własnej macie, na pokładzie swego czółna, w jasnem słonecznem świetle malajskiego poranka, zalewającego go całym przepychem swego blasku.

A mimo to Halliday nie mógł się obronić niejasnemu wrażeniu, że przecie nie wszystko było tu snem.

Nagle zaczął się na całą tę sprawę zapatrywać tak samo jak znachor, Pawang Mat Dżezin. Bardzo chętnie porzuciłby teraz plan założenia osady w Kuala Banat. Podobnie, jak znachor, był teraz pewny, iż w uroczysku tem straszy — straszy pamięć tragedji, jaka tu miała miejsce, a jaka mu w tak dziwny sposób została objawiona, straszy coś jeszcze gorszego — mianowicie wszystko przenikająca i obejmująca m o c, wydzielona przez udręczoną duszę człowieka, który tam stał w świetle księżyca, bluźniąc i rzucając klątwy. W swej chorej imaginacji wyobrażał sobie, że ten duch, wijący się w męczarniach, a pełen nienawiści i wściekłości, przeistoczył się w nieuchwytny ale potężny fluid, ciążący wiecznie nad widownią swych mąk i swej śmierci. To — myślał teraz Martin — od początku przyciągało

go tu, prawie wbrew woli, każąc mu wciąż powracać do Kuala Banat i szepcząc mu wciąż w ucho, że się tu czegoś od niego żąda. Teraz, w jasnem świetle słonecznego poranka, zadrżał naraz na myśl o tem, czego to żądał od niego ten mściwy Duch.

Napróżno starał się otrząsnąć z wątpliwości, uprzedzeń, przesądnych złych przeczuć. Jego spokój i radość zniknęły. Ogarniał go rozpaczliwy strach, jednakże żadną miarą nie mógł się już cofnąć. Projekt założenia nowej osady był urzędowo zatwierdzony, przeznaczony na to grosz publiczny wypłacony. Najstraszliwsze i najżywsze nawet sny, zakłócające mu spoczynek nocny, nie mogłyby go uniewinnić teraz w oczach prozaicznego Rządu. Choćby się miało Bóg wie co stać, musi się sprawę dalej prowadzić. Cofnąć się — niepodobieństwo.

Wobec tego Martin Halliday zacisnął zęby, postanowiwszy sobie cierpieć, jak długo będzie mógł.

Ludzie z Trengganu ukończyli budowę swych chat, zabrali się do przenoszenia swych tłumoków z łodzi na ląd. Pracowali wszyscy — mężczyźni, kobiety, dzieci — tak, że załatwili się z tem wcześnie popołudniu. Kuala Banat, prawdopodobnie po raz pierwszy od czterystu lat, został znowu zaludniony dzięki energji białego człowieka i ofiarom, których, stosownie do Praw białego człowieka, ta energja tak często się dla siebie domaga.

Dwie są w malajskich dziedzinach godziny smętku i melancholji — czas przed świtem i kiedy noc zapada. Przed świtem wszelkie stworzenie nagle milk-

nie i zastyga, jakby w bezwładnem oczekiwaniu zbliżającego się nieszczęścia. Jest to chwila, w której siły żywotne i energja słabną, skutkiem czego niejedno stworzenie, obronną ręką wyszedłszy z niebezpieczeństw nocy, rezygnuje naraz z walki i ginie przed świtem. Leżąc z otwartemi oczami w ciemnościach, niemal że słyszycie szelest przelatujących nad wami duchów, wraz z któremi pierzchną też ubogie łachmany waszej nadzieji. Jest to godzina zimnej rozpaczy i bezlitośnie dręczących złych przeczuć, najgłębszego, rwącego serca na strzępy upadku duchowego, któremu w tej chwili nie możecie przeciwstawić ani siły, ani energji, ani odwagi. Malaje dobrze o tem wiedzą, dlatego też lubią spać, póki złota zorza słoneczna nie rozprószy posępnych chmur na wschodzie. Ale w godzinie agonji dnia żaden Malaj kokietować ze snem nie będzie. Ludzie wiedzą, iż jest to pora panowania złych duchów, i że ciało, w którem dusza wówczas nie jest rozbudzona i czujna, może być niespodziewanie opanowane przez nieproszonych gości. Dzień ze wszystkiemi swemi trudami i swym upałem chyli się ku końcowi; energja w człowieku znowu słabnie, tak samo i żywotność; duch, który podtrzymywał ciało w pracy i trudzie, wątleje i staje się mdłym; chór świegolących ptaków cichnie, przenikliwy syk koników polnych umilkł, podczas gdy pracowity brzęk i cykanie owadów nocnych nie napęczniało jeszcze do zwykłej sobie dźwięcznej, monotonnej pełni. Światło umiera, barwy bledną, nawet kształty tracą stopniowo swą wyrazistość. Świat cały tonie w długich, gęstnieją-

cych cieniach, i wszystko dyszy subletną suggestją melancholji i tajemniczości.

Martin Halliday, wstrząśnięty do głębi zdarzeniami ubiegłej nocy, w śmiertelnym strachu myśląc o nadchodzącej godzinie zmierzchu — być może już zaatakowany złośliwą febrą, na którą miał umrzeć, stał na piasczystem wzgórzu, przyglądając się konaniu dnia, przygnębiony, jak nigdy jeszcze w życiu. Stary Pawang Mat Dżezin, podszedł ku niemu i stał przez chwilę w milczeniu z oczami zwróconemi ku morzu. A potem rzekł:

— *Tuanie*, masz z pewnością *grak* — przeczucie nadchodzącego nieszczęścia. Przyglądałem ci się przez cały dzień, a dokąd żeś to chodził wczoraj o północy? Słuchaj mnie *Tuanie*, opuść to przeklęte miejsce choćby w tej chwili, póki jeszcze czas. Chodź! Widzisz tam jest mój *sampan**), chodź!

— A ludzie z Trengganu? — zapytał Halliday.

— Niech ich djabli wezmą *Tuanie* — rzekł znachor — nie możemy ich wziąć ze sobą, wobec tego, że Rząd, każąc im mieszkać w tem nawiedzanem przez djabłów miejscu, mógłby się o to gniewać. Najprawdopodobniej, wszyscy ci ludzie z Trengganu, od samego początku już przeznaczeni zostali na to, aby stać się pastwą płomieni piekielnych. Jest to niewątpliwie wola Ałłacha łaskawego i miłosiernego. Niech ich djabli biorą, ale ty, *Tuanie*, chodź ze mną póki jeszcze czas.

— Idź sam, jeśli chcesz odejść — odpowiedział Halliday.

---

*) Łódź malajska.

Zupełnie już upadł na duchu i nie wiedział co odpowiedzieć znachorowi — lub też, jakiego użyć argumentu, wobec tego co dotychczas określał jako jego zabobony. Z głębi duszy pragnął oddalić się, ale wstyd mu tego było.

— Odejdź, — powtórzył.

— Póki jeszcze czas! — krzyknął nagle Pawang bez tchu, chwytając nagle ramię Martin'a z taką siłą, że aż go zabolało — patrz tam, patrz!

Wyciągnąwszy drżącą ze strachu rękę wskazał nią w kierunku dużej wyspy na południu, a Martin Halliday spojrzawszy w tę stronę, ujrzał coś, na widok czego serce w nim zamarło.

Wybiegłszy z za zakrętu i kierując się wprost na Kuala Banat, płynął statek — statek o nieprawdopodobnie wysokim tyle i środku, obwieszony wielkiemi żaglami dziwnego kształtu, nad któremi powiewały flagi. Właśnie od strony lądu zerwał się powiew, który coraz silniej zaczął dąć z północo-wschodu, mimo wszystko jednak, dziwny ten statek leciał wciąż naprzód, kierując się wprost na Kuala Banat.

— A to co? — wykrzyknął Halliday, chrapliwym i nieswoim głosem.

Pawang Mat Dżezin drżał jak liść i gorączkowo mamrotał wszystkie tytuły Ałłacha i Jego Proroka.

— Póki czas — szeptał — póki jeszcze czas. Chodź! na Ałłacha, chodź.

— Ale co to za statek? — pytał ze zdziwieniem Martin Halliday — chyba to jakaś dżonka.

Ale mówiąc to, zdawał sobie doskonale sprawę

z tego, że nigdy z Chin nie mogła wypłynąć dżonka takich kształtów, ani z takiemi żaglami jak ta; że nigdy dżonka, ani żaglowiec, zbudowany przez człowieka, nie mógłby płynąć wprost przeciw wiatrowi tak, jak ten statek płynął. Zauważył jego wieżę na przodzie i na tyle statku, jego ciężkie bastjony, jego wysokie maszty, dźwigające wielkie, wzdęte żagle i odrazu domyślił się, co ma przed sobą — statek, który dla niego żył już tylko na kartach starych ksiąg — galleon, z XV wieku. Czy był to znowu sen, jak poprzedniej nocy?

Pawang Mat Dżezin puścił jego ramię i cofnął się.

— Jest to statek djabłów, — rzekł ochrypłym szeptem — dżonka, jakiej, według tego, co ludzie mówią, używają tylko szatani. Jeśli ze mną *Tuanie* nie pójdziesz, muszę cię opuścić. Nie ludziom potykać się z demonami.

Wyjął z pochwy swój sundang*) i nagle tempym jego końcem zakreślił dokoła Halliday'a jakąś figurę.

— Uważaj, — mówił, — pokazując mu ten prymitywny rysunek — zakreśliłem tu Sanggul Patimah, którego nie wolno przekroczyć żadnemu złemu duchowi. Może to posłuży ci jako *kubu* — koło zaczarowane — w godzinie twego niebezpieczeństwa. Co do mnie — uciekam. Kiedy człowiek nie może walczyć, najlepsza rzecz, jaką może zrobić, jest umknąć.

Pobiegłszy ku brzegowi, zepchnął swój *sampan*

*) Krótki, zakrzywiony nóż.

na wodę i znalazłszy się w nim, zaczął długiemi, szybkiemi uderzeniami wioseł gnać go na północ, w kierunku gęstniejących ciemności. Martin stał patrząc za nim, póki mu nie zniknął w zapadającym zmroku. A kiedy się od niego odwrócił, tuż przed zapadnięciem nocy, nad wszelki wyraz samotny, ujrzał niewyraźną sylwetę galleonu, lecącego wciąż naprzód, bez względu, na wzrastający wciąż powiew od lądu. W ciszy rozlegało się tylko posępne wycie jego psa.

Zakończenie historji usłyszałem od Richarda Malkolma, z Departamentu Trygonometrycznego, który przypadkowo, właśnie na drugi dzień rano, zawinął w czółnie rządowem do Kuala Banat.

— Chce pan, abym panu opisał, co znalazłem, przybywszy do śmiertelnej pułapki, w którą wpadł biedny Halliday — pisał — jest to wrażenie, którego nigdy nie zapomnę, i którego bez konieczności nigdy na myśl przywodzić sobie nie będę. Ale rzecz miała się jak następuje. Wpłynęliśmy do Kuana Banat na *Enie,* mniej więcej w południe, i na pierwszy rzut oka, nie znaleźliśmy nic nadzwyczajnego. Inna rzecz, że całe wybrzeże usiane było ludźmi, pogrążonymi najwidoczniej we śnie — i to w największy upał — co wyglądało trochę nienaturalnie, zwłaszcza, że stała tu cała osada nowych chat, czekających tylko, aby je zajęto. Posępną, tajemniczą ciszę, przerywało powoli żałosne wycie psa, a moi Malaje zaczęli z trwogą spoglądać po sobie, opowiadając mi szeptem takie rzeczy, że aż mi włosy na głowie stanęły. Jak pan wie, nigdy nie mogłem

się dobrze nauczyć ich języka, ale w krótkim czasie zrozumiałem, że ludzie, których mieliśmy przed sobą, nie spali, ale nie żyli już. Nie zdoła pan sobie wyobrazić, jaki bigos znaleźliśmy na brzegu.

Wszystko — mężczyźni, kobiety, dzieci — leżało twarzami w piasku, z szeroko rozrzuconymi ramionami, jak gdyby zginęli, uciekając na łeb, na szyję. Wrażenie to potwierdzał jeszcze wyraz ich twarzy. Oczy były potwornie wytrzeszczone, usta otwarte, jakgdyby w okropnym krzyku, wyjawszy parę wypadków, gdzie zęby były zcięte jak szrubsztak. „Pietra miałem", przyglądając się tym twarzom, bo wiele wśród nich było wcieleniem Strachu.

Wykopaliśmy wielki dół i pochowaliśmy tę publikę, mimo, że z trudem tylko mogłem namówić swych Malajów, aby trupów dotknęli, a dopiero na samym końcu znaleźliśmy biednego Halliday'a. Leżał jak i inni, z twarzą zwróconą ku ziemi, z wyciągniętymi ramionami, w obrębie jakiegoś koła, czy innej bzdury, którą ktoś nakreślił na piasku. Przy nim, z mordą podniesioną do nieba, siedział jego pies, wyjąc w niebogłosy. Halliday, jedyny wyszedł z tego z życiem, ale jak warjat z mokrą głową — czemu się nie można dziwić, zważywszy, że leżał na brzegu długie godziny, podczas gdy słońce prało go w łeb ze wszystkich sił. Rozumie się, ani gadania nie było o jakimś doktorze, który by mógł stwierdzić przyczynę śmierci tej całej publiki, — najbliższy lekarz znajdował się w odległości co najmniej stu mil. Ja jednak wciąż myślę, że cały ten obóz musiał nagle wydusić jakiś śmiertelny mia-

zmat. Inaczej nie wiedziałbym, czemu to przypisać: bo, że to nie była cholera, rzecz pewna, a o jakiemś zatruciu, ani mowy. Nie wiem, czy są tu jakieś znane wiedzy wyziewy, któreby uzasadniały moją teorję. Cokolwiek by było, mam wrażenie, że w dżungli jest mnóstwo rzeczy, o których nawet nasi uczeni bardzo mało wiedzą. Byłem zawsze tego zdania, że próby kolonizacji Kuala Banat są niedorzeczne. Zauważyłem, że mieszkańcy tego wybrzeża, uważali tę miejscowość jako niesłychanie niezdrową i za żadną cenę nie chcieli z nią mieć nic do czynienia: krajowcy zaś — tak mi się zawsze zdawało, są w tych sprawach zwykle znacznie lepiej poinformowani od nas.

Z tem zdaniem ja najzupełniej się zgadzam.

Przeznaczenie Mat Arifa

Oto opowieść Mat Arifa, zbrodniarza, którą osobiście opowiedział mi w przeddzień swej śmierci. Siedziałem razem z nim w jego celi, przeznaczonej dla skazańców, ponieważ przyszedłem pocieszyć go, przynosząc mu tytuń i betel do żucia, za czem jego dusza tęskniła; a ponieważ on stosownie do swej wschodniej filozofji nie miał żalu do ludzi, którzy skazali go na śmierć, był tak łaskaw, że poprosił mnie, abym podzielił z nim te rozkosze, i parę godzin mu towarzyszył. Mała, bardzo skromnie urządzona cela, z zakratowanem oknem, znajdującem się wysoko pod powałą, była bardzo cicha — tak cicha, że istotnie miało się tu wrażenie, że się jest izolowanym od całego społeczeństwa. Spokojny sposób mówienia zbrodniarza, siedzącego sobie, palącego i żującego betel, bez najmniejszego zdenerwowania a z jawnem zadowoleniem, wzmacniało jeszcze to wrażenie. Jak na Malaja, był wielkim, krzepkim chłopem, zgrabnym i pięknie zbudowanym. Jego twarda i wyrazista twarz miała głęboko rzeźbione, subtelne rysy; w jego lśniących i pełnych życia oczach, przejawiała się ta wytrwała, opanowana cierpliwość, tak charakterystyczna dla

Azjatów w godzinach przeciwności; były to oczy człowieka, który bardzo mężnie patrzył w twarz nieuniknionej śmierci, bez trwogi, bez ciekawości, a nawet bez jakiejś większej skruchy. Dla mnie było w nim coś tajemniczego, strasznego a pociągającego zarazem, albowiem, choć tak pełen sił i życia, siedział przecie nad grobem i wiedział o tem. Mimowoli wyobraźnia kreśliła mi okropne obrazy wszystkich jego przejść, czekających go, przed upływem dwunastu godzin. Widziałem w duchu, jak go wyprowadzano, jak mu zawiązywano oczy, krępowano ręce, widziałem, jak kat zarzucał mu stryczek na szyję i jak towarzysz mój zawisa wyciągnięty jak drut . . . fuj! Mimo, że starałem się nie myśleć o tem, nie mogłem oderwać oczu od tego potwornego widoku i nawet w tej chwili, kiedy Mat Arif rozmawiał jeszcze ze mną, myśl o tem wszystkiem wciąż unosiła się pomiędzy mną a jego żywą twarzą.

— Wszystko to podobne jest do gry w szachy — w której ja dostałem mata. Dobra to była gra i dobrze grana i pomimo, że się skończyła a ja przegrałem, miałem swój udział w grze. I nietylko w grze, ale także i w zysku, bo białym zabrałem niejedną figurę i to nie same pionki.

Tak, *Tuanie*, niema już dziś co taić i kłamać — choć co się tyczy kłamstw, to, szczerze mówiąc, mój obrońca ma ich zapas niemały. Kłamał zręcznie i z wielką znajomością rzeczy, ale sędzia jest mądrym człowiekiem, który ani odrobinę nie uwierzył w brednie, jakie obrońca opowiadał. Co się mnie tyczy, to przyglądałem się tej walce, jak ktoś przy-

glądający się walce dwóch szermierzy; gra była piękna, ja jednak ani chwili nie wątpiłem o wyniku. Tuanie, ja miałem *grak* — przeczucie, że godzina moja wybiła i wiedziałem, że nic, ani nawet sam sędzia, nie ma siły, aby mnie ocalić. I prawdę mówiąc, cały proces nie miał sensu, bo niema na świecie człowieka, któryby mógł wstrzymać swój los lub zmienić go; jednakże wszystko odbyło się przyzwoicie, z odpowiednią godnością i stosownie do starodawnych zwyczajów, co mi się podobało; albowiem prawdą jest, jak twierdzi przysłowie, że lepiej by już było raczej, aby wyginęły nasze dzieci, niż raz zaprowadzone zwyczaje.

Mówisz, że proces był potrzebny dla uczynienia zadość sprawiedliwości? Niewątpliwie, Tuanie, któż by o tym wątpił: ale czemże jest sprawiedliwość, skoro wszystko z góry już ułożone zostało przez Los? Biali są bardzo mądrzy i potężni, nie są jednakże niczem innem, jak tylko palcami Ałłacha, skutkiem czego postępują wcale nie według własnej swojej woli, ale tak, jak Ałłach im każe. Mówisz — sprawiedliwość? Sprawiedliwość, ba, ale i niesprawiedliwość są dziełem losu! Tak biali jak i brunatni nie są niczem innem, jak tylko narzędziami losu. A los, którego zmienić nie można, w oznaczonej godzinie płaci wszystkie rachunki, wyrównuje spory i doprowadza wszystko do porządku, bez względu na to, co tam sobie myślą i robią jego narzędzia. Ludziom zdaje się, że to biali skazali mnie na śmierć — ale Tuanie, to nie prawda. Na śmierć skazał mnie los, którego żaden człowiek uniknąć nie może,

dlatego ja nie mam najmniejszego żalu ani do ciebie, ani twych współbraci, którzy potępiając mnie, wykonali tylko jego straszną wolę.

I nie pragnąłbym bynajmniej, aby los urządził to inaczej, albowiem, mimo, że śmierć jest straszna, nie jest niczem innem, jak tylko zapłatą, jaką płacimy za życie, a ja dziś, kiedy godzina moja wybiła, nie odmawiam bynajmniej zapłaty za to, co w życiu miałem, przeciwnie, próbując się wykręcić od tej zapłaty, przeczyłbym wartości wszystkiego, czem życie mnie obdarzyło.

We wsi Kota Tempan, Tuanie, ujrzałem po raz pierwszy Ją — Alang, dziewczę, które Los przeznaczył mi od samego początku. Znalazłem się tam, przeszedłszy przez granicę — aby upomnieć się o dług, zaciągnięty u mego ojca, a ludzie, u których zamieszkałem, wyprawiali właśnie wesele. Spowodowało to wielki zjazd całej okolicy, zaś ja, mężnie wszedłem na arenę zapasów, tak, że wiele kobiet strzelało do mnie po drodze oczami. Przecisnąłem się przez tłum, kołysząc się z lekka w ramionach, z *krisem* u pasa i z dzidą w ręce — a mężczyźni zachowywali się wobec mnie z szacunkiem, bo sława moja nauczyła ich czcić mnie, ja zaś wiedziałem, że kobiety ich poszłyby za mną, jak psy za swoim panem, gdybym tylko raczył skinąć na nie. Jak się jest młodym, bardzo miło mieć w sercu świadomość, że się jest lepszym od wszystkich ludzi, których Ałłach stworzył, i że może się z miną zdobywcy patrzeć na wszystkie kobiety i panny, będąc pewnym ich miłości, podczas gdy w sercach mężczyzn

jest tylko nienawiść i zazdrość. Zuchwale zachowywałem się w owych czasach, a mężczyźni byli w mem towarzystwie wówczas skrępowani, zaś kobiety śmiałe. Jednakże, mimo, iż okazywałem względy do tej, to owej gąsce, godzina moja jeszcze nie wybiła, a polowanie i walka miały dla mnie znacznie więcej uroku, niż wszystkie wdzięki kobiet.

Jednakże na tej uczcie weselnej, kiedy nadeszła chwila *sanding*, w której, jak to sam wiesz, Tuanie, młodą parę, świetnie odzianą, wyprowadza się, kazawszy jej przez chwilę siedzieć bez ruchu na tronie przed wszystkimi zebranymi, ja podniosłem swój wzrok i ujrzałem Ją.

Była niby kwiat, bardzo delikatna i drobna, zaś włosy miała czarne jak noc, a tak namaszczone olejem, iż wprost świeciły. Blask jej twarzyczki, podobny do księżyca w pełni, był tak silny, iż oślepił mnie. Zatrzymałem oddech, a wątroba moja rozpaliła się naraz tak, że aż mnie zaczęła boleć. Kiedy ścisnąłem pięści, paznokcie wbiły mi się w żywe ciało, bo cała dusza moja wzdrygała się na myśl, że dano ją za żonę niedołędze, który siedział przy niej zmieszany. Nie zdradzając się jednakże z tem wszystkiem, roześmiałem się tylko głośno, czyniąc uwagę bardzo pieprzną i zuchwałą, tak, że dziewczę na tronie drgnęło naraz i przez krótką chwilę — jedno okamgnienie, wzrok jej spoczął na mej twarzy. Miałem wrażenie, że ogarnęła ją nagle wielka trwoga, że zadrżała ze strachu; i istotnie widziałem, jak pierś jej zaczęła falować pod brzemieniem okrywających ją złotych haftów. Byłem

zadowolony, bo teraz już wiedziałem z całą pewnością, że mnie zauważyła — a w owych dniach dziewczyna, jeśli tylko na mnie spojrzała, z pewnością gotowa była oddać mi swe serce.

Później, kiedy już odebrałem swój dług wraz z procentem należnym mi za trud, przebywałem jakiś czas w jej wsi, starając się wszelkiemi sposobami zdobyć względy człowieka, który Alang poślubił. Nienawidziłem go z głębi duszy, ponieważ on posiadał tę, której ja pożądałem — dziewczę, przeznaczone mi przez Los; kryłem to jednak chytrze w sobie, co jednak było łatwe, bo był to człowiek głupi. W krótkim czasie zaczął mnie darzyć swą przyjaźnią, wyrażając się, że jesteśmy nierozłączni jak dwa palce, co mnie drażniło. Później, kiedy już pozyskałem całe jego zaufanie, zacząłem go namawiać, aby wraz z żoną udał się zagranicę, do mego kraju, on zaś, ponieważ ufał mi najzupełniej, zgodził się bardzo chętnie, zwłaszcza, że mu obiecałem, iż w mojej wsi będzie mógł żyć bardzo szczęśliwie.

Tak tedy pewnego dnia puściliśmy się w drogę, maszerując przez puszczę wąską ścieżką, prowadzącą przez zarośla. Było nas czworo; ów Kulop, Alang, jego żona, i pies z plemienia Sakai — dziki człowiek z dżungli, który niósł na plecach moje rzeczy. Szliśmy przez cały dzień, a serce moje było pełne radości, ponieważ teraz wiedziałem już, że Alang była mi losem przeznaczona. Po południu, właśnie w czasie kiedy krowy idą do poju, znaleźliśmy się w samem sercu puszczy, gdzie mały

strumyczek sączył się z podnóża piasczystego wzgórka i tu rozbiliśmy obóz. Kulop, ja i Sakai, Pápa-Tiu nacięliśmy palmowych gałęzi i zbudowaliśmy trzy szałasy, jeden dla Alang i jej męża, drugi dla mnie, a trzeci, ustawiony dobrze pod wiatrem, dla tego psa z plemienia Sakai, zaś Kulop, głupiec skończony, dziękował mi jeszcze za troskliwość, z jaką ja budowałem dla niego szałas, który, jak sobie to wyobrażał, miał służyć za schronienie jemu i jego żonie.

Ja istotnie miałem zamiar zaczekać z zabiciem Kulopa, póki byśmy nie przeszli granicy i nie znaleźli się w mojej ojczyźnie, gdzie prawa białego człowieka nie obowiązują. Niestety, w młodości jest się porywczym, i kiedy ja przyglądałem się Alang, tak ładnej i miłej, zajętej gotowaniem, przyszło mi nagle na myśl, że byłoby niedorzecznością, gdybym pozwolił, aby ona w dalszym ciągu, była wciąż jeszcze zabawką tego błazna, jej męża. Kiedy jedliśmy razem ryż, podrażniło mnie też jego głupie gadanie, bo mówił wciąż o swojej miłości dla mnie, o wielkich rzeczach, jakich dokażemy w mojej wsi, i różnych bzdurach, które wyraźnie świadczyły, iż zupełnie nie rozumie swego położenia, wobec tego nagle wstałem, porwałem za dzidę i zacząłem go dźgać. Prócz tego głośno wzywałem to bydlę z plemienia Sakai, aby mi pomógł, on zaś, który mnie miał w wielkim szacunku, przybiegł z grubą pałką i rozbił Kulopowi łeb, tak, że członki jego zaczęły zwolna sztywnieć i po chwili przestały się poruszać. Wtedy zanieśliśmy go do szałasu, przeznaczonego dla mnie, a ja pośpieszyłem pocieszyć Alang,

ponieważ ona, jako kobieta, musiała oczywiście płakać i narzekać. Wkrótce jednak, i to bardzo prędko, otarłem jej łzy i wytłumaczyłem, że powinna mi być raczej wdzięczna za to, iż uwolniłem ją od głupca, a na jego miejsce dałem jej dobrego męża. *Ałłach! Ałłach! Ałłach!* Niejeden raz od tej nocy, leżąc w mojem objęciu, powtarzała mi historję swej miłości, i byłbym nikczemnikiem i człowiekiem bez najmniejszej godności, gdybym teraz szemrał przeciw temu, czego los domaga się ode mnie w nagrodę za to, co mi dał.

Wróciwszy do rodzinnej wsi, pojąłem Alang za żonę, drażniło mnie jednak wciąż, co krewni Kulopa mogą o mnie mówić, wobec czego postanowiłem wrócić do jego wsi i nauczyć tych tam ludzi moresu, aby sobie zbyt wiele nie pozwalali. Wziąłem ze sobą Alang, chcąc pokazać jej rodzinie, że ją uszczęśliwiłem i nie uczyniłem jej żadnej krzywdy, zabijając jej męża.

Kiedy znowu stanąłem w jej wsi, trochę chełpliwie dając do poznania, iż się niczego nie boję, w pierwszej chwili mężczyźni, kobiety, a nawet małe dzieci zaczęły na mój widok biegać nieprzytomnie tam i sam, niby kurczęta, opuszczone przez kurę. Ale ja uspokoiłem ich, przemówiłem do nich grzecznie, tak, że znów odzyskali odwagę i zaczęli mnie witać, przepraszając za brednie, które w głupocie swojej opowiadali o mnie i mojem postępowaniu. Byli to jednak bardzo podstępni ludzie, ponieważ nic mi o tem nie mówiąc, dali znać o moim pobycie najbliższemu posterunkowi policji, skutkiem

czego pewnego pięknego popołudnia, kiedy właśnie grałem w piłkę z najtęższymi chłopcami wsi, naraz otoczyli mnie i pochwycili mocni i bezwzględni policjanci z plemienia Sikchów, którym ja, bezbronny, nie mogłem stawić należytego oporu. Sikchowie skrępowali mi ręce, zaś cała ludność wsi, tak uniżona i grzeczna, dopóki byłem wolny, zaczęła w niesłychany sposób kpić ze mnie, widząc mnie w kajdanach. Mimo wszystko, ja nie czułem wcale *grak* — nie czułem, aby mi groziło niebezpieczeństwo, — wobec czego byłem pewny, że ucieknę.

Na drugi dzień rano Sikchowie wsadzili mnie wraz z żoną do łodzi i ruszyli w dół rzeki Perak, do Kuala Kangsar, gdzie już znajdują się biali. Siedziałem w tyle łodzi w kajdanach. Otóż, jak to dobrze sam wiesz, Tuanie, rzeka ta pełna jest prądów i zaraz na samym początku łódź nasza omal nie poszła na dno, z powodu niezręczności sternika. Wtedy ja zacząłem protestować, twierdząc, że skuty niewątpliwie utonę, jeśli się łódź przewróci i oświadczyłem tym, którzy nas wieźli, że sternik nas wszystkich niewątpliwie utopi. Wobec tego kapral Sikchów zdjął mi z rąk kajdany i kazał mi usiąść przy sterze, albowiem wszyscy ludzie z załogi, bojąc się nieszczęśliwego wypadku, oświadczyli, że jestem bardzo zręczny w przeprowadzeniu łodzi przez prądy — w czem istotnie nie kłamali. *Ałłach* jest bardzo dobry i On to zaślepił wszystkich Sikchów, ponieważ oni modlą się do krowy, żują tytoń i noszą długie włosy, jak kobiety, skutkiem czego zdjęli mi z rąk kajdany.

Dałem znak Alang, aby bacznie zwracała na mnie uwagę, a kiedyśmy dotarli do wielkiego progu, przewróciłem łódź i chwyciwszy Alang, a prócz tego karabin, należący do jednego z Sikchów, popłynąłem ku brzegowi. Na brzegu stałem przez dłuższy czas, przyglądając się Sikchom, mocującym się z falami, wciąganymi na dno przez ich ciężkie ubrania, i z długiemi włosami, pływającemi po powierzchni wody. Widok ten ubawił mnie nadzwyczajnie, i nie jedno mocne słówko im rzuciłem, zanim wreszcie skierowałem się w stronę puszczy, gdzie już byłem wolny od pogoni. A wówczas, mając Alang u swego boku, przekroczyłem granicę i wróciłem do swego własnego kraju, zatrzymując się po drodze tylko na chwilę, aby spalić wieś, która śmiała mnie obrazić, poczem przez długie lata mieszkałem sobie w swoim kraju, kochany i czczony przez wszystkich. Od czasu do czasu, kiedy mi przyszła fantazja, zapuszczałem się w terytorjum Peraku, ponieważ ludzie tam zaczynali się bogacić pod panowaniem białych, a ja pragnąłem dzielić się z nimi ich bogactwem; jednakże nigdy nikogo nie skrzywdziłem, o ile w szaleństwie swem i swej głupocie nie stawiał mi oporu, kiedy chciałem posiąść jego majątek. Tak tedy lata mijały wesoło, zaś Alang kochała mnie i obdarzyła mnie synami, czteroma czy pięciu, jedną czy drugą córką o oczach, podobnych do jej oczu. Ja, Tuanie, z losem się nie procesuję, bo on mi krzywdy żadnej nie zrobił. Alang przez tyle lat była moją, — moją, moją, moją, — i tego mnie nikt nie pozbawi — a teraz, kiedy to wszystko się skończyło — pra-

gnę jak najprędzej umrzeć. Ileż to godzin brakuje jeszcze do świtu, Tuanie? — bo o świcie czas na mnie.

I o świcie poszedł, patrząc swej śmierci w oczy, z tym samym spokojem i zimną obojętnością, z jaką pozbawiał życia tych, którzy mu stawali na drodze do spełnienia jego życzeń. Aż nadto zadowolony sam z siebie i ze słuszności swego postępowania, bez najmniejszej wątpliwości co do oczekującego go po śmierci zbawienia, i absolutnie pewny, że każdy zarzut, jaki by mu można postawić, — może zrzucić na szerokie barki losu, którego nic zmienić nie zdoła.

Mir Maluk Sipaj

— Łotr do szpiku kości — orzekliśmy; i niewątpliwie fakty potwierdzały ten bezlitosny wyrok. Słabość podatnego narzędzia; podłość skrytobójczego gada; tchórzostwo, okrucieństwo, idjotyzm, niezdarność; beznadziejny brak nerwów w krytycznej chwili, świadczący o tem, że cały zamach ułożyły inne, szersze mózgi; brutalność pełnego zimnej krwi mordercy, wobec ofiary najzupełniej bezbronnej — wszystko to, a i więcej jeszcze łączyło się tu. Czegoż więcej potrzeba dla wydania wyroku?

— Łotr do szpiku kości! — orzekliśmy — pewni słuszności wyroku, wydanego na to bydlę ludzkie. Tu wreszcie przyłapaliśmy na gorącym uczynku prawdę, której istnieniu nawet przeczą niektórzy psychologowie, a mianowicie — człowieka zupełnie złego.

Wysłuchajcie jednak całej historji i niechaj czytelnik sam osądzi nas, którzyśmy go potępili, i tego Łotra, na którego głowę wylaliśmy dzbany naszego najbardziej gorzkiego potępienia.

Długa, niska sala w koszarach, o ścianach z desek i słomianej strzesze, na zwykłych drewnianych słupach, pogrążyła się w ciężkiem milczeniu, co zdarzało się tylko bardzo już późną nocą. Ciasne przej-

ście, które dzieliło ją na dwie części, było puste, zaś w łóżkach, wybiegających ku niemu z pod ścian, leżeli ich właściciele. Z sufitu zwisała lampa, której światło z trudem przebijało się przez zakopcone szkiełko. Z trudnością można było w zmierzchu rozróżnić kształty śpiących, pendżabskich żołnierzy — niektórzy byli poprostu bezkształtnemi przedmiotami, wciśniętemi w koce ciemno-czerwonego koloru; inni leżeli na wznak, szeroko rozrzuciwszy członki, z ustami otwartemi ponad czarnemi brodami; jeszcze inni ze szczękami podwiązanemi chustkami, jak to się robi ze zwłokami, czekającemi na pogrzeb; ci znów skuleni i skurczeni jak psy; inni na brzuchach, z twarzami ukrytemi w zgiętych ramionach „śpiąc jak po djable". Od czasu do czasu ciszę przerywało lekkie chrapanie lub też niewyraźne mamrotanie przez sen; pozatem jednak cisza, która zdawała się być jakby gęstą, gorącą atmosferą wypełniała salę, ciężkiem swem brzemieniem.

Nagle cień jakiś pojawił się pod lampą, której płomień zmalał do wielkości iskry, poczem zadrgał, podskoczył i zgasł. Bezpośrednio potem rozległ się strzał, brutalny, nagły, wdzierający się swym hukiem w sny około setki ludzi i ginący w warczącym echu, zanim śpiący zdołali odzyskać przytomność. Zerwał się szmer, dziwny w porównaniu z brutalnym hukiem, jaki go poprzedził — szelest przeciągających się członków, zastygających powoli w swych ostatnich ruchach. Słychać było też tupot bosych nóg na podłodze. A potem naraz sala koszarowa zbudziła się z opętanym wrzaskiem. Tak

Sikchowie jak i Mahometanie pendżabscy, — a w sali tej ulokowani byli ludzie obu tych ras, — obdarzeni są nadzwyczajnym genjuszem do wyrabiania hałasów. Wielkie, ociężałe, brodate draby — co do których z całą pewnością można było przypuszczać, że mają gruby, niski bas wojownika, ludzie czynu a nie myśliciele, powinni by byli być ludźmi małomównymi. A tymczasem Bóg dał im głosy kłótliwe i piskliwe, głosy falsetowe, wrzeszczące i piszczące fałszywie, gadatliwość całego tłumu przekupek, i tony niemożliwe do modulowania. Sala była teraz istną wieżą Babel wrzasków; ludzie zrzucając z siebie koce, zbijali się w piszczącą, wrzeszczącą gromadę, jedni, starając się utrzymać w odpowiedniem oddaleniu od leżącej na łóżku Rzeczy, która była pułkowym sierżantem sztabowym, drudzy zaś od leżącego na ziemi karabinu, który pozbawił go bujnego życia. A wówczas trębacz zagrał Zbiórkę i ludzie, idąc za instynktem posłuszeństwa, uszykowali się na ciasnym placu parady, w spokojnem, czystem świetle borneańskiego księżyca.

Kiedy tak stali na urwistym brzegu, wody zatoki Sandakanu leżały pod nimi, lśniąc jak stalowa tarcza, tu i ówdzie tylko upstrzone łatkami cieniów, któremi były stojące na kotwicy statki i dżonki; po prawej ręce, wciąż jeszcze pod nimi, dzielnica krajowców mrugała do nich sennie krwawemi oczami z gromady domów bezkształtnych w półcieniu; za nimi, na wzgórzach, porosłych zaroślami, spokojnie płynęły światła w bungalowach, dzielnicy europejskiej. Twarze żołnierzy były blade

w świetle księżyca, oczy lśniły podnieceniem i trwogą. Subadar*) w bieliźnie, z kudłatą brodą, naciągniętą powyżej uszu i przewiązaną płócienną opaską, przechadzał się tam i nazad przed szeregami, odczytując listę. Słysząc wywoływane nazwiska, ludzie ogłaszali się głosami dzwoniącemi w uszach — głosami nienaturalnemi, drżącemi, fałszywemi i nieopanowanemi. Nie brakowało nikogo.

— O Narain Singh! — zawołał Subadar, — leć na główną wartę i każ ludziom stanąć pod bronią.

Sikch w rozwianych białych szatach wybiegł z szeregu i szybkim pędem puścił się na dół, za wzgórza, ku miastu. Od szeregu milczących ludzi oderwał się drugi jakiś kształt i utonął w cieniu za nim.

— Kto to? — krzyknął Subadar ostro — wróć! Jeden wystarczy.

Nie było odpowiedzi. A tylko w oddali słychać było tupot bosych stóp Narain Singha i pędzącego wraz z nim towarzysza.

Kiedy Narain Singh usłyszawszy, że ktoś go dogania, zwolnił nieco biegu, nieznajomy wpadł na niego tak, że omal go nie przewrócił. Narain Singh rypnąwszy go łbem w łopatkę i zakląwszy z całego serca, poznał Mir Maluka, młodego Mahometanina, ze swego oddziału. Twarz jego nowego towarzysza — śmiała, ładna, o wyrazistych rysach, jak wiele twarzy jego rasy — była popielata, z roziskrzonemi oczami, z szeroko otwartemi, okropnie dyszącemi ustami.

*) Kapitan, dowódca kompanji, krajowiec, nie Anglik.

— Lećmy! — mówił prawie bez tchu, — lećmy, lećmy, lećmy!

— Zatem leć, bracie — odpowiedział Narain Singh, biegnąc jednak wytrwale i nie pozwalając towarzyszowi ani się wyprzedzić, ani pozostać w tyle.

Zamordowany sierżant sztabowy był Mahometaninem i Narain Singh wiedział, że, gdyby istniało przeciw niemu jakieś sprzysiężenie między Sikchami, tajemnica ściśle zachowywana, byłaby jednak znana powszechnie. Wiele bardzo plemion indyjskich oznacza się wybitnym talentem w tego rodzaju intrygach, i najniebezpieczniejsze nawet zamierzenia mogą być powierzone połowie mieszkańców bez obawy zdrady. Narain Singh przyszedł do przekonania, że gdyby tego rodzaju zamach planowany był przez jego rodaków, to on z pewnością musiałby o tem coś wiedzieć, jako że, pochlebiał sobie, był człowiekiem wybitnym i godnym zaufania; z tego wynikało, że sierżant sztabowy został sprzątnięty nie przez Sikchów, ale przez współwyznawców Mir Maluka. A trzeba wiedzieć, że jedyną radością i zabawą oddziału, składającego się ze Sikchów i Mahometan, jest wzajemne robienie sobie na złość, z którego to powodu Narain Singh, zasadniczo nie mający nic a nic przeciwko skrytobójstwu, biegł chytrze, ani na chwilę nie spuszczając oka z Mir Maluka.

Biegli obaj przez pusty rynek a wałęsające się psy miejskie, warcząc i szczekając, następowały im na pięty. Z domów po lewej ręce doleciały ich odgłosy zaniepokojenia i niechętne gdakanie przedwcześnie zbudzonego drobiu. Kiedy tak biegli wciąż

naprzód, błysnęły przed nimi w odległości jakich stu sążni światła warty głównej, bawiące się w ciuciubabkę za pniami palm. Kiedy się już zbliżali do odwachu, Mir Maluk nie wytrzymał i runął w wysoką trawę, którą ścieżka była obramowana. Narain Singh zatrzymał się w pół skoku i rzucił się na niego jak ryś. Młody Mahometanin pośpiesznie tarł swe dłonie o szorstkie źdźbła trawy *lalang*, podczas gdy jego oczy rzucały do koła siebie szybkie, trwożne spojrzenia.

— Zawalałem sobie ręce, wyskakując w pośpiechu na podwórze — mówił zadyszany, kiedy Narain Singh szorstko złapał go za ramię; wstali obaj i pobiegli dalej.

Na odwachu Narain Singh złożył raport sierżantowi.

— A ten tu biegł ze mną nieproszony, o Sergeant — dżi! — dodał.

Sierżant posępnie zwrócił się do Mir Maluka.

— Dlaczego opuściłeś szeregi — zapytał surowo.

— Taki był rozkaz — mówił zdyszany żołnierz, znużony długim biegiem — rozkaz Subodar Sahiba.

Było to drugie jego kłamstwo, a trzecie fałszywe pociągnięcie w przeciągu jednej godziny.

Przed świtem już znalazł się w ciemnicy, bezpiecznie ukryty przed oczami współczujących Mahometan i broniony przez wartę Sikchów, którzy, stosownie do prawa dziedzicznej nienawiści do jego ludu, dokuczali mu niemiłosiernie, wskazując na kajdany na jego przegubach i pozdrawiając go, jako nowego współwyznawcę, jako że więzy żelazne, choć

poniekąd różne, są charakterystycznem znamieniem kasty Lwa. Tuż niektórzy wpływowi, a obecnie nadzwyczaj zdenerwowani Mahometanie zasiedli do tajnej narady, wymyślając Mir Maluka od haniebnych partaczów i jadowicie dysputując, kto ma ponieść odpowiedzialność za skandaliczny wybór takiego głupiego narzędzia.

Aż do tego punktu, cały ten wypadek, choć niezbyt piękny, był wcale pospolity. Żołnierze wojsk nieregularnych, w tej części świata, mają brzydki zwyczaj zbyt hojnego szafowania swymi oficerami — rodakami. Kiedy człowiek hamuje postęp w awansie przez zbyt długie życie, kiedy przestrzega surowo dyscypliny, kiedy nie pozwala przekraczać przepisów, ma faworytów, lub też prześladuje jakąś ofermę, mającą krewnych w gronie oficerów wpływowych, naraża się niewątpliwie na śmierć gwałtowną. A oficerowie krajowcy popełniają zwykle przynajmniej jeden z wyliczonych powyżej grzechów, cóż tedy dziwnego, że zwykle nie żyją zbyt długo? Jeżeli jednak takie morderstwo się uda, a zbrodniarz uniknie kary, zrywa się istna epidemja zamachów; a wówczas biali ludzie, czuwający nad oddziałem, aż chudną z bezustannej troski, a twarze ich pokrywają się przedwczesnemi zmarszczkami, spowodowanemi przez bezustanną czujność i nieustającą podejrzliwość.

Po śmierci sierżanta sztabowego nastąpił miesiąc spisków i intryg. Ci, którzy chcieli uratować mu życie, zjednywali sobie fałszywych świadków, terroryzując nielicznych — zresztą bardzo nielicznych

— którzy chcieli dać świadectwo prawdzie; usiłując dowiedzieć się nazwisk przyszłych sędziów i zdobyć klucze do ich sumień, i wogóle starając się wszelkiemi, znanemi mieszkańcom Indji, sposobami i środkami, w ostatecznym razie uczynić sprawiedliwość angielską, pośmiewiskiem wschodu.

Jednakże, co się tyczy samego Mir Maluka, to śledztwo nie napotykało tu na żadne trudności. Prawda, Mir Maluk uparcie wszystkiemu przeczył; prawda, karabin, z którego zastrzelono sierżanta, należał do Sikcha; prawda, nabój ukradziono z ładownicy absolutnie niewinnego człowieka; ale człowiek, któremu kazano zamordować, okazał się nadzwyczajnie niezręcznym, i wszystkie wskazówki najprzebieglejszych głów poszły tu na marne. W samej krytycznej chwili — jak tylko padł strzał, stracił panowanie nad sobą. Zabrakło mu przytomności umysłu, odwagi i siły woli, wytrzymać spokojnie w szeregach, podczas, gdy duszę jego bodła ostroga niespodziewanych wzruszeń. Zdradził się właśnie w tej chwili, kiedy wszystko polegało na tem, aby obserwacja z niego się ześlizgnęła. Być może, panowania nad sobą pozbawił go brysk tego czegoś, co zbroczyło mu ręce; albowiem huk wystrzału rozluźnił natężenie jego podnieconego umysłu do tego stopnia, że rzuciwszy na ziemię dymiący karabin, zatoczył się nieprzytomnie i chroniąc się od upadku, wyciągnął przed siebie ręce, które dotknęły Rzeczy, wciąż jeszcze leżącej na łóżku sierżanta. Ten niespodziewany wypadek rostroił go zupełnie i napełnił go nieopanowaną trwogą, zdawało mu się,

jakgdyby ten trup wziął go w swe martwe objęcia i napiętnował go tak, że morderstwo nie mogło ujść bez pomsty. A od tej chwili opętała go jedna jedyna myśl, jedyne pragnienie — zemknąć — uciec, wszystko jedno dokąd, byle jak najdalej od tego strasznego ciała, wyciągniętego na łóżku. W tej to chwili sam beznadziejnie się zdradził, a kiedy zapadł wyrok, głoszący W i n i e n, wszyscy przyznali, że jest słuszny.

Siedząc samotny w celi, do której go zaprowadzono bezpośrednio po przesłuchaniu, Mir Maluk miał dość czasu, aby się oddać rozmyślaniom, a wiele rzeczy myśl jego zaprzątało. Zaglądała mu w oczy śmierć — nieunikniona, gwałtowna, hańbiąca. Ciż sami Sikchowie, którzy stali przy nim na warcie, przestali mu już dokuczać, bo stając tak niepewnie tuż na skraju otwartego grobu, nawet dla tych tępych łbów stał się nadzwyczajną postacią. A naraz zbudziła się w Mir Maluku tak szalona miłość życia, jak jej nigdy wogóle nie doświadczał. Samo istnienie, oddech, widok bożego światła i nieba — choć on widział je już tylko przez zakratowane okna celi — napełniały go niewypowiedzianą radością. Zaczął sobie zdawać sprawę z krążenia swej młodej krwi w żyłach, z radości młodości, z żaru zdrowia, z triumfu siły fizycznej, z tej swojej całej niezmiernej żywotności; i wszystko to, z czego dotychczas wogóle nie zdawał sobie najmniejszej sprawy, wydało mu się teraz nagle skarbem niesłychanie cennym.

I właśnie w chwili, kiedy świadomość tej prawdy

wzrastała w nim, z coraz to większą gwałtownością, z każdą godziną wzrastała w nim gorycz oczekującej go śmierci. Nie była to bynajmniej myśl o cierpieniu fizycznem. Tu przychodził mu z pomocą stoicyzm, wrodzony jego rasie. Nie bał się ani śmierci samej, ani cierpień, które musiały towarzyszyć jego przejściu z doczesności w wieczność. Wiedział dobrze, że gdy godzina oznaczona nadejdzie, bez trwogi wejdzie na ścieżkę, prowadzącą na szafot; że nie drżąc bynajmniej, stać będzie na tej strasznej platformie, oczekując ciosu, który rzuci go w nieznane; że umrze, jak zwykli umierać ludzie jego rasy, spokojnie i z godnością. Nie strach go opanował. Cała gorycz zawierała się w stracie zwierzęcego użycia, którego śmierć miała go pozbawić. Życie — teraz wiedział to z całą pewnością, było piękne, bardzo piękne. Głucha rozpacz ogarniała go na samą myśl, że musi je utracić. Pozagrobowe życie nie nęciło go bynajmniej. Nie bał się go, nie troszczył się bynajmniej o to, czy mu się na drugim świecie będzie powodziło źle, czy dobrze, nie odczuwał skruchy, nie miał bynajmniej wyrzutów sumienia, nie czuł bynajmniej żalu, z powodu nikczemnego postępku, jakiego się dopuścił: odczuwał tylko dzikie pragnienie życia, życia nie w jakimś tam niepewnym świecie duchów, ale tu na ziemi, życia swych bliźnich, życia, którego miłość nagle została mu objawiona.

Ważył te rzeczy w swem sercu, a w miarę, jak pragnienie życia zyskiwało na sile i natężeniu, wzrastała w nim wściekłość przeciw ludziom, którzy go

do zbrodni namówili. Oto marny koniec tego wszystkiego. Do ostatniej chwili pocieszał się niezłomną nadzieją. Czyż ci, którzy namówili go do tego kroku, nie zapewniali go niejednokrotnie, iż postarają się oto, aby zbrodnia uszła bezkarnie? On, głupi osioł, ślepo wierzył w ich spryt i chytrość, i oto dokąd zaprowadziła go ta wiara. Przebiegał w myśli wspomnienia z tajnych konferencyj z głównymi przywódcami oddziału Mahometan, na które go zapraszano. Przypominał sobie dumę, jaka go rozpierała na myśl o tem, że tacy ludzie darzą go swem zaufaniem. Ileż pięknych rzeczy słyszał od nich, o męstwie swojem i wojowniczego plemienia, którego był potomkiem. Wierzył, że ten ich podziw był szczery. Sama namiętność mordowania dla morderstwa — namiętność zabijania ludzi — którą tyle wojowniczych plemion azjatyckich ma we krwi, skłoniła go do zastrzelenia sztabowego sierżanta. Przedstawiano mu tę zbrodnię, jako czyn bohaterski — jako wyzwolenie kolegów, prześladowania tyrana, któremu nikt nie śmiał stawić oporu. W tym czasie, kiedy ludzie rozpływali się nad jego odwagą, i zwolna nakłaniając go do morderstwa, opanowywali go, nie przychodziło mu nawet na myśl, że oni robią sobie z niego narzędzie, do wykonania tego, na co się sami zdobyć nie śmieli. Prawda, ofiarowali mu też zapłatę, i kiedy siedział w więzieniu, otrzymał wiadomość, iż pieniądze te jego staremu ojcu w Pendżabie wręczono, on jednak czuł w głębi swego serca, że nie był bynajmniej najemnikiem, ale zamordował tylko, aby się popisać jakimś nadzwyczajnym czynem.

A kiedy zaczynał rozmyślać nad zdradzieckiem postępowaniem kolegów, żołnierska krew znowu się w nim ścinała. Teraz dopiero widział wszystko jasno — swą własną naiwność i próżność, której tak chytrze nadużyto; tchórzostwo tych ostrożnych spiskowców, którzy tak starannie zachowywali wszelkie ostrożności, o ile to ich bezpieczeństwa dotyczyło, a wreszcie ohydę samej zbrodni — zamordowania śpiącego człowieka, które nie okryło go bynajmniej chwałą zwycięstwa, ale doprowadziło go do tego, że teraz oto miał zdychać jak pies. Napróżno malował sobie, czem mógł być, widział się atakującego wroga swych współbraci bez trwogi, pierś w pierś, w biały dzień, wobec całego świata. To mogło mieć swoją wartość. Gdyby stracił życie w takiej chwili, szamocząc się ze swym wrogiem, z całą rozpaloną w piersiach wściekłością bojową, nie żałowałby tego. Teraz zaś, napiętnowany jako tchórz, miał iść na śmierć haniebną, wszelkiej czci pozbawiony — on, który w głębi swej duszy niczego, prócz honoru, nie kochał i nie pragnął.

A w miarę, jak rozważał swą przeszłość, i jak wzrastała w nim miłość życia, wzrastała w nim też nienawiść do ludzi, którzy wyprowadzili go w pole. A im silniej odzywał się w nim bojowy instynkt jego ludu, tem bardziej pragnął umrzeć, jeśli już umrzeć musi, gubiąc wraz z sobą wszystkich, których mógł zgubić, i doprowadzić do tego, aby z nim jego żałosną dolę podzielili.

— Tchórz do szpiku kości! — powiedzieliśmy sobie — tego jeszcze tylko brakowało, aby, postą-

piwszy jak ostatni tchórz, sam się z tchórzostwa zdradziwszy i wziąwszy w dodatku zapłatę za nikczemnie rozlaną krew, miał teraz udawać skruchę i w dodatku może ocalić swe życie za cenę życia swych wspólników.

Ale Mir Maluk bynajmniej nie bronił swego życia. Co się jego samego tyczyło, nie stawiał żadnych warunków: wyraził tylko życzenie powiedzenia całej prawdy. A ponieważ w interesie całego oddziału było, aby winni kary nie uniknęli, poczyniono jak najprędzej wszystkie przygotowania, potrzebne do oficjalnego wysłuchania tych zeznań, w obecności świadków — „drań, co się zowie, nikczemny!“ — Cóż innego można było o nim powiedzieć! — Jednakże oficerowie oddziału, aczkolwiek podzielali naszą pogardę dla tego łotra, odetchnęli swobodniej, ponieważ Mir Maluk mógł przyczynić się do „oczyszczenia powietrza“.

Wszystko to wydarzyło się w małem miasteczku w Sandakanie, w północnem Borneo, roku pańskiego 1900, właśnie w czasie, gdy Mir Maluk znajdował się w tamtejszem więzieniu garnizonowem. Tu też zebrał się pewnego popołudnia mały trybunał, który miał wysłuchać zeznań Mir Maluka. Obecny był komendant oddziału, do którego więzień należał, Subadar, dyrektor więzienia i warta, składająca się z czterech czy pięciu Sikchów. Dwaj biali ludzie usiedli za zwykłym, drewnianym stołem, w małym pokoiku, który służy jako biuro więzienia; Mir Maluk, w powłóczystej szacie, w mahometańskiej mycce na głowie, stał przed nimi niedaleko drzwi, z rę-

kami zakutemi w kajdany, których łańcuchy luźno z przegubów zwisały. Dokoła niego ugrupowali się Sikchowie, podczas gdy Subadar, znajdujący się po prawej stronie komendanta, pełnił rolę tłumaczą.

Trzeba wiedzieć, iż biuro więzienia znajdowało się w punkcie, w którym z obu stron zbiegały się dwa długie, cały budynek obiegające korytarze, po obu stronach pełne drzwi, prowadzących do cel więziennych. Zdarzyło się przypadkiem, że właśnie wówczas siedział w jednej z tych cel pewien wybitniejszy zbrodniarz z Badżau, który, ujęty kilka miesięcy temu, miał następnego dnia śmiercią na szubienicy przypłacić zbrodnie, liczniejsze, niż palce na rękach. Człowiek ten, jak wszyscy zresztą Malaje, nie miał nic przeciw temu, aby zabić lub być zabitym, żywił jednak silne uprzedzenie do śmierci bez walki. Wieszanie — przy którem cała przyjemność jest po jednej stronie — raziło jego zmysł sprawiedliwości i godności własnej, zaś pomysłowość jego potrzepnęła mu znacznie lepszy sposób wyzbycia się brzemienia doczesnego życia. W tym celu czynił też, z niesłychaną cierpliwością i zręcznością, odpowiednie tajne przygotowania. Straże w garnizonowem więzieniu w Sandakanie nie są zbyt liczne, dyscyplina wśród więźniów pozostawia coś niecoś do życzenia; dozór także nie stoi na wysokości zadania — zaś Sunting Badżau w całej pełni z tego wszystkiego skorzystał. Udało mu się mianowicie ukryć *pisau-raut* — nóż, podobny do brzytwy, ale znacznie silniejszy — używany przez Malajów do skrobania i przygotowania trzciny cukrowej.

Prawdopodobnie któryś z przyjaciół ukrył ją w odpowiedniem miejscu, tak, że Sunting bez trudu mógł ją znaleźć, kiedy go prowadzono do kąpieli. Skazaniec dodał do tego jeszcze kawałek drewna, i z tego materjału sporządził sobie doskonały sztylet. Podarłszy w strzępy pas, przywiązał nim klingę do drewna, a całą tę machinę do swej prawej ręki tak, że naraz znalazł się w posiadaniu dżgacza, o długiej, na cztery cale mocnej klindze, wcale obiecującego wyglądu.

Tak uzbrojony Sunting czekał cierpliwie, póki nie nadeszła godzina popołudniowego posiłku, a kiedy usłyszał odgłos kroków dozorcy, ukrył się za drzwiami, które przypadkiem otwierały się do wewnątrz. Dozorca wszedł i zatrzymał się, chcąc na podłodze postawić cynowe talerze, które niósł w obu rękach; a kiedy tak stał pochylony nad ziemią, Sunting skoczył nagle ku niemu, wbił mu swój nóż głęboko w brzuch i odskoczywszy przyglądał się, jak biedak, dysząc rozpaczliwie, potoczył się w róg celi. W chwilę później okrzyk wojenny dotarł do najdalszych kątów drewnianego budynku, a Sunting szalony, w furji bojowej, z rozwianemi, długiemi włosami, z twarzą skurczoną i wykrzywioną, z oczami świecięcemi radością walki, pędził ciasnym korytarzem, wywijając rękami nad głową i piszcząc z podniecenia i wściekłości. Zanim trybunał w biurze więzienia mógł na nieoczekiwany odgłos, jaki go doleciał, powstać ze swych siedzeń, Sunting zakłuł i rozciągnął dwóch Sikchów i przedarłszy się przez małą grupkę ludzi, skoczył wprost do gardła

oficera, dowodzącego oddziałem. Biały, zupełnie bezbronny, podniósł wzrok i w odległości jednego, czy dwóch sążni, ujrzał przed sobą dziką twarz furjata, zbliżającego się ku niemu z błyskawiczną szybkością. Widział szeroko otwarte usta, słyszał ogłuszające wycie: *„Amok! Amok!“* wibrujące dzikim triumfem, dzwoniące w uszach, mógł jeszcze dojrzeć wbite w jego oczy przekrwione oczy szaleńca, którego gorączkowy oddech parzył już jego policzki. A nagle, zanim jeszcze zdołał ruszyć ręką czy nogą w swej obronie, zaszumiała biała szata, odezwał się jakiś gardłowy dźwięk i grożąca mu straszna postać zniknęła.

Mir Maluk, łotr, tchórz, człowiek, na którego głowę wylaliśmy wszystkie dzbany naszej pogardy, skoczył nam na pomoc. Tak jak był, skuty, rzucił się między furjata i jego ofiarę, z całą siłą wymierzony przez dzikusa cios odparował swym własnym, gołym łokciem, i zwalił swego przeciwnika na ziemię. I teraz dopiero, wśród odłamków połamanych nóg stołowych, zaczął się z nim tarzać po podłodze, bijąc go żelaznemi kajdanami, któremi był skrępowany i nie zwracając najmniejszej uwagi na pchnięcia, które wciąż głęboko raniły jego własne plecy i boki. W chwilę później, wszyscy obecni w pokoju podskoczyli mu z pomocą, przyczem Sikchowie nie żałowali uderzeń kolbą. Ale Sunting, zupełnie do człowieka nie podobny, leżał już cicho, martwy — poniósłszy śmierć, jakiej szukał, a która zjawiła mu się taką, jak ją sobie wybłagał u Ałłacha, pełnego miłosierdzia i litościwego Boga.

A wówczas zgromadzono się i zaczęto liczyć swe straty. W celi skazańca, dozorca oddawał już ostatnie tchnienie. Na korytarzu, przed drzwiami, leżało dwóch zakłutych Sikchów, a w małem biurze, tuż obok martwego Badżau, leżał Mir Maluk, krwawiąc strasznie, z jakichś dwudziestu ran, oddychając z trudem, i patrząc na pochylone nad nim, pełne współczucia twarze, oczami, które już zaczynała przesłaniać mgła.

W wybuchu wdzięczności dla człowieka, który życie swoje oddał, aby go ocalić, komendant ukląkł na czerwonym pyle podłogi i wziął rękę konającego w swe własne, silne dłonie. Mętnymi zdaniami próbował wyjaśnić mu swą wdzięczność i swój ból z powodu wydania wyroku, którego niesprawiedliwość tak nagle została mu objawiona — brak mu było jednakże słów. Paraliżowała go wielkoduszność czynu, poniżała go świadomość, jak mało zasługiwał na tak bohaterskie poświęcenie się, i w tej chwili zapomniał nawet o istotnym charakterze swego zbawcy Mir Maluka, podłego mordercy śpiącego sierżanta sztabowego. Leżący przed nim człowiek był dla niego wcieleniem męstwa i odwagi — cnoty, która dla każdego po męsku czującego mężczyzny jest cnotą najwyższą. Fakt, że on, nietknięty, miał żyć, podczas gdy ten dzielny człowiek, zamiast niego, leżał tu przed nim konając, zdawał się być dla niego obrazą haniebną, niesprawiedliwością, sprawiał mu ból i w nieznośny sposób go poniżał. Mir Maluk, ledwo już ruszając się, przez dłuższy czas starał się przemówić. Pierś jego z wysiłkiem podnosiła się, usta otwie-

rały się i zamykały, z trudem łapiąc powietrze, ale słów ukształtować nie mogły. Aż wreszcie, po niesłychanym wysiłku, słowa z niego trysnęły:

— Zaświadcz, Sahibie! — mówił dysząc — zaświadcz, że ja umarłem jak mąż, Sahibie . . . . Jak mąż z plemienia ludzi wojennych . . . . Jak mąż . . . a nie tchórz . . . .

Obfity krwotok przerwał mu, a kiedy biały człowiek, znajdujący się u jego boku, zaczął gwałtownie protestować, Mir Maluk, najemny zabójca, morderca, zdrajca, bohater, wyzionął ducha.

Twierdzę, że historja ta zasługuje na powtórzenie dlatego, że przypadkiem jest prawdziwa. Co się tyczy reszty, to tylko znacznie lepszy znawca psychologji niż ja, mógłby rozmotać tak splątany kłębek nici, jakim był charakter Mir Maluka, Mahometanina z Pendżabo.

Oznaczona godzina

Siedział w swym pokoju, w jednym z największych hoteli Londynu, skurczony nad ogniem i z niezbyt wielkim zachwytem znoszący srogą pogodę angielskiego czerwca. Tam, poza oknami naszego pokoju, gromady mężczyzn i kobiet, przeważnie Amerykanów, obleczonych w najrozmaitsze kostjumy letnie — przyczem lekkie stroje pań i słomiane kapelusze panów, zdawały się lekceważąco ignorować pogodę — wałęsały się niestrudzenie omnibusami, z których każdy był spóźniony. Piskliwy głos gwizdka wzywał od czasu do czasu dorożkę lub dwukonkę. Kopyta końskie kłapały miarowo po bruku lub z głośnym zgrzytem ślizgały się po asfalcie; od czasu do czasu słychać było, jak jakaś, ukryta przed okiem kapela smyczkowa, wybuchała wesołemi akordami; stłumiony odległością i zamkniętemi oknami, zgiełk Strandu dolatywał do nas, niby bezustanny, głuchy szmer. Lampki elektryczne triumfujące nad pełnym melancholii zmierzchem, który był całem światłem, na jakie mgła pozwalała, oświetlały okazałe sprzęty, użyczając pokojowi coś nie coś z teatralnego charakteru.

Wszystko dokoła nas zdawało się dowodzić bez-

względnej współczesności — zdawało się mówić tylko o tym świecie, w którym wszystko starannie urządzone jest ku najwyższej wygodzie człowieka, oczywiście, o ile on może sobie na nią pozwolić; o świecie, w którym technika z łatwością zastępuje produkty przyrody a nawet światło boże i w którem tak wiele dla nas zrobiono, że wielu z nas ma chęć nietylko osobiście nie działać, ale nawet nie myśleć. Tu, wciśnięte w przestrzeń niewielu mil kwadratowych znajdowało się samo serce nowoczesnej cywilizacji; ale człowiek, który siedział naprzeciw mnie i z którym rozmawiałem, wolał przywoływać na myśl wspomnienia z innego a dalekiego kraju — wspomnienia dawno umarłych dni, gdy goły nóż i dzida rządziły naszym ciasnym światem; a ponieważ w tej właśnie chwili serca nasze zatęskniły do niezmierzonych, cichych puszcz i słonecznego blasku ojczyzny mego przyjaciela, mówiliśmy o czasach, ludziach i krajach bardzo dalekich, nie znajdując żadnego dysonansu między temi naszemi myślami i naszem otoczeniem.

Wreszcie mały, ciemnolicy człowieczek, siedzący naprzeciw mnie, wyprostował się w swym wielkim fotelu, uśmiechając się łagodnie.

— Nie jest to dobrze — rzekł — myśleć o dawno minionej przeszłości, gdy ciała nasze były młode, a serca nieposkromione; albowiem choć człowiek w dojrzalszych latach, może wyzbyć się swych słabości i zwrócić swe myśli ku Wierze, Ałłachowi i naukom Jego Proroka, mały djabeł, który w nim siedzi, lubi wzburzyć w nim czerwoną krew, jak

za dawnych czasów i rozpalić w jego piersi namiętność, tak, że człowiek znowu zaczyna tęsknić za dniami, które nigdy powrócić nie mogą.

I oto nagle przypomniałem sobie, jak to ja zabiłem swego pierwszego człowieka — jako, że w owych czasach nigdy nie dawałem drugim robić tego, co mogłem sam robić własnoręcznie. Zabójstwo to nie miało właściwie sensu, a serce moje było wówczas z pewnością bardzo złe; a jednak . . . . nie ulega wątpliwości, że przyszła na niego Oznaczona Godzina — że on umrzeć musiał — inaczej zachowywałby się ostrożniej i namyśliłby się dobrze, zanim by ściągnął na siebie mój gniew.

Był to zwykły sobie człeczyna, nazwiskiem Mat Resad — człowiek pospolitego pochodzenia i z nędznej rodziny — który jednak dzięki zręczności w handlu naraz się wzbogacił. Otóż bogactwo jest wielkiem złem, ponieważ wielu ludziom uderza do głowy, jak silny trunek, nadymając ich arogancję tak, że poprostu stają się obrazą dla wszystkich, którzy z nimi przestają. To samo właśnie stało się z tym człeczyną Mat Resadem — ponieważ nie miał w sobie ani krzty grzeczności, przyzwoitości i czci. Ostatecznie czegóż się można spodziewać po człowieku pospolitego i nędznego urodzenia? Zna pan chyba nasze przysłowie: „mniejsza z tem, jak wysoko ptak się wzbije, w końcu zawsze usiędzie na grzbiecie wołu“ — no i tak było z Mat Resadem, synem pospolitych ludzi.

Otóż zbogaciwszy się naraz, zaczął sobie niemało pozwalać; a nas, pochodzących z Krwi Królewskiej,

te jego błazeństwa, miny, parady i bezczelność bardzo drażniły. Co więcej, pochodząc sam z rodziny chłopskiej, w krótkim czasie zdołał zebrać dokoła siebie rozmaitego rodzaju hołotę — handlarzy, chamów różnych, wogóle bydła — i nazywając ich swymi dworzanami, ośmielał się bronić ich przeciwko wszystkim ludziom szlachetnego urodzenia, którzy mieli do nich jakąś urazę. Jawną jest rzeczą, iż człowiek ten skazany był na gwałtowną śmierć i że Oznaczona Godzina wciąż się do niego zbliżała.

Właśnie w tym czasie na nowo się ożeniłem, a ludzie moi mieszkali w wielkiej łodzi, umocowanej u palów przy brzegu, gdy ja sam spędzałem noce w pałacu mego teścia, znajdującym się za długim płotem bambusowym; Mat Resad zaś mieszkał równie jak ja w swej łodzi kupieckiej, przymocowanej poniekąd niżej od mojej.

W pałacu mojego teścia było mnóstwo dziewcząt, z których każda była córką rekina, z szeroko otwartą paszczęką, szukającą tylko kogo by pożreć, zaś jedna z nich słynęła pięknością. Żyje ona jeszcze, mała zwiędła staruszeczka, zgarbiona i pomarszczona, jak zeschły owoc, ale w owych czasach wielu ubiegało się o jej względy — i nawet ja, choć od trzech miesięcy żonaty z dziewczyną krwi równej mojej, zachowałem dla niej odrobinę miłości. Ale serce tej dziewczyny przepełnione było pragnieniem tak wielkiem, a nie odpowiadającem jest stanowisku, jak pragnienie owej muchy, która jak to opowiadają, chciała połknąć człowieka; i zadowolić nie mogła jej ani wielka liczba wielbicieli, ani podarunki, które jej znosili.

I wówczas stało się, że Mat Resad, bogacz-cham, syn prostych ludzi — znalazł łaskę w jej oczach i zaczął się rozbijać, chełpiąc się swem powodzeniem.

Działo się to wszystko z wielką ujmą dla dworu mego teścia, wobec czego ja postanowiłem sobie ująć się za nim, bo przecie, jak to już powiedziałem, wszystkiego trzy miesiące żonaty byłem z jego córką. Być także może, że — jako iż serce moje było wówczas jeszcze młode i złe — przepełniła je zawiść o tę dziewczynę, Andak Ibuk, z tego powodu, że nie robiła ona różnicy między ludźmi szlachetnego i podłego pochodzenia. Kobiety są bardzo dziwne, bo czasami dają folgę miłości przewrotnej i nie umieją odróżnić dobrego od złego. Oczywiście nie mówiłem o tem wszystkiem ani słowa, ale z wielką niecierpliwością oczekiwałem Oznaczonej Godziny, a kiedy Mat Resad zaczął się chełpić względami Andak Ibul, miałem wrażenie, że Godzina jest już bardzo niedaleko.

Otóż jednego dnia pewien kupiec z Menangkabau przybył w nasze strony i zawinął do przystani we wsi mego teścia. Przywiózł rozmaite stroje i ubrania, a zwłaszcza świetne szarawary z bardzo pięknego jedwabiu, a ponieważ ja w tych dniach chętnie nosiłem piękne szaty ku rozkoszy dziewcząt, dałem mu znać, iż potrzebowałbym dwóch par szarawarów. Przypadkiem właśnie zjechał do nas pewien wódz, który miał złożyć hołd memu teściowi; usłyszawszy, że ja pragnę tych ubrań, postarał mi się przypodobać. Wziął od tego człowieka z Menangkabau dwie pary naprawdę wspaniałych sza-

rawarów, przyniósł mi je i podnosząc w górę dłonie na znak hołdu, błagał, abym jedną parę wziął od niego w darze, a zapłacił tylko za drugą. Zrobiłem to oczywiście; a kiedy wódz otrzymał należny mu za to podarek, czem prędzej popłynął w dół rzeki do domu.

Okazało się jednak, że wódz zapomniał człowiekowi z Menangkabau zapłacić za odzież, jaką mi podarował, skutkiem czego ten zrobił znowu wielką historję, opowiadając za mojemi plecami, że ja go obrabowałem, biorąc dwie pary szarawarów, a płacąc tylko za jedną. Jednakże, jako człowiek rozsądny, ten kupiec z Menangkabau nie zgłaszał się do mnie z tem głupstwem, ale starał się znaleźć sposób, aby inni w jego imieniu wystąpili. I wtedy Mat Resad, ten cham z nikczemnej rodziny pochodzący, dlatego tylko, iż wyobraził sobie, że wszelka hołota uważa go za swego obrońcę, pozwolił sobie na śmiałość wdać się w tę sprawę. To wskazuje wyraźnie, że opanował go szał i że Oznaczona Godzina zaczęła już świtać.

Otóż pewnego dnia Mat Resad zjawił się w pałacu mego ojca gdzieś około południa, kiedy ja jeszcze leżałem w łóżku i zaczął się strasznie awanturować, domagając się zapłaty za ubranie dostarczone przez kupca z Menangkabau. Trzeba wiedzieć, że mój teść był *radżą* niesłychanie porywczym, a jak tylko zauważył, że Mat Resad, wlazłszy mu przez furtkę, zaczyna się bezczelnie domagać pieniędzy, ryknął jak byk, tak że powstało powszechne zamieszanie. Przyczyną tego było, że mój teść wściekły był na Mat

Resada z powodu jego miłosnego związku z tą powyżej już wymienioną dziewczyną Andak Ibul; albowiem dworki nie są przeznaczone dla ludzi niskiego pochodzenia. Być może także, że teść mój przypadkowo rzucił na to dziewczę okiem, jak się to przygodziło i mnie, mimo, iż zaledwie trzy miesiące żonaty byłem z jego panią córką; ale w tych czasach obowiązkiem wszystkich synów rodu królewskiego było zaszczycać swą miłością jak największą ilość kobiet.

Kiedy się zbudziłem, ludzie moi opowiedzieli mi, czego się Mat Resad dopuścił, i jak mój teść z gniewem i wymysłami wyścigał go z swego pałacu; mnie też gniew ogarniał. A w dodatku jeszcze mój teść powiedział mi kilka uszczypliwych słów w sprawie Mat Resada, tem bardziej podniecając mój gniew przeciw niemu.

Na drugi dzień przed rannym przypływem, zanim jeszcze zdążyłem przejść z pałacu do swej łodzi, przyszedł Mat Resad i zaczął się kłócić z moją służbą, gadając głupstwa i wypowiadając różne słowa ordynarne i niegodne mężczyzny; oczywiście, w stosownym czasie, wszystko mi to powtórzono. Oprócz tego doszły mnie słuchy o jakichś nowych zamiarach Mat Resada co do Andak Ibul, a miałem wrażenie, że miłość tej dziewczyny dla mnie poniekąd ochłódła. To już dopełniło kielicha obrazy Mat Resada wobec mnie.

Na drugi dzień, trochę po godzinie południowej modlitwy, dźwignąłem się z maty, na której spałem i skierowałem się ku umocowanej w przystani

swej łodzi, gdzie mieszkali wszyscy moi dworzanie. A proszę, na przodzie łodzi siedział Mat Resad, czekając na mnie.

Zrazu mówiłem z nim grzecznie, pytając go, czego sobie życzy; kiedy jednakże z wielkim brakiem roztropności i bezczelnością zaczął przede mną gadać o długu, który — jak sam się wyraził — zaciągnął człowiek z Menangkabau na rachunek wodza i jego podarowanych mi szarawarów, wątroba się we mnie wzburzyła i rozgrzały się rozżarzone węgle. A wtedy ja skoczyłem na niego, nazywając go chamem i bezczelnym draniem i pytając go, jak śmiał wedrzeć się nawet poza płoty mego teścia ze swemi głupkowatemi zamiarami, on zaś był zmieszany, ale niegrzeczny. Siedząc u stóp mych, podniósł na znak hołdu swe ręce; ja jednak wiedziałem, że wątroba w nim się burzy i że on hołdu szczerze nie składa i ujrzałem wówczas, że Oznaczona Godzina nadeszła.

A wtedy opanowała mnie wielka wściekłość i wszystko w oczach moich nabrało koloru krwi. Nóż mój wyleciał z pochy, a zaś ja zacząłem bić, bić i bić . . . .

Krew tryskała z niego — jak tryska woda z wodociągów, którą ludzie czyszczą bruki po zapadnięciu nocy — i ja byłem cały nią zbroczony. Ale to mnie nie powstrzymywało, bo opanował mnie szał. On zaś zataczał się, padając na łódź i wrzeszcząc tylko: hauk, hauk, hauk, bardzo gardłowym głosem, aż wreszcie padł i skonał.

Jak mi później opowiadano, miał na sobie siedemnaście ran, a krew jego, zdaje się, poniekąd mnie

urzekła, ponieważ miałem potem kilka paroksyzmów gorączki, jednakowoż mnie to osobiście nie dotyczy. Jest rzeczą zupełnie pewną, że Mat Resad skazany był na śmierć, i nie zabiłem go ja, ale palec Ałłacha i Oznaczona Godzina. Należy także zaznaczyć, że Andak Ibul była bardzo ładna dziewczyna, zwłaszcza, że w czasie kiedy ją zdobyłem, byłem wszystkiego trzy miesiące żonaty ze swą żoną, pochodzącą z równej mi królewskiej krwi.

Mój mały, ciemnolicy przyjaciel przysunął się do ognia, nadstawiając swe drobne, delikatne ręce ku ciepłu, te właśnie rączki, które dawno temu pozbawiły życia Mat Resada. I oto w tej chwili zjawiła się moim oczom wizja wielkiej, spławnej rzeki jego ojczyzny, toczącej majestatycznie ku morzu swe fale, między wysokimi wałami puszczy; wizja czerwonej ziemi, którą szybko płynące wody równo obcięły; wizja bambusowych żywopłotów, otaczających prymitywne pałace miejscowych królików — a także glorja roślinności i olśniewające blaski, lecące z niebios nieskończenie błękitnych, a wśród tego, ta mała, dziwna rzecz, naznaczona przez Oznaczoną Godzinę, sztywno i nieruchomo leżąca wśród tylu piękności.

Potęga przysięgi

— Pozwę cię do sądu i zniszczę, a na końcu twoje krowy staną się moją własnością. Twarz twoja zczernieje ze wstydu i cześć wszelką stracisz, bo po mojej stronie jest wielu świadków i prawo białego człowieka.

— A po mojej stronie jest Ałłach i sprawiedliwość Ałłacha, łaskawego i pełnego miłosierdzia.

Szyderski śmiech i pomieszane z bluźnierstwem drwiny były odpowiedzią na te spokojne słowa i Abdul Rahman — „sługa łaskawego Ałłacha" — uderzył się pogardliwie w piersi i odszedł z pychą, rzucając po drodze słowa, nie zawierające wiele szacunku dla Mistrza, dla którego samo jego imię już powinno być hołdem. Chłopi, zmieszani i zdjęci trwogą, rozstąpili się przed nim. Starsi z wyrzutem spojrzeli na spiżowe chmury, jakby oczekując, aby runęły na ziemię dla ukarania obrażonego majestatu Boga. Młodsi odprowadzali wzrokiem Abdul Rahmana a serca ich pełne były podziwu, zmieszanego ze strachem. Bo przecie w człowieku, który śmiał stanąć do walki z Bogiem, była z pewnością odwaga, wolność i niezależność.

Ci prości malajscy chłopi mieli na sobie tylko lekki pokost religijny. Zdaniem ich, wszystkie obowiązki człowieka streszczały się w odmawianiu modlitw pięć razy dziennie w oznaczonej godzinie, raz na tydzień w meczecie, w poszczeniu podczas miesiąca Ramazanu, w powstrzymywaniu się od trunków i wieprzowiny, a wreszcie w byciu Mahometanami — prawdziwymi wyznawcami Ałłacha i Jego Proroka. Rozumie się, oczywiście, że nikomu ani się nawet nie śniło o spełnianiu wszystkich tych obowiązków. Byłoby to przesadą w gorliwości, nie różniącą się prawie od dziwactwa.

Łatwo było powstrzymać się od wieprzowiny i trunków, których tu nigdy nie bywało; pościć musiało się, ponieważ przechodzący z ojca na syna zabobon twierdził, że na człowieka, który ośmieli się złamać to prawo Proroka, padają wszystkie możliwe materjalne i fizyczne klęski. Jednakże rzadko który chłop, zmordowany pracą dnia powszedniego, odmawia dzienne modlitwy, a co się tyczy piątkowego nabożeństwa, to jak tylko okoliczności na to pozwalały, wszyscy wykręcali się od niego bezwstydnie, a z wielką przebiegłością. Jednakże, mimo tej swej opieszałości, uważali się za bardzo religijnych i najzupełniej zasługujących na zbawienie po śmierci. Wiedzieli, że są Mahometanami — protegowanymi Ałłacha i jego proroka — i uważali, że poprostu obowiązkiem Boga i Mahometa jest przemycić ich wszystkich do Raju — co najwyżej, po jakimś tam krótkim pobycie w Czyśćcu, — kiedy na nich czas przyjdzie. Dla tych ludzi, pozbawionych wszelkiego

doświadczenia, Abdul Rahman, bezbożny łajdak, który nic sobie nie robił z religji, był nowością.

Dwadzieścia, trzydzieści lat temu z pewnością zlynczowanoby tego wolnomyśliciela z całą okazałością i zachowaniem wszelkich przepisów, podczas gdy chłopi, przejęci świętą radością, dziękowaliby łaskawemu i miłosiernemu Bogu, że zesłał im tak miłe, a podniecające zajęcie dla urozmaicenia nudy ich życia powszedniego. Teraz jednak biali (obrzydliwi psuje wszelkich przyjemności), zajęli się utrzymaniem pokoju w kraju, a ich obecność, umożliwiajaca istnienie takiego bluźniercy, broniła go przed karą, którąby go absolutnie nie ominęła, gdyby rzeczy mogły się potoczyć swym naturalnym biegiem. Wobec tego, że mowy nie mogło być o prześladowaniu, więcej religijni mieszkańcy wsi musieli radzić sobie z nim jak się dało, podczas gdy młodsi i lekkomyślni członkowie gminy żywili dla niego tajny podziw za jego śmiałość, oryginalność poglądów i sposob wyrażania się i nawet do pewnego stopnia zazdrościli mu wyzwolenia z całej tej męczącej sieci obowiązków, które on przy każdej sposobności głośno wykpiwał.

Abdul Rahman niezmiernie cieszył się sensacją, jaką wywołał we wsi swych przodków. Przed laty opuścił był swą wieś i od tego czasu z niejednego pieca chleb jadał. Udał się naprzód do Singapore, gdzie jako zręczny żeglarz łatwo znalazł służbę i służył na całym szeregu wałęsających się po morzach angielskich parowców. Włócząc się z miejsca na miejsce, widział pagody Burmy, Wieże Milczenia

w Bombaju, hinduskie kaplice południowych Indyj, chińskie świątynie i domy publiczne, fallickie monumenty Bangkoku, a prócz tego kopuły i śpiczaste wieże żydowskich synagóg i kościołów chrześcijańskich w połowie portów Azji wschodniej. Z początku, kiedy zewnętrzne cechy każdej religji zwracały na siebie jego uwagę, dawał upust swym obrażonym uczuciom, zapomocą potężnych i publicznych wymyślań, przyczem dziękował Ałłachowi, że jest inny, aniżeli tamci wszyscy. Ale później minarety meczetów przestały w jego oczach wznosić się wyżej od innych wież i kopuł, które je otaczały. Wszędzie panowała tolerancja, stan psychiczny, któremu żaden wschodni człowiek nie może się poddać, nie narażając równocześnie religji, którą wyznaje. W krótkim czasie z tolerancji zrodziła się obojętność, z obojętności coś w rodzaju leniwych wątpliwości, a z wątpliwości cyniczna niewiara. Dopóki mieszkał w swej wsi na brzegach rzeki Pahang, choć słyszał coś niecoś o tem, że niewierni istnieją, nie zdawał sobie z tego sprawy i nie doceniał ani ich mnogości, ani rozmaitości wyznań. Jego odkrycia w wielkim świecie, w którym się naraz znalazł, obaliły wszystkie jego dawne poglądy. Nie okazało się bynajmniej prawdą, aby współwyznawcy jego rządzili krajami, które zamieszkiwały, lub też posiadały lwią część bogactw. Potęga stanowiska, bogactwa — wszystko było w rękach niewiernych, a zrozumienie tego faktu uraziło religijną dumę Abdul Rahmana. Nie był on bynajmniej bardzo uduchowionym człowiekiem, i w imaginacji jego dobra tego świata miały znacznie

większe znaczenie od rozkoszy życia pośmiertnego. Bardzo imponował mu Mammon, a co się tyczy Ałłacha, to zdawało się, że on jest gdzieś bardzo daleko — a może nie istnieje wcale. Jakże wśród tego potopu zwalczających się wyznań mógł człowiek nie zwątpić o prawdziwości własnej religji? Jeśli wyznawcy innych religij cieszyli się tak wielkiem powodzeniem, a najpobożniejszy nawet Muzułmanin przyparty był do muru, to czyż nie wynikało z tego jasno, że mahometanizm nie jest bynajmniej wiarą uprzywilejowaną? On jednak mimo wszystko spluwał wciąż na samą myśl o żydzie lub bałwochwalcy; od tego silnie zakorzenionego w nim przesądu nic go wyzwolić nie mogło. Dlatego, mimo iż wiara w Islam opuściła go, nie miał bynajmniej zamiaru zmieniać wyznania. Przestał wierzyć w życie pośmiertne i z niepohamowaną zawziętością starał się jak najlepiej wyzyskać życie doczesne. Pozbył się także wszelkiej etyki, obrawszy sobie jako zasadę, aby nie popaść w konflikt z jakimś prawem, które doprowadziłoby go do kryminału. To połączone z wrodzonym sprytem ustrzegło go od niejednego nieszczęścia. Kiedy wrócił do swej wsi rodzinnej, zdołał już nagromadzić spory zapas przeróżnych cennych rzeczy, tak, że w oczach swych skromnych rówieśników mógł uchodzić za bardzo bogatego człowieka. W pierwszej chwili po powrocie do domu był niemal zachwycony. Jakoś dziwnie skurczył się ten zakątek od czasu, kiedy go opuścił. Chaty były mniejsze, a znacznie brudniejsze. Rzeka węższa, niż sobie wyobrażał, a sposób życia bardziej pierwotny,

niż to sobie w pamięci malował. Jednakże on wyjechał stąd jeszcze jako młody chłopak, którego gmina nie brała bynajmniej w rachubę — a wrócił naraz, jako najmądrzejszy i najbogatszy człowiek we wsi. Poważni, czcigodni, starsi ludzie, którzy kiedyś chłostaliby go bezlitośnie, gdyby puścił krowę w szkodę, kłaniali mu się nisko i uniżenie pytali go o zdanie w danej sprawie; rozmawiając z nim tytułowali go „*Incz*“, co jest tytulacją zaszczytną, a wszyscy skakali dokoła niego, w nadziei, że poślubi którąś z ich córek. Kiedy bzdurzył rozmaite nieprawdopodobne historje, w których on wielki żeglarz figurował jako kapitan całej floty — zaś ludzie biali, nie zrozumiali jego rodakom, ale stanowiący dla niego otwartą księgę — prosili go o wskazówki i polegali na jego radzie — zgromadzeni wieśniacy chciwie chłonęli jego słowa, z naiwną, patetyczną wiarą, nie dopuszczającą żadnych wątpliwości. Bardzo go przez jakiś czas te łatwe triumfy bawiły, zaś wieś, w której wszyscy mężczyźni szukali u niego rady, a wszystkie mniej więcej kobiety w nim się kochały, stała się dla niego bardzo wygodnem środowiskiem, zupełnie odpowiadającem jego ambicjom.

Wtedy to właśnie stało się, że w poczuciu wyższości nad swoimi sąsiadami zaczął powoli rozwijać swe antyreligijne poglądy, skutkiem czego, poraz pierwszy popadł w ostry konflikt z opinją publiczną. Wyobrażał sobie, że ma dość sił, aby pozwolić sobie na wszystko, co mu się podoba; z drugiej strony jednak, dziewięć dziesiątych uniżoności

i służalczości mieszkańców wsi pochodziło tylko z gorącego pragnienia, możliwie jak największego wyzyskania bogacza. Ponieważ się to mało komu udało, wszyscy mieli do niego tajony żal; wobec tego, kiedy Abdul Rahman zaczął kpić sobie z religji, wszyscy, których oczekiwania zawiodły, uznali za stosowne oburzać się, zaś gniew ich był święty.

Lynczowanie, jakieśmy to już zaznaczyli, uważane było w tych smutnych czasach jako przywilej dawno minionej i opłakanej przeszłości; chłopi wiedzieli jednak, że istnieją jeszcze inne rzeczy, które rozumnie myślący naczelnik okręgu byłby skłonny, być może, tolerować. Imam Teh, wójt, — który był równocześnie kapłanem lekceważonego przez Abdul Rahmana Boga, — wytłumaczył to pewnego czwartkowego wieczoru gromadce młodych ludzi i już na drugi dzień słowa jego przyniosły owoce. Nie można cieszyć się wielkiem powodzeniem, być zdobywcą kobiet we wsi malajskiej — a może także jeśli o to idzie i gdzie indziej — nie ściągając równocześnie na siebie zawiści swych bliźnich. Bogactwo Abdul Rahmana dostarczało mu znacznie lepszej broni do podboju zmiennych serc niewieścich, niż sobie na to mógł którykolwiek bądź młody byczek we wsi pozwolić. Damy malajskie są przedajne i posiadają niezwykły zmysł kolorów, Abdul Rahman zaspokajał obie te słabości. Był szczodry i potrafił ubrać od stóp do głowy. Spokojna propozycja Imam Teh dawała miejscowej młodzieży sposobność, o której już dawno myślano, tak, iż ręce aż świerzbiały.

W piątek popołudniu, kiedy Abdul Rahman, wy-

szedłszy wraz z drugimi mężczyznami z meczetu, po wspólnem nabożeństwie, — zebranie było tego dnia nadzwyczaj liczne, — przystrojony w świetne i pstrokate jedwabie, tak drogie sercu malajskiego eleganta, wałęsał się w pobliżu poświęcanego gmachu, zuchwałem okiem mierząc nabożne tłumy, kilku młodych ludzi chwyciło go, zanim sobie mógł zdać sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, i mimo krzyków i oporu, powlokło go do najbliższej sadzawki bawolej i wrzuciło go do niej. Otóż sadzawka bawola należy do tych miejsc, w których leżenie nikomu najmniejszej przyjemności sprawiać nie może, ma przeważnie trzy stopy głębokości, a aż po brzegi wypełniona jest gęstem płynnem błotem i innemi rzeczami. Krowa pogrąża się w niej z chlupaniem, przypominającem odgłos salwy pistoletowej, zanurzając się w błocie, aż po nozdrza i wystające nad powierzchnię małe, dzikie oczy. Wynurza się z sadzawki, gęsto oblepiona błotem, jak to miało się też z biednym Abdul Rahmanem; on jednak, mniej szczęśliwy od bydląt, miał pełno błota w ustach, nosie, oczach i uszach. Wdrapawszy się na brzeg, stanął, bluzgając błotem i przekleństwami i ocierając twarz rękami, ociekającemi gnojówką. Widok jego był równocześnie zabawny i żałosny, a komika sytuacji silnie przemówiła do widzów. Jego groteskowe pojawienie się powitał chór zachwyconych okrzyków i śmiechu. Gwałtowność wstrząśnienia i niespodziewany atak wprawiły Abdul Rahmana w osłupienie. Przywykł z tak wielkiem lekceważeniem patrzeć na tych chłopów, że nigdy na myśl nawet mu

nie przyszło, aby się ważyli traktować go inaczej, jak tylko z najwyższą czcią i szacunkiem. A teraz, bez najmniejszego ostrzeżenia znalazł się wśród nich, okryty błotem i śmiesznością, podczas gdy oni, okrążywszy go głupim chórem, kpili sobie z niego. Gdzież ten szacunek, gdzież ten podziw, który zdaniem jego, powinni byli dlań żywić? Zdawało mu się, jakgdyby trzoda niemych bydląt zbuntowała się naraz przeciw swemu panu, a kiedy się tak rozglądał mściwemi oczami, wzrok jego padł na uśmiechniętą twarz Imama Teh, wójta i Abdul Rahman w tej chwili instynktownie zrozumiał, kto był inicjatorem całej tej awantury. Z wściekłością zwrócił się do Imama, jednakże utarzanemu w błocie człowiekowi trudno o dostojny wygląd. Komizm jego gniewu pobudził chłopów do nowego wybuchu wesołego śmiechu.

— Mniejsza z tem, jak wysoko skowronek wzbije się w niebo — rzekł łagodnie Imam Teh, cytując dobrze znane, malajskie przysłowie — prędzej czy później wróci zawsze do bawolej sadzawki.

Tu znowu chłopi ryknęli śmiechem.

Poniżenie bliźniego jest zawsze rzeczą rozkoszną w oczach tych, którzy sami nie spodziewają się ani nie pragną żadnego wywyższenia.

— Prawo . . . ja sprowadzę na was prawo, prawo białego człowieka! — bryzgał błotem Abdul Rahman, ale chłopi nie zlękli się tego.

— Nasz Tuan — odpowiedział Imam Teh spokojnie, myśląc o Naczelniku Okręgowym — nie zbyt zajmuje się tymi, którzy wywołują waśnie religijne. Panuje tu stary zwyczaj karania tych, którzy nie

przychodzą w piątek do meczetu na nabożeństwo. Gdyby większa liczba nie czyniła temu zwyczajowi zadość, modlitwy zostałyby nie wysłuchane — ponieważ nie byłoby nawet przepisanej liczby czterdziestu ludzi. Tuan, który zna nasze zwyczaje i prawa, odrzuci twą skargę. Dlatego, bracie, odejdź, i nie grzesz więcej.

Abdul Rahman poczuł się bezsilny. Było rzeczą bardzo prawdopodobną, że Naczelnik Okręgowy odmówi mu swej pomocy; a z drugiej strony, jakżeby mógł, nie narażając godności własnej, przyznać się do tego, że mieszkańcy wsi, co do których był pewny, że właściwie rządzi nimi, wrzucili go do bawolej sadzawki? Albowiem Abdul Rahman, mając w niesłychanej pogardzie starego Imama Teh, dawno już postanowił zająć jego miejsce, przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Upokorzony i pełen gniewu Abdul Rahman zmykał teraz do domu, kołując odległemi ścieżkami i unikając jak tylko mógł rozbawionych spojrzeń kobiet, cisnących się w drzwiach chat. A kiedy tak szedł, mózg jego pracował usilnie, knując już zemstę, którą by odpłacił się Imamowi Teh za obrazę i to nietylko taką samą miarą, ale i z nadwyżką.

Abdul Rahman nie napróżno podróżował po krajach białego człowieka. Nauczył się tam cenić należycie potęgę kłamstwa i wartość prawa jako zaczepnej broni w rękach człowieka, który wie co robi. Potrzeba mu było tylko świadków, a na szczęście dla człowieka, procesującego się na wschodzie, świadkowie w Azji nie są zbyt drogim towarem. Abdul

Rahman pożyczył trochę pieniędzy chłopom ze swej wsi a ponieważ niektórzy z nich absolutnie uiścić się z długu nie mogli, mógł wywrzeć na nich odpowiedni nacisk. W przeciągu dziesięciu dni wszystkie jego przygotowania były skończone a jego świadkowie na każde zawołanie mogli powtórzyć starannie ułożoną bajkę, wiedząc oprócz tego, jak odpowiadać na wszystkie idjotyczne pytania, które mógł im prawdopodobnie w swej głupocie zadawać biały urzędnik. Zręczniej uknutego spisku nigdy nie było, tak, że Abdul Rahman czuł się naprawdę dumnym, myśląc o ścisłości wszystkich wymyślonych przez siebie łgarstw, mających na celu zniszczenie Imama Teh, wójta.

A historja była przepięknie prosta. Abdul Rahman, opuszczając przed jakiemiś dziesięciu laty wieś, powierzył opiece Imama Teh małe stadko bawołów. Prawdę mówiąc, w owych dniach Abdul Rahman bydła żadnego nie posiadał — to jednak nie miało żadnego znaczenia. Jego dzisiejsze bogactwo nadawało tej historji pewne pozory prawdopodobieństwa. Otóż potomstwo tych mitycznych krów stanowiło liczącą dwadzieścia pięć głów trzodę, którą Imam Teh posiadał. Świadkowie Abdul Rahmana twierdzili, że osobiście przygnali jego krowy do wójta. Przypominali sobie wszystkie szczegóły transakcji, poczynając od maści bawołów i ich cech charakterystycznych aż do ubrań, które w owej chwili wszyscy mieli na sobie. Wszyscy pamiętali też doskonale, że Imam Teh, przyjmując opiekę nad bydłem, był sam, i że uroczyście przyrzekł, iż zachowa je dla

Abdul Rahmana, i że uważając korzyść, jaką mu bydło da, za wystarczającą zapłatę za jego trudy, zwróci je wraz z potomstwem właścicielowi każdej chwili po jego powrocie. Tego rodzaju umowy są wśród chłopów malajskich bardzo częste, a jedynym punktem, którego należało dowieść, było istnienie powierzonego wójtowi bydła, to zaś świadkowie Abdul Rahmana ponad wszelką wątpliwość stwierdzali.

Zbudowawszy w ten sposób pułapkę, Abdul Rahman doprowadził rzecz do szczytu, publicznie domagając się od Imama Teh zwrotu swych bawołów. Wójt, usłyszawszy to, zgłupiał zupełnie, jako że to żądanie pozbawione było wszelkiej podstawy, a gdyby trzodę swą stracił, byłby człowiekiem częściowo zrujnowanym. Ponieważ jednak za młodych swych lat był wojownikiem, w oczach błysnął mu blask bojowy. Dawniej jedno uderzenie noża załatwiłoby ten spór ostatecznie. Teraz prawo zastępowało chłodną stal. Żałosna to była historja, ale Imam Teh był człowiekiem umiejącym zastosować się do okoliczności. Nie drgnął nawet, lecz wysłuchał całej historji Abdul Rahmana z nadzwyczajną cierpliwością, starając się w żaden sposób nie dać mu do poznania, że był wzruszony lub przygnębiony. Otoczyli ich wieśniacy, przyglądając się im z najwyższem zajęciem. Ich zdaniem, cała ta historja była bardzo podniecająca i stanowiła największą, niespodziewaną sensację. A jednak w rezultacie nie doczekali się niczego nadzwyczajnego. Imam słuchał spokojnie; dopiero kiedy Abdul Rahman, wprawiwszy się we wściekłość, zaczął krzyczeć, iż prawo i świadkowie są po jego

stronie, stary wójt zadowolił się spokojną i pełną godności odpowiedzią:

— A po mojej stronie jest — rzekł — Ałłach, i sprawiedliwość Ałłacha łaskawego i pełnego Miłosierdzia.

To rzekłszy odwrócił się, udając, że nie słyszy bluźnierstw, któremi Abdul Rahman szydził ze sprawiedliwości boskiej.

Miecze skrzyżowano, a teraz bój musiał już być rozegrany do końca. Abdul Rahman nie był nadzwyczaj zadowolony z rezultatu pierwszego spotkania. Myślał, że doprowadzi Imama do wściekłości, a tu spotkał go zawód. Ale ostatecznie to nie miało żadnego znaczenia. Tak czy siak, wygra, pozbawi Imama większej części jego majątku, a zrujnowawszy wroga, zajmie jego miejsce. Co za głupota, to całe gadanie o Ałłachu i Jego sprawiedliwości! Co mogą wskórać takie brednie wobec dobrze wytresowanych świadków, zamiłowania białego urzędnika do opierania się na nich i przewrotnie a zręcznie utkanej sieci kłamstw?

W odpowiednim czasie sprawa znalazła się przed sądem, a badał ją sam Naczelnik Okręgowy podczas swego najbliższego pobytu we wsi. Rozprawa toczyła się na pokładzie jego krytej łodzi, przycumowanej do stromego, wysokiego, czerwonego brzegu, na którym znajdowała się wieś. Cała ludność męska zbiegła się przy tej sposobności, chcąc się rozprawie przysłuchać, przyczem szczęśliwsi siedzieli w słońcu, tuż pod drzwiami kajuty, zaś inni w ło-

dziach lub też na urwistym brzegu, nadstawiając uszu, aby coś niecoś usłyszeć. Wszyscy wiedzieli, że Abdul Rahman i jego świadkowie zupełnie nie mieli słuszności, a Abdul Rahman także zdawał sobie z tego sprawę, że oni o tem wiedzą. Mimo to, precyzyjność intrygi, jaką ukuł, napełniała go dumą, właściwą wszystkim wynalazcom rzeczy godnych uwagi, zaś mieszkańcy wsi, w całości, skłonni byli podzielać z nim to uczucie, i grzali się z zadowoleniem w promieniach jego sławy. Z drugiej strony Imam Teh nikogo o radę nie prosił i nikomu się nie zwierzał. Wielu chętnie świadczyłoby na jego korzyść, on jednak odpowiadał im wszystkim jednem słowem:

— *Sabar!* Cierpliwości!

Na tem zagadkowem słowie zwolennicy jego musieli poprzestać.

Wiedział doskonale ten stary chłop, że stawia wszystko na jedną kartę. Utrata bawołów oznaczałaby niewątpliwie jego ruinę. Prawda, mógł świadkom Abdul Rahmana przeciwstawić swoich świadków i oszołomić urzędnika zgiełkiem przeczących sobie przysięg. Gdyby tak postąpił, jego stanowisko wójta mogło mu dopomóc do uzyskania korzystnego wyroku. Ponieważ biali nigdy nie dowierzają ludziom w rodzaju Abdul Rahmana, którzy są więcej wyszczekani i doświadczeni, niż godni zaufania. Ale Imam Teh nie pragnął wygranej dzięki takim środkom. Chciał zwycięstwa pełnego, a jego szczera i głęboka wiara wskazywała mu jedyny kierunek, w którym dążąc mógł to zwycięstwo osiągnąć. Po-

wierzył się Ałłachowi i jego sprawiedliwości i czuł, że jest zupełnie bezpieczny.

Naczelnik Okręgowy, siedząc w kuczki na swej macie, z pulpitem do pisania na kolanach i fajką w zębach, słuchał cierpliwie wywodów Abdul Rahmana i jego świadków, którzy śmiało zaatakowali majątek Imama, poczem zwrócił się do wójta, pytając go, co ma do powiedzenia na swoją obronę. Starzec, który siedział dotychczas nieruchomo i w milczeniu, zmienił pozycję i przemówił:

— Krowy są moje, *Tuanie* — rzekł — o czem Abdul Rahman i jego świadkowie bardzo dobrze wiedzą. Ale ja świadków nie postawię. Niech nas Ałłach rozsądzi. Nie żądam niczego, jak tylko, aby Abdul Rahman zaprzysiągł swe oskarżenie. Odpraw jego świadków, Tuanie — twarze tych ludzi, przy ostatnich słowach mocno zaniepokojone, naraz rozjaśniły się, co też urzędnik zauważył — są to ludzie żonaci i dzieciaci, których zmuszono do grzechu. Gdyby im kazano przysięgać, gdyby ich zmuszono do krzywoprzysięstwa, to krzywoprzysięstwo pożarłoby ich; co się jednak tyczy Abdul Rahmana, to proszę każdego zaprzysiąc, Tuanie — zaprzysiąc w Meczecie z Koranem na głowie — i jeżeli do trzydziestu dni jego fałszywa przysięga nie pochłonie go, niechaj sobie krowy zabierze. Niech tu, Tuanie, rozstrzygnie Ałłach i jego łaskawa i miłosierna sprawiedliwość. Nie odwołuję się do żadnego innego sędziego.

— Dobrze! — zgodził się Naczelnik Okręgowy, — niech Abdul Rahman złoży w Meczecie przysięgę

stosownie do wszelkich przepisów i ceremonjału, a później przez miesiąc będziemy czekali, czy ona go „zje“, czy nie. Ja tu za miesiąc przyjadę i wydam wyrok.

Na tem śledztwo skończyło się i zajęło się innemi sprawami, wobec czego tłum zaciekawionych krajowców rozpierzchnął się. Abdul Rahman, wracając do domu ledwo ziemi stopami dotykał, bo teraz był już absolutnie pewny, że bydło zagarnie i wroga swego Imama zrujnuje. Jednakowoż z pewną przykrością zauważył, że spotykani po drodze mieszkańcy wsi schodzili mu z drogi, przyglądając mu się jak gdyby ze zgrozą i najwyraźniej obawiając się, aby najlżejsze jego dotknięcie nie sprowadziło na nich nieszczęścia i kary.

Następnego dnia Abdul Rahman złożył w Meczecie uroczystą przysięgę w obecności całej męskiej ludności wsi, i mimo, iż zapatrywał się na to wszystko bardzo sceptycznie, ceremonja wywarła na nim bardzo głębokie wrażenie. Stał tak w środku swego małego światka, podczas gdy *chatib*, położywszy mu Koran na głowie, rozełkanym głosem intonował przysięgę, kazawszy mu powtarzać za sobą słowo po słowie:

— Przysięgam, Koran dźwigając na swej głowie, że istotnie powierzyłem krowy Imamowi Teh; że dwadzieścia pięć sztuk bydła, które on teraz posiada, od tych krów pochodzą, i że skutkiem tego bydlęta te należą do mnie z prawa, stosownie do jego obietnicy i wzajemnej umowy. Jeśli słowa moje nie odpowiadają prawdzie, Ałłach nie jest mym

Bogiem, ani Mahomet mym Mistrzem, i ja błagam Ałłacha i Jego Proroka, aby mnie ukarali chorobą i nędzą w tem życiu doczesnem, skazując mnie w życiu przyszłem na wiekuisty ogień Strasznego Miejsca.

Abdul Rahmanowi zdawało się, że Pismo Święte ciężyy mu na głowie jak jakieś wielkie brzemię, że straszne słowa przysięgi brzmią jak dzwon za umarłych, i że głos, który je wymawia, dziwnie szarpie jego słuch niespodziewanemi załamaniami i zawodzeniem, szeptał sobie w duszy, że nie wierzy ani w Ałłacha, ani w Jego Proroka, że kpi sobie z tego całego błazeństwa, że jakieś tam puste zdańka krzywdy mu wyrządzić nie mogą, ale mimo wszystko, coś z jego ateistycznych przekonań zbladło. Uroczyste słowa przysięgi znowu obudziły w nim zabobony i wspomnienia dzieciństwa — i na myśl przyszły mu znowu okropne opowieści o ludziach, których fałszywa przysięga „pożarła“. Rozglądając się dokoła siebie ukradkiem, spostrzegł spokojną, pogodną twarz Imama Teh, z blaskiem niezwyciężonej wiary w głęboko zapadłych oczach; a prócz tego zauważył zgrozę, przerażenie i jakby jakieś oczekiwanie w twarzach zgromadzonych chłopów i dreszcz, który wstrząsał ludźmi, zdolnymi do kłamstwa na samo jego skinienie, którzy jednak zgodziliby się raczej na śmierć, aniżeli na to, czego on się w tej chwili dopuścił.

— *Amin!* niech tak będzie.

Zebrani powtórzyli ten okrzyk, jak tylko ostatnie słowa przysięgi przebrzmiały, a w tem zwróceniu

się do Boga była taka wiara, że Abdul Rahman zadrżał.

Chatib zaintonował tremolująco modlitwę arabską, której cudnie dźwięczne słowa powtarzały krokwie meczetu; a nagle obłok przesłonił słońce, podczas gdy czarna chmura deszczowa cały świat pogrążyła w posępnych ciemnościach. Dreszcz wstrząsnął zgromadzonymi Malajami i znowu po skierowanej do Boga modlitwie rozległy się okrzyki:

— *Amin! Amin!* niech tak będzie.

Jak tylko obrzęd się skończył, Abdul Rahman bezwłocznie opuścił meczet, kierując się ku domowi. Wracał sam, ponieważ chłopi szli w pewnej odległości za nim, nie bardzo pragnąc ocierać się o człowieka, który zadarł z Bogiem — jako, że wszyscy wiedzieli, iż Abdul Rahman przysiągł krzywo, i wszyscy oczekiwali teraz katastrofy, która musiała go spotkać, jako kara za zbrodnię. I kiedy tak szedł, drzwi chat zamykały się przed nim pośpiesznie, przerażone matki przywoływały do siebie dzieci, bawiące się na drodze i doszło nawet do tego, że Abdul Rahman zauważył ciekawe oczy, przypatrujące mu się z przerażeniem przez szpary w ścianach. Kroczył sobie butniej niż kiedy indziej, mimo wszystko jednak wrażenie, jakie na nim wywarł obrzęd w meczecie, coraz silniej ciężyło na jego umyśle.

Zanim zdążył dostać się do domu, niebo się naraz rozwarło i chlusnęło na ziemię potopem deszczu. Błyskawice oślepiającymi gzygzakami rozdzie-

rały ciemności, a grzmoty grzmiały straszliwie. Abdul Rahman puścił się biegiem przed siebie, a stopy jego poganiał strach, którego dotychczas jeszcze nie zaznał. Uciekał nietylko przed deszczem; ale pierwszy raz w życiu zaczął się bać błyskawic. W tych krajach podzwrotnikowej spiekoty słonecznej chmurne południe działa zawsze przygnębiająco na ludzi, a już zwłaszcza w tym wypadku, kiedy nerwy były naprężone do ostateczności, burza i elektryczny bój żywiołów wstrząsnął Abdul Rahmanem od stóp do głowy przeczuciami jakichś dziwnych nieszczęść. A gdyby tak pokazało się, że on nie ma słuszności? A gdyby tak istotnie był w niebiesiech jakiś Bóg sprawiedliwy — Bóg, którego majestat on chełpliwie obraził? Pytanie to nasuwało się samo przez się, a Abdul Rahman, niedowiarek, na skrzydłach trwogi zmykał już przed strasznym Nieznanym.

Wrócił do domu przemokły do nitki, drżący, przeziębły, przygnębiony; tu zaś czekała go nowa, a wcale niemiła, niespodzianka. Dom był opuszczony, żona i wszystkie pomagające jej kobiety wiedziały, że ich pan dopuścił się krzywoprzysięstwa, a obawiając się, aby ich piekło wraz z nim nie pochłonęło, rozpierzchły się, szukając schronienia gdzie mogły. Nie było w chacie ognia, nie było strawy ugotowanej dla pana domu; nawet klucz od skrzyni, w której znajdowały się ubrania, schowano tak, że krzywoprzysięzca znalazł go dopiero po długiem poszukiwaniu. Abdul Rahman pienił się z wściekłości, ale gwałtowna burza nie pozwalała mu wydalić się z chaty. Nerwy jego nie były w stanie

zdobyć się na powtórny wysiłek w tym kierunku, tak, że powiedział sobie, iż żony zacznie szukać dopiero, kiedy burza przeminie. Tymczasem zaczął gospodarować, jak umiał najlepiej, wzdrygając się z gwałtownością płochliwego konia za każdą nową eksplozją nad głową. Znalazłszy wreszcie klucz do skrzyni, zrzucił mokre suknie i przebrał się, co mu zrobiło dobrze, ponieważ przemokły i zziębnięty drżał jak przemokły jamnik. Huk grzmotów rozlegał się coraz dalej i powoli milkł, ale deszcz padał wciąż, tak, że Abdul Rahman całe popołudnie siedział przy ogniu, jaki sam sobie rozdmuchał, myśląc wciąż o jednem i tem samem. Bezustannie w pamięci swej wznawiał scenę w meczecie, przywodząc sobie na myśl poważne, wyraziste, przerażone twarze chłopów i triumfujący blask niewątpliwego zwycięstwa w oczach Imama Teh, przyczem powtarzał wciąż straszne słowa przysięgi. Już w tej chwili miał wrażenie, jak gdyby był wyrzutkiem — opuszczonym przez cały świat, a dla człowieka, który chciał narzucić swą wolę drugim i zająć we wsi miejsce naczelne, było to wrażenie bardzo niemiłe. Prócz tego było też w powietrzu coś w rodzaju oczekiwania, a raczej cierpliwej i niezawodnej pewności, z czego zdawał sobie sprawę i co go w najwyższym stopniu niepokoiło.

Lało wciąż niemiłosiernie i Abdul Rahman, którego przygnębiała samotność i cisza, przerywana tylko szumem deszczu, zjadłszy niezbyt smaczną wieczerzę, wśliznął się do łóżka, pod zasłonę, chroniącą od moskitów. Mimo wszystko po dłuższym do-

piero czasie ogarnął go sen, niespokojny i pełen przykrych mar. Miał gorączkę, oczy bolały go w oczodołach, a leżąc wyciągnięty na macie, wciąż kaszlał. Szukając suchej odzieży, silnie się zaziębił, a teraz miał febrę. W zwykłych warunkach zdałby sobie z tego poprostu sprawę, wcale się tem nie przejmując, dziś jednak napełniało go to przerażeniem i zgrozą. Czyżby go już „pożerała“ przysięga? Samą myśl o tem odpędził od siebie z gniewem, w którym było więcej energji i stanowczości, niż wiary w siebie. Wmawiał w siebie wciąż, że jest to niedorzeczność, jednakże myśl ta nietylko, że go bezustannie uparcie prześladowała, ale jeszcze zrodziła drugą. Gdyby nawet ten jego atak febry był tylko skutkiem zbiegu okoliczności — jak się na to on sam zapatrywał — czy sąsiedzi jego nie zechcą tłumaczyć sobie go inaczej? Z całą pewnością zaczęliby gadać, że przysięga już go „pożera“, a Imam Teh zachowałby sobie swoje bydło. Na samą myśl o tem żółć się w Abdul Rahmanie burzyła. On m u s i wytrzymać tych trzydzieści dni, inaczej przepadną wszystkie jego plany. Gdyby nieszczęśliwy przypadek kazał mu teraz rozchorować się, wszystko byłoby stracone — ale byłżeby to tylko nieszczęśliwy przypadek? Kaszląc na swem posłaniu, wmawiał w siebie absolutną konieczność niepoddawania się chorobie i już sama świadomość tej konieczności usposabiała go wobec choroby tak tchórzliwie, jak mu się to wogóle nigdy nie zdarzało. Do jego przygnębienia w niemałym stopniu przyczyniała się gorączka i cisza nocna, tak, że kiedy wreszcie przy-

szedł niechętny i ociągający się brzask, wstał ze swego posłania skwaszony, znużony i niewypoczęty.

Zgotowawszy sobie coś do zjedzenia, udał się do domu swego teścia, wściekły na żonę, której ucieczka w tak wielkim stopniu przyczyniła się do powiększenia cierpień jego bezsennej nocy. I znowu wieś, jakby kałużę wymijając, uniosła sukni, aby się nie pokalać dotknięciem krzywoprzysięzcy; i znowu za jego zbliżeniem zaczęto gwałtownie zamykać drzwi i znowu czuł, że go niezliczone oczy ukradkiem podpatrują i znowu szedł przez pełną ludzi wieś, samotny i jakby wyrzutek. Nie dodawała mu bynajmniej pewności siebie świadomość, iż niewątpliwie wygląda kiepsko i mizernie, a próba zaimponowania ludziom swobodnem zachowaniem się wypadła nędznie.

W domu teścia przyjęto go wymówkami i wogóle nie chciano mu otworzyć drzwi. Ten sam człowiek, który tak palił się do tego, żeby wydać za niego swą córkę, i ci sami szwagrowie, dotychczas tak szczęśliwi z tego, że mogli korzystać z jego bogactwa, z dzidami wyszli do niego, rozkazując mu odejść, o ile nie chce, aby go coś gorszego spotkało. Zapowiedzieli mu, że żony mu przed upływem trzydziestu dni nie zwrócą. Taki termin został wyznaczony na „pożarcie“ go przez przysięgę, i dopóki on nie upłynie, żona jego nie może narażać się na to, aby była wplątana w jego losy. Abdul Rahman spostrzegł, że ani pochlebstwa, ani groźby, ani prośby, ani największe obietnice nie mogą nic wskórać. Zabobonna trwoga ludzi, wierzących, iż zjawiska nad-

naturalne są niemniej prawdziwe i częste, jak wypadki dnia powszedniego, wzrosła do tego stopnia, iż Abdul Rahman, bezbożnik i krzywoprzysięzca, został skazany na banicję, dopóki Niebo samo nie wypowie się za nim, lub przeciw niemu. Bliski rozpaczy, wracał do swego domostwa, wiedząc dobrze, iż śledzą go bacznie spojrzenia licznych oczu. Nie było to uczucie miłe, a jeszcze mniej przyjemne były długie, samotne godziny rozmyślań nad popełnionym grzechem. Ałłach stał się nagle postacią bardzo realną — stanął naraz w samym środku wsi, straszliwy, wzniosły w swej potędze i w gniewie swego obrażonego majestatu. Abdul Rahman, opuszczony przez bliźnich, dręczony febrą, poróżniony z całym swoim światem, mający przed sobą w perspektywie trzydzieści dni takiej walki, uczuł się naraz bardzo nędznym i maluczkim robaczkiem.

Wściekłość ogarniała go na myśl o sąsiadach, którzy tak się przed nim do niedawna jeszcze płaszczyli, a teraz opuścili go co do jednego. Obiecywał sobie, że sprawi żonie po powrocie takie lanie, jakiego jeszcze żadna kobieta na świecie nie dostała, ale nawet ta miła perspektywa, nie była w stanie rozproszyć przygnębienia, w jakiem się w danej chwili znajdował. Najgorsza jednak była martwa pustka i milczenie, na jakie został skazany. Cóż za przyjemność kpić sobie z Ałłacha i Jego Proroka. gdy nie było nikogo, ktoby to słyszał i czuł się tem urażony. A równocześnie Abdul Rahman nie mógł się obronić wzrastającemu wciąż wrażeniu, iż właściwie poniósł do pewnego stopnia porażkę. Z nie-

małem zaniepokojeniem obserwował stan swego zdrowia, skutkiem czego gorączka oczywiście wzrastała. Byłżeby to palec tego samego Ałłacha, którego istnieniu on chciał zaprzeczyć? Z każdą godziną opanowywał go coraz większy lęk, a na pół zapomniane zabobony z czasów jego dzieciństwa — od których przez długie lata był wolnym — wciąż przychodziły mu na myśl, powracając z dokuczliwym uporem.

Po kilku długich dniach zachorował tak na ciele jak i na duszy, albowiem żaden człowiek stadowego sposobu życia nie może bezkarnie rozmyślać w samotności o swem zdrowiu, i o swych rozterkach religijnych. Był zdenerwowany do ostateczności, a świadomość, że jego sąsiedzi, trzymając się od niego wciąż zdala, bezustannie jednak zbliska go obserwują, napełniała go niepokojem i smutkiem. Ile razy szedł do rzeki po wodę — a z chaty wychodził teraz tylko wówczas, kiedy tego było koniecznie potrzeba — zarośla wzdłuż ścieżki roiły się od ukrytych szpiegów. Niewidzialne postacie ruszały się w gąszczu, a do uszu jego dobiegał piskliwy, na pół tłumiony chichot kobiet, a także szept mężczyzn, którzy z nietajonem zadowoleniem udzielali sobie spostrzeżeń, co do jego zaniedbanego i nędznego wyglądu. Gdy siedział na progu swej chaty, dzieci podpełzały ku niemu i gapiły się na niego ciekawie, a raz na dzień przechodził wolnym krokiem koło jego domu Imam Teh, przyglądając mu się uporczywie.

Jak dotychczas, ateizm jego nie sprawiał mu wiele kłopotu. Był to poprostu owoc obojętności religijnej, pozbawiony wszelkiego gruntu, sceptycyzmu

naukowego. A teraz nagle postawiono go twarzą w twarz z jego bezbożnością i kazano mu walczyć o nią z Bóstwem, którego istnieniu tak śmiało przeczył. Była to rzecz dla Abdul Rahmana zupełnie nowa, a cały jego ateizm w danej chwili nie na wiele mu się zdał. Skazany na własne siły, dzięki temu właśnie zrozumiał całą swą bezsilność, widział teraz, że jest nędzną muszką na kole i, choć zrazu niejasno, zaczął sobie wreszcie zdawać sprawę z tego, iż zadarł z wielkiemi, choć nieznanemi Mocami. Odezwał się także głos krwi i urodzenia. Dziedziczna skłonność do wiary w zjawiska nadprzyrodzone jest Malajowi głęboko wrodzona. Nie wykorzeni się jej ani odrazu, ani nawet przez czas jednego pokolenia. Te skłonności puściły liczne pędy w czasach samotnych rozmyślań i Abdul Rahman, złamany na duchu i ciele, spostrzegł naraz, że jego ateizm wyborny, kiedy mu się dobrze powodziło, był zupełnie do niczego w godzinie próby.

A potem przyszło znowu przeświadczenie, że ostatecznie nigdy nie był tak zupełnie pewny, iż Ałłach wogóle nie istnieje, a ta myśl zaczęła go dręczyć. Przypomniał sobie słowa przysięgi. Zły stan jego zdrowia wyolbrzymił ich znaczenie. Ogarnęła go trwoga.

I oto zdarzyło się, tuż przed świtem, dziesiątego dnia, że Abdul Rahman naraz zrozumiał co zrobił.

Przyczyną tego nagłego wstrząsu był piorun, który, wyrżnąwszy w ziemię, tuż koło jego chałupy, wzbudził nowy lęk w jego sercu. Każda godzina samot-

nego rozmyślania i rachunku sumienia, każdy spazm bólu lub dreszczu z powodu gorączki, najmniejszy przebłysk świadomości własnej bezsiły, narzuconej mu gwałtem i tylko skutkiem zbiegu okoliczności, ale której cała wieś cierpliwie się przyglądała, z godziny na godzinę oczekując katastrofy, wyczerpała go i pozbawiła go wszelkiej energji i siły. Leżąc teraz w nieprzeniknionych ciemnościach, o tej strasznej, tajemniczej godzinie przed świtem, kiedy siły ludzkie są u dna, Abdul Rahman — „sługa najmiłosierniejszego“ — miał się już wprost za nic. Dzięki chorobie, samotności i trwodze, odzyskał znowu dawną świadomość, iż człowiek jest wątłą istotą, gnieżdżącą się tylko w strasznem zagłębieniu dłoni Wszechmocnego, — świadomość określającą stosunek człowieka do Stwórcy, przyjęty bez szemrania, i uznany przez niezliczone pokolenia przodków. Być może, ta moc odziedziczonej tradycji, siła wiary spotęgowana przez ślepą ufność tych, którzy dotrzymywali jej wierności przez długie wieki, być może także, wrażliwość dręczonej przez wyrzuty sumienia wyobraźni, w wielkim stopniu wpłynęła na to — że Abdul Rahman nawrócił się. I człowiek, który dotychczas chełpił się swym ateizmem, naraz popadł w gwałtowne kolizje, które drwią sobie z rozumu ludzkiego, a w tej chwili, przekonanie, że człowiek w bezsilności swej musi szukać wytłumaczenia rzeczy niezrozumiałych w czemś, co jest większe niż on, opanowało jego umysł. Bóstwo, które wyzwał, dźwignęło się przeciwko niemu, a wszystko złe, cielesne i duchowe nie było niczem

innem, jak tylko uderzeniami Jego bicza. W chłodnej godzinie przedświtu Abdul Rahman aż skuczał na swych matach, niby strwożone dziecię, z głębi duszy przyznając zwycięstwo Bogu.

Stary Imam Teh jest wciąż jeszcze wójtem swej wsi, a jego stado bawołów w oznaczonych godzinach spokojnie idzie sobie do poju i nikt go już nie kwestjonuje. Abdul Rahman wyruszył z pielgrzymką do Mekki, aby tam, w świętem miejscu, oczyścić się ze swych grzechów, a teraz jest na najlepszej drodze, aby stać się fanatycznym wyznawcą proroka. Będzie wzorem cnót, jeśli wróci z Arabji i znacznie pożyteczniejszym członkiem społeczeństwa, niż ten Abdul Rahman, który wyruszył w Świętą Podróż; w każdym razie jednak, nie będzie miał już najmniejszych wątpliwości co do potęgi przysięgi.

Koniec.